



**BEATA PAWLAK**

**Aniołek**

*Ci, którzy umarli, nigdy stąd nie odeszli:  
Są tutaj w gęstniejącym cieniu.*

*Umarli nie są pod ziemią:  
Są w drzewie, które szumi,  
Są w drewnie, które jęczy,  
Są w wodzie, która płynie,  
Są w wodzie, która śpi,  
Są w chacie, są w tłumie:  
Umarli nie są martwi.*

*Ci, którzy umarli, nigdy stąd nie odeszli,  
Są w piersi kobiety,  
Są w dziecku, które płacze,  
Są w głowni, która płonie,  
Umarli nie są pod ziemią:  
Są w ogniu, który umiera,  
Są w trawie, która zawodzi,  
Są w skamlących skałach,  
Są w lesie, są w domu.  
Umarli nie są martwi.*

*(wiersz Afrykańczyka,*

*[za:] James R. Lewis, „Życie po śmierci”,  
Warszawa 1999)*

# 1

W piątek Karolinie przyśniło się, że jest trupem. Całe jej ciało zaczęło zielenieć i skóra popękała jak spalona ziemia. Ale ponieważ mogła chodzić, udała się do lekarza, żeby postawił diagnozę.

Lekarz zbadał ją uważnie i rzekł:

- Istotnie, jest pani trupem.

Pomyślała, że w takim razie musi sobie załatwić pogrzeb (wszystko to we śnie). Pośpieszyła do zakładu pogrzebowego. Mężczyzna w czarnym fraku grzecznie poinformował ją co do cen:

- Będzie to panią kosztowało pięć tysięcy złotych.

- Dlaczego tak drogo?! - wykrzyknęła zgorziona.

- Dlatego - spokojnie wyjaśnił pracownik - że pani życzy sobie być pogrzebana ekspresowo.

Opłaciła pogrzeb i poszła w górę ulicy. Tam, za skrzyżowaniem ze światłami, w niewielkim żółtawym budynku mieściło się krematorium. Weszła do poczekalni, siadła na ławeczce pod ścianą z burymi zaciekami, na podłodze położyła torebkę. Gorączkowo myślała, czy zabrała wszystkie potrzebne papiery - dowód osobisty, paszport, prawo jazdy (bo przecież nigdy nic nie wiadomo), numer konta bankowego, numer pesel, numer ubezpieczenia, ostatnie zeznanie podatkowe, a także dezodorant, który z bliżej nieznanego powodu wydał się jej w tej sytuacji niezbędny.

Z dziury w ścianie buchał ogień. Właśnie wsunięto tam na marach zwłoki młodej jeszcze kobiety w białej sukience, z naszyjnikiem wonnych kwiatów na piersiach. Zatrzasnęły się za nimi ciężkie żeliwne drzwiczki z rysunkiem lilii, jakieś ręce przekreśliły koło. Karolina pomyślała, że krematorium przypomina duży piekarnik i zaraz zganiła się za tę myśl. Obok mężczyzna w bezkształtnym garniturze chlapał, kryjąc twarz w rękach.

Spojrzała w okno. W dali, na niewielkim wzgórzu, stał jej mąż, jej dzieci, sąsiadka i rzeźnik. Uśmiechali się i machali w jej stronę białymi chusteczkami.

Karolina nie zastanowiła się wtedy, we śnie, skąd mają płócienne chusteczki, w dodatku białe, wykrochmalone, obszyte kolorową koronką, jakich nie używało się w jej domu od lat. Ogarnął ją wstyd na myśl, że rodzina widzi ją w tak niestosownej sytuacji - kiedy jej ciało zieleniało i za chwilę zacznie odchodzić płatami. Chciała im

odmachnąć i zawołać: No idźcie już, idźcie, nie gapcie się tak na mnie, jakbyście nigdy nie widzieli trupa.

Zamiast tego obudziła się. Jej policzki płonęły. W okamgnieniu ogarnęła sytuację: znajduje się we własnym domu, ulica Celofanowa numer 11, jest noc, leży pod kołdrą, którą przed snem oblekła w świeżą powłoczkę w niebiesko-różowe paski, okno jest uchylone, świeci za nim jajowaty księżyc, szczeka pies - ten mały zajadły kundel trzy domy dalej - a ona leży w koszuli nocnej, która podwinęła jej się aż pod pachy, i nagą pupą wciska się w biodro Mateusza, swego męża. A on wyciągnął się na brzuchu i obejmując poduszkę, głośno sapie.

Za ścianą zaczął bić zegar: raz, dwa, trzy. Trzecia - trzeźwo zauważyła Karolina, bo Karolina zazwyczaj była trzeźwa. Uniosła się na rękach, stęknęła, wsunęła rękę pod kołdrę i opuściła koszulę nocną aż po kolana. Potem przewróciła się na drugi bok. Chciała poważnie rozważyć sprawę życia i śmierci, zastanowić się, westchnąć metafizycznie, ale zamiast tego pomyślała jasno i beczelnie: A gdybym tak umarła we śnie?

Co nie byłoby takie dziwne, przekroczyła już przecież siedemdziesiątkę. Swoje w życiu zrobiła: przeżyła wojnę i komunizm, doczekała się kapitalizmu, wydała na świat dwoje dzieci i miała dwoje wnuków, ciężkich grzechów nie popełniła, dorobiła się domku z ogródkiem na skraju niewielkiego miasta we wschodniej Polsce i choć domek był niewielki, raptem dwie sypialnie i salon, to przecież taki przytulny z tymi grubymi dywanami, specjalnie sprowadzonymi z Kowar, z kominkiem w salonie, perlagoniami w oknach i z obrazami tchnącymi wiosną i spokojem. Czegóż więcej Karolina mogła się spodziewać od życia? Przecież nawet dożyła dwutysięcznego roku, co traktowała jak pobicie jakiegoś rekordu.

Prawdę mówiąc, już nawet nie myślała, że się bardziej zestarzeje. Jej własny widok doprowadzał ją do rozpacz. Choć, jak na swoje lata, wyglądała jeszcze zupełnie dobrze. Niska, krucha, trochę otyła, ale jeszcze całkiem zgrabna, a te nogi! Zmarszczki na jej twarzy nie były głębokie, prócz dwóch, które biegły od ust w dół. Ale gdy się uśmiechała, choć robiła to zdecydowanie zbyt rzadko, wtedy nawet te dwie zmarszczki promieniały.

Czegóż w jej wieku jeszcze mogła się spodziewać?

Rzuciła okiem na szafkę nocną i na drewnianego aniołka, który siedział po turecku obok budzika, zamknęła oczy i z całych sił się pomodliła: *Drogi Aniele Stróżu, wiem, że nie byłoby w tym nic dziwnego, gdybym nagle zmarła. Ale czy mógłbyś sprawić, że jeśli umrę we śnie, to nie z zadartą koszulą nocną? Amen.*

A gdyby jednak...? Gdyby znaleźli ją martwą w jej własnym domu, w łóżku, we wrzosowej koszuli nocnej zrolowanej po pachy, z wypiętą pupą...? Zachichotała nerwowo na myśl, jaką minę miałby mąż. A może Mateusz właśnie by wyjechał, bo mi-

mo wieku często był w rozjazdach, i znalazłby ją na przykład sąsiad, ten gruby taksówkarz? Zbiegliby się ludzie, długo debatowaliby pod jej domem, wejść, nie wejść, na piętrze otwarte okno, a Karolina zawsze zamyka je na noc, wejść, nie wejść, nikt nie otwiera, i światło się paliło do samego świtu. W końcu wyjęliby kratę z okna i gruby taksówkarz wszedłby do środka. Ach, co on by sobie pomyślał! Stukałby do drzwi i wołał: Pani Karolino! -a ona by nie odpowiadała, bo zrobić by już tego nie mogła. Szedłby po schodach ich domu ostrożnie, niepewnie stawiając wielkie stopy w ciężkich buciorach i cały czas stukając w ścianę, wołałby: Pani Karolino, pani Ptakowa. Doszedłby do sypialni, zawahał się, podrapał w głowę, zapukał w futrynę, w końcu pchnąłby drzwi - ostrożnie, samymi opuszkami palców. Otworzyłyby się powoli, niemiłosiernie skrzypiąc (pomyślała tak, mimo że w jej domu nie skrzypiały żadne drzwi). Niemiłosiernie skrzypiąc, otworzyłyby się drzwi do sypialni i gruby taksówkarz najpierw ujrzałby snop światła wpadający ukośnie przez uchylone okno, potem Karolinę na łóżku, nieżywą, z wypiętą w jego stronę gołą pupą.

Dziergając w głowie takie, a nawet jeszcze bardziej nieprzystojne obrazki, Karolina przywarła do Mateusza, głęboko odetchnęła jego ciepłem i ponownie zasnęła.

## 2

Przez cały następny dzień, krzątając się po domu, bo wieczorem mieli przyjść goście, rozmyślała o dziwnym śnie. Pierwszy raz w życiu przyśnił jej się trup. Pewnie dlatego że wczoraj oglądałam tę głupią strzelaninę na Polsacie - zgañła się w myślach, wkładając cielecinę do prozdu. W dodatku trupem była ona sama. Jednak to niesamowite - uznała.

Gdyby Karolina wiedziała, że tego samego wieczora umrze jej mąż, znany i poważany artysta stolarz, były wicedyrektor wytwórni mebli, rok później - ona, emerytowana magister farmacji, ale przed śmiercią zdąży jeszcze pokochać i być kochana, może wtedy inaczej pokierowałaby własnym życiem, na przykład wytapetowałaby ściany. Ale nie miała o tym pojęcia, więc wietrząc pokoje, dziwiła się w myślach, czemu, mimo że była trupem, chodziła i mówiła? A nawet sama załatwiała sobie po grzeb?

To najmniej powinno ją zdumiewać.

Karolina zajęła się własnym pochówkiem, gdy tylko przeszła na emeryturę. Odłożoną na ten cel okrągłą sumkę - tysiąc złotych - wsunęła do kieszeni podomki wiszącej w szafie. Kilka miesięcy później pieniądze zniknęły. Karolina za nic nie mogła sobie przypomnieć, czy to ona je wyjęła, ale na wszelki wypadek podejrzewała panią, która na Wielkanoc myła okna, kuzynkę ze wsi, córkę, syna, na koniec własnego męża, aż do dnia, gdy - trzy lata później - malarze, którzy przyszli odnowić mieszkanie, odsunęli od ściany pianino. Na podłogę wypadła niebieska koperta z banknotami, a także dwie stare książeczki oszczędnościowe, które - była tego pewna - skradziono jej na poczcie.

Okazało się, niestety, że pieniędzy starczy już tylko na trumnę sosnową, i to bez wieka. Co przepłakawszy, Karolina na nowo zaczęła oszczędzać na własny pochówek.

Nie to, żeby cały czas myślała o śmierci, ale chciała wszystko zapiąć na ostatni guzik. To znaczy, chciała zapiąć na ostatni guzik swoje życie. Bo co by to było, gdyby nagle zmarła, a tu nie miałyby sukienki ani butów do trumny i pochowałiby ją w byle czym? Na przykład w tej brązowej przyciasnej spódnicy? Albo, nie daj Boże, zapomnieliby o majtkach?!

Karolina lubiła nad wszystkim trzymać pieczę i o wszystkim decydować, a przynajmniej decydować o własnym życiu. Nic więc dziwnego, że któregoś zimowego wieczora, gdy Mateusz pojechał do Lublina, siadła przy swoim białym biurczku w sypialni, wyjęła dużą kartkę papieru i pogryzając końcówkę długopi su, spisała w punktach polecenia dotyczące jej śmierci: majtki, koszula, biustonosz i rajstopy na ostatnią drogę znajdują się w pudle po sokowirówce, a to na najniższej półce w szafie. Czarna garsonka z żorzęty wisi w plastikowym worku. Czarne trzewiki stoją obok pudła.

Przez chwilę zastanawiała się nad biżuterią. Ale była osobą praktyczną. Przeraził ją i do głębi wzruszył obraz, który nagle ujrzała w swojej głowie: oto w nocy grabarz odkopuje trumnę, zrywa z jej piersi perły, ale z palca nie chce zejść złoty pierścionek, więc grabarz sięga po siekiere i ach... Ogromu jej wzruszenia nie pomniejszał fakt, że Karolina nie posiadała pereł, niestety.

W końcu zimy jej głowę zaprzął cmentarz, na którym miała być pochowana. W mieście były dwa miejsca pochówku. Jeden stary, porosły dorodnymi bukami, otoczony murem z czerwonej cegły, który tu i ówdzie się kruszył. Mogiły zdobiły krzyże z brzozy i kamienne aniołki, którym czas odtrącił skrzydła.

Drugi, nowy, leżał na wzgórzu za miastem. Pomiedzy prosto wytyczonymi szerokimi alejami stały w równych rzędach duże betonowe grobowce.

Karolina lubiła rozmach i nowoczesność, dlatego bardziej podobał jej się nowy cmentarz. Powstał jednak w miejscu, gdzie w czasie wojny rozstrzelano 322 mieszkańców miasta.

*Co mam robić? Tu krew, a znów stary cmentarz taki ponury* -pytała Anioła Stróża, ale ten dawał jej wykrętną odpowiedź: *Moja droga, sama musisz wybrać.*

Stary cmentarz przywodził jej na myśl suterenę w Poznaniu, w której mieszkały z mamą tuż po wojnie; była wilgotna i śmierdziała grochówką, ulubioną zupą poprzednich właścicieli. Z powodu tej sutereny Karolina nie znosiła wszelkich staroci, zwłaszcza starych domów. Narzekała na wysokie sufity - bo ogrzewanie kosztowne; na wielkie okna - bo dużo zachodu z myciem; na długie korytarze i ciemne wnętrza - bo niehigieniczne i robi się grzyb.

Bloki z betonu, które wiele lat później specjaliści od nieruchomości będą nazywać slumsami, ją zachwyciły: mieszkania w nich były jasne, przestronne i suche, sufity niskie i okna w sam raz.

Co robić? - pytała się w myśli gorączkowo, a drugi głos, powolny i rozważny, a przy tym niższy, odpowiadał jej: „Nowy cmentarz może zroszony krwią, ale tam piasek lekki i żółty, krew przez niego przeleciała i wsiąkła w ziemię głęboko. Lepiej leżeć w żółciutkim piasku niż przywalonym gliniastą ziemią”.

Decyzja została podjęta. Karolina zamówiła u kamieniarza płyty z granitu w eleganckim kolorze grafitowym i wkrótce przy głównej alei, daleko od śmietnika, a blisko pompy z wodą, stanął rodzinny grobowiec. Cieszyła się, że będą leżeć pośród swoich: nogami mieli się stykać z najstarszym bratem męża, który zgnął powoli za życia (odrabano mu najpierw prawą, potem lewą nogę), a głowami - z kuzynem lotnikiem, który roztrzaskał się w katastrofie lotniczej. Radości Karoliny nie pomniejszył nawet fakt, że lotnik był przemytnikiem, co się okazało dopiero po wypadku, kiedy z jego słuchawek wyleciało radzieckie złoto.

- Mnie tam po śmierci będzie już wszystko jedno, gdzie i w czym mnie pochowają, czy ziemia będzie jasna i lekka czy czarna i tłusta. Nawet będzie mi obojętne, w zasadzie, jakie glisty, dżdżownice i inne robaki spożyją moje resztki - pokpiwał Mateusz, patrząc na jej zabiegi. « Ale Karolina postawiła na swoim.

• *Aniele Stróżu, jeśli ja nie dopilnuję własnej śmierci, to kto to zrobi? Sam powiedz, kto?*

Spisywanie ostatniej woli kontynuowała na wiosnę, gdy w telewizji zaczął lecieć nowy serial brazylijski „Rafaella”, a cała ulica Celofanowa rozprawiała o sześciolletnim Elianie, Kubańczyku, o którego toczyła się walka między ojcem mieszkającym na

Kubie a jego krewnymi z USA. Karolina uważała, że trzeba go oddać ojcu, choć mówiąc to, miała uczucie, jakby własnoręcznie oddawała dziecko diabłu.

Popołudniami przy biurku w sypialni, na kartce papieru ozdobionego egipskimi bogami - był to prezent od córki, Maciejki -pisała: że trumna ma być czarna i lśniąca jak wieko fortepianu (choć przez chwilę, gdy w mieście pojawiły się nowoczesne wzory, kusiła ją trumna biała, później zachwyciła filuterność różowej, ale tylko westchnęła: „Nie dla mnie te ekstrawagancje”), że ma być wyłożona różowym atłasem, że na grobowcu należy wyryć jej imię, nazwisko, a przed nazwiskiem koniecznie mgr, a jak się zmieści i nie będzie za drogie, to nawet mgr farmacji.

Wydawało się, że Karolina na tym zakończy swoje przygotowania. W pewną kwietniową sobotę ze spokojnym sumieniem pojechała do Warszawy; chciała zajrzeć do mieszkania córki, którą znów poniosło za granicę.

Maciejka była reporterką w jednej z największych gazet. Pisała o wojnach. W jej mieszkaniu na ścianach pełno było zdjęć ze świata - jakieś ruiny w Bejrucie, wozy pancerne w Kurdystanie. Wisiały przywiezione z Indonezji tkaniny, rzeźby i maski, a wszystko przesiąknięte było zapachem kwiatu pomarańczy.

Karolina podlała kwiatki, wyjęła listy ze skrzynki, przy okazji przekartkowała kalendarz Maciejki, zobaczyła z ulgą, że jej dzień wypełniony jest spotkaniami, w łazience przejrzała baterię perfum, wybrała flakonik o tajemniczej nazwie Ispahan, psięła się za uchem i w ten sposób nawdychała się życia córki. Potem, popijając w pokoju kawę z cynamonem, przeleciała wzrokiem po książkach na półce i wśród tomów o islamie, buddyzmie i szpiegach KGB dojrzała książkę o tym, jak umierali słynni ludzie.

Przez kilka następnych dni łamała sobie głowę, jakie powinny być jej ostatnie słowa. Siadywała w fotelu pod lampą, zakładała okulary i z uwagą, nieco nawet uroczyście, studiowała książkę Maciejki. Spodobała jej się bardzo córa któregoś z francuskich Ludwików, która w chwili śmierci rozkazała swej duszy: „Szybciej! Do nieba, galopem”. Cóż za silna kobieta - pomyślała z podziwem.

Karolina koniecznie chciała wyrzec coś, co by na zawsze weszło do historii rodziny. Na przykład, jak ta biedna Maria Teresa, wyznać: „Oto jedyny szczęśliwy dzień w moim życiu”. A może powiedzieć, jak Mata Hari idąca na stracenie: „Ależ dobrze mi się spało”. Lub też, jak owa królowa Portugalii, rzec: „Przynieście, proszę, krzesło dla tej promiennej damy, która zbliża się tu, cała ubrana na białe”.

Karolina uznała, że to ostatnie zdanie byłoby dla niej idealne. Już czuła, jak po kręgosłupach osób obecnych przy jej śmierci leci tam i z powrotem dreszcz. Lekki niepokój wzbudził w niej jedynie fakt, że królowa portugalska była również świętą.



Rozmyślania o śmierci przerwała w kwietniu, gdy w ogrodzie zakwitła morela. Potem były burze i przez jadalnię aptekarzy Szczupaczkiewiczów przeleciał piorun - wpadł oknem koło telewizora, wypadł przez lufcik w kuchni - i miasteczko tylko o tym rozprawiało przez okrągły miesiąc. Wypadek ten zajął nawet Karolinę, choć z natury nie lubiła stadnych zachowań i w ogóle szła pod prąd.

Lato było tak piękne, że postanowiła zamknąć sprawę własnej śmierci, tym bardziej że drzewka miały w tym roku nadzwyczaj dużo owoców i od rana do wieczora zajęta była robieniem zapraw na zimę. W dodatku Mateusz znów zaczął śpiewać przy goleniu „La Cumparsitę”, co oznaczało, że ma nową kochankę, i fakt ten ostatecznie przywołał Karolinę do rzeczywistości.

A we wrześniu, kiedy cały świat przygotowywał się do olimpiady w Sydney, przysniło jej się, że jest trupem. Myślała teraz o tym dziwnym śnie, przyrządzając kolację na dziesięć osób (nie licząc dzieci). Po południu miał przyjechać z Krakowa jej syn Maciej z rodziną, a z Warszawy - córka z nowym narzeczonym.

- Może tym razem to poważna sprawa - westchnęła Karolina, nachylając się nad otwartym prodżem i sprawdzając widelcem, czy cielecina doszła.

Zapowiedział się brat Mateusza z żoną, a także Szczupaczkiewiczowie, przyjaciele Karoliny i Mateusza od lat pięćdziesięciu.

No i skąd mi się wzięło to krematorium - kontynuowała myśl Karolina mieszając w rondelku sos z borówek. U nich w rodzinie nikt nigdy nie został spalony i ona, Karolina, do tego nie dopuści. Póki żyję! - pomyślała, pochyliła się i delikatnie zebrała wargami z drewnianej łyżki gorące borówki. Aż nią zatrzęsło: Siedzieć w postaci proszku w metalowym pudełku?! Jak w jakiejś konserwie! – i pomyślała wzburzona, po czym trzeźwo zauważyła: - Za mało cukru.

### 3

Goście przybyli, jak zawsze, niepunktualnie. Pierwsza przyjechała, w swoim fiacie w kolorze botwinki, Maciejka, z Warszawy, z pączkami od Bliklego i Piotrusiem, jak nazywała wielkiego dryblasa, na oko młodszego od niej o lat osiem. Różnica wieku mogła być jednak większa, bo Maciejka - ze swoimi krótko obciętymi włosami, wąskimi biodrami i małymi piersiami, które wyraźnie odcinały się pod zieloną bawełnianą koszulką (nie nosiła biustonoszy!) - nie wyglądała na swoje trzydzieści osiem lat.

Jej dryblas spodobał się Karolinie - cmoknął ją w rękę, zajrzał do kuchni, spróbował sosu z borówek! pochwalił, zażartował i zabrał się za ukrećanie sera.

O czwartej wpadł Mateusz. Przywiózł skrzynkę orzechów i dwie skrzynie koszteli i z hałasem wniósł je do kuchni. Karolina wybrała jedno jabłko, umyła, ugryzła i skonstatowała:

- Za mało słodkie.

Mateusz jednak tego nie słyszał. Przeleciał przez pokój, pocałował córkę w policzek, Piotrusiowi zaproponował kieliszek koniaku, a gdy ten odmówił, rzucił pod jego adresem w stronę Karoliny: - Piciuś glancuś. - Przebrał się nie wiadomo czemu w swoje japońskie kimono z ptakiem i kwiatami wiśni na plecach i już go nie było. Dochodziły tylko jakieś odgłosy - z garażu, w którym majstrował coś przy samochodzie, z ogrodu, gdzie w niewiadomym celu przeciągnął ciężką metalową drabinę z jednego końca w drugi, wreszcie z salonu - włączył tam telewizor, żeby obejrzeć wiadomości, a sam siadł na dywanie, pod swym własnym portretem pędzla pewnej jugosłowiańskiej malarki (malowała go z fotografii) i zaczął przeglądać porzrzućane wokół gazety.

- Tato, zaraz przyjdą goście - zauważyła z przyganą Maciejka. Mateusz nieuważnie odpowiedział:

- Tak, tak, już składam.

- Tato!

Nie reagował. Tylko ptak na jego kimonie poruszył skrzydłami.

Potem przyjechał Kraków i zrobiło się gwarno. Maciej - dość otyły czterdziestolatek o bardzo czerwonych, lekko spuchniętych wargach - demonstrował aparat cyfrowy i koniecznie chciał go komuś sprzedać, a czternastoletniego Stasia i pięcioletnią Muszelkę Karolina posadziła w kuchni przy stole, podsunęła im po kawałku piernika z lukrem i patrzyła, jak z niezmaconą niczym radością je pałaszują.

- Mam nadzieję, że nie chodzicie głodne? - zapytała nagle, porażona myślą, że jej wnuki mogą nie dojadać. Ewa, jej synowa, prowadziła kuchnię wegetariańską, co Karolina uważała za rozbój w biały dzień. Kiedy tylko mogła, mełła mięso i podawała dzieciom, mówiąc, że to soja. *Aniele Stróžu, wiem, że to grzech kłamać... Ale dzieci jedzą, aż im się uszy trzęsą, słowo daję!*

W domu synowi na pewno się nie przelewało. Ewa nie pracowała, a Maciej nie sprawdził się jako kapitalista. Kilka lat temu zaczął z kolegą sprowadzać z Czech ekologiczne trumny z tektury, żeby je sprzedać w objętej wojną Czeczenii. W chwili gdy nadszedł pierwszy transport, Czeczeni podpisali z Moskwą rozejm, trumny przestały być artykułem pierwszej potrzeby i Maciej splajtował, zanim jeszcze dorobił się cze-

gokolwiek. Powrócił do liceum, gdzie wykładał filozofię i historię za taką pensję, że, jak mówiła Karolina, śmiech bierze, w dodatku pusty śmiech. Mówiąc to, Karolina znacząco potrząsała ręką, jakby trzymała w niej pusty mieszek.

Andrzej, brat Mateusza, od progu ogłosił, że wygra! w totolotka dwieście złotych i cieszył się jak dziecko. Wydawał krocie na gry losowe, zwłaszcza odkąd zaszył sobie w plecach esperal. Bo Andrzej był pijakiem. Przynieśli z żoną prezent: niewielkiego aniołka z porcelany, w pofałdowanej sukience, z ostro zakończonymi skrzydłami. Boże, ile tych gratów w domu, a tu kolejny anioł - myślała Karolina, biegnąc do kuchni pilnować placka w piecyku. Odkąd w mieście nastąpiła inwazja aniołów, dostawali je od wszystkich znajomych. Karolina chowała je do szuflady, bo nie było z nich żadnego pożytku, tylko się kurzyły. Jedynie smutnego aniołka o mięsistej pupie postawiła sobie na toaletce przy łóżku. Dostała go od Maciejki. Wystrugał go, z drzewa oliwnego, Arab chrześcijanin. Maciejce sprezentował aniołka amerykański Żyd, menedżer w wytwórni jazzowych płyt kompaktowych w Nowym Jorku. Poznała go, gdy medytował na ławeczce naprzeciw grobu Chrystusa w Jerozolimie, a przy okazji zaczepiał dziewczyny; no, przynajmniej Maciejkę zaczepiał. Aniołka wręczył jej podczas wigilii, którą zjedli w Betlejem, w jednej z restauracji niedaleko placu Narodzenia Pańskiego.

Karolina uwielbiała każdemu opowiadać tę historię. Dodawała przy tym, wskazując na aniołka (wyraźnie przy tym rozdzielała sylaby):

- Kwint -esen -cja życia Maciejki.

Wybrany mówiła nawet, co jej córka i Amerykanin jedli na kolację.

- Steki! Krwiste! - W jej głosie nagana mieszała się z dumą. - A w dodatku popijali winem!

Jeden taki aniołek wystarczy za tysiąc - myślała, otwierając piekarnik.

Kiedy znów zajrzała do salonu, Mateusza nie było, dzieci oglądały jakąś kreskówkę na kanale Cartoon, dorośli siedzieli wokół drewnianej ławy, na której stały miseczki z chipsami i duża butelka coca-coli, a Maciejka pokazywała im zdjęcia z Jerozolimy.

- Zaraz pod murem jest cmentarz muzułmański, o, tutaj dobrze go widać. - Fotografia przedstawiała rzędy jednakowych grobów z białego kamienia. - Wiecie, że muzułmanie chowają ludzi szybko, w ciągu doby, zawiniętych w biały całun?

- To ciekawe - zainteresowała się przelotnie Karolina. - Nie trzeba się męczyć z pogrzebem.

- A ja bym powiedział, że my, Słowianie, jesteśmy zauroczeni śmiercią - rzekł Maciej, delektując się swoimi słowami, przez co jego wargi wydawały się jeszcze

bardziej czerwone, napęczniałe i w ogóle nieprzyzwoite. - To nas przykuwa do przeszłości, to nam nie pozwala lecieć do przodu, zdobywać. Ciągniemy po naszym życiu naszych zmarłych. Niepotrzebnie. Bo i po co?

- Ciągniemy? Ty przecież nawet nie wiesz, jak umarł twój dziadek! - trzeźwo zauważyła Karolina.

## 4

Karolina wiele razy będzie wracała do tego wieczora, będzie usadzać gości wokół stołu, sama zajmie miejsce na brzegu, najbliżej drzwi, bo i tak prawie cały czas będzie krążyć między kuchnią a stołowym, mieszać w rondelku, raz nawet zerwie się z krzesła z piskiem: - Cielecina się pali! - a innym razem Szczupaczkiwicz uniesie jej spódnicę i cmoknie: „Karolinko, a ty wciąż masz takie piękne łydki”.

Karolina wiele razy, budząc się w pustym łóżku i obciągając koszulę nocną, żeby jej nie znaleźli z gołą pupą, gdyby nagle zmarła, uskakiwała Szczupaczkiwiczowi i śmiała się głośno, za głośno. Andrzej dziesiątki razy zaciągał się papierosem marki Mars i tyle samo razy wypuszczał dym - wolno i z namaszczeniem, Ewa podciągała Muszelce czerwone rajstopy. Karolina wciąż stawiała na ławie miskę z grzybkami marynowanymi i klaskała w dłoń:

- Dzieci! Stasiu, Muszelka! Zaśpiewajcie coś wreszcie.

Staś siadał do pianina i przeżył się teatralnie. Unosił ręce nad klawiaturą, te swoje chude piszczeliki, i puszczał do Muszelki oko. Muszelka chichotała jak szalona, aż krzyżowała nogi ze śmiechu, i Karolina za każdym razem tak samo się bała, że jej wnuczka w końcu się posusia.

- A teraz cicho. Oglądamy wiadomości - mówił Mateusz i setki razy wkraczał do pokoju zamasyście, w żółtej marynarce w kratę, pośpiesznie się witał, włączał telewizor i kładł się na dywanie, podpierając głowę ręką. Ze swoimi jasnymi loczkami, wyraźnie zaznaczającą się łysiną i swobodnymi manierami wyglądał wciąż tak samo - ni to starzejący się mężczyzna, ni to wyrostek.

Przez następne tygodnie, a nawet miesiące, Karolina oglądała wciąż ten sam dziennik. Mówili o olimpiadzie w Sydney, o chorobie, od której szaleją krowy i ludzie, a także o nowej pigułce na szczęście i pigułce na seks. Gdy mowa była o seksie, wszyscy dyskretnie zerkali na Mateusza.

Tuż po dzienniku przyszli Szczupaczkiewiczowie. On - ruchliwy mały człowieczek - w koszuli z kołnierzykiem na guziczki, w muszce w białe grochy i w dziewczęcej peruce o jasnych, sięgających ramion włosach.

Gruchnęli śmiechem.

Szczupaczkiewicz pokłonił się peruką jak kapeluszem, po czym założył ją ponownie, ale trochę krzywo, tak że wyglądał jeszcze zabawniej i towarzystwo zaniósło się śmiechem jeszcze bardziej.

Za Szczupaczkiewiczem szła jego żona, robiąc wszystko, żeby pokazać, że głupa-wy żart aptekarza jej nie dotyczy.

Wszystko to Karolina rozpamiętywała w najdrobniejszych szczegółach. A także swoją rozmowę w kuchni z Mariolą, żoną Andrzeja. Opowiedziała jej sen, bo Andrzej owa знаła się na wahadelkach, umiała wróżyć z kart i z ręki, znała nawet tę nową modną metodę życia, która przysłała do nich z Azji i która nakazywała wyrzucać obite filiżanki. Mariola, prawdę mówiąc, nawet wyglądała trochę jak nie z tego świata; w jej wielkich czarnych oczach można było się zagłębić jak w dwóch mrocznych tunelach.

- Mówisz, księżniczko, że śnił ci się pogrzeb... - Mariola pochyliła się nad kuchennym stołem z taką miną, jakby penetrowała najgłębsze pokłady własnej jaźni. - Widocznie masz w sobie potrzebę zmiany. Musisz zacząć życie od początku, księżniczko.

- W moim wieku?! - zmartwiła się Karolina.

- Może powinnaś zacząć się uczyć chińskiego? Nie śmiej się, moja koleżanka chodzi na lekcje do pewnego Chińczyka, a ma sześćdziesiąt lat. W każdym razie ten sen to nic strasznego. Jeśli śni się śmierć, to nigdy nie oznacza, że ktoś umrze.

A na samym końcu Karolina wносиła na podłużnym półmisku karpia w galarecie, kładła półmisek na stole, brała nóż, kroila rybę na porcje, rozdzielała pomiędzy gości, a ostatni kawałek dawała Mateuszowi. A kiedy on unosił kęs do ust, jak zwykle duży, bo zawsze był łapczywy, wtedy w ostatniej chwili sięgała ręką, mówiła:

- O, ość.

Karolina miała i inne wersje tego samego wydarzenia, gdy budziła się w parne noce pachnące różami, które Mateusz zasadził w ogrodzie, albo w noc zimowe, gdy wybijała ją ze snu nagła cisza, z jaką padał śnieg.

Niekiedy w ogóle nie dawała mężowi karpia. Czasem to Mateusz machał ręką: daj samą galaretkę. Dwa czy trzy razy, kiedy była naprawdę wściekła, podsunęła kawałek należący do męża komu innemu: raz Szczupaczkiewiczowej, a raz bratu Mateusza, temu z esperalem w plecach.

Tylko że zaraz potem zjawił się Mateusz i zrobił jej straszną awanturę: że nigdy nie lubiła Szczupaczkiewiczowej, że była o nią zazdrosna, bo Szczupaczkiewiczowa

nosiła biżuterię i była zawsze starannie wymalowana, i że specjalnie podłożyła jej tę ość.

Z Andrzejem było jeszcze gorzej. Kiedy ość znalazła się na jego talerzu, Mateusz tylko popatrzył na Karolinę z wyrzutem. A wzrok miał szczególny. Wielkie oczy dziecka, w kolorze migdała lub słodkiego cynamonu, którym Karolina lubiła posypywać ryż. Kiedy patrzyły z wyrzutem, to jakby cały świat spoglądał z żalem. Pod tym wzrokiem Karolina, tak zawsze wojownicza, stawała się coraz mniejsza i słabsza, jeszcze mówiła coś do siebie, ale już coraz ciszej i z coraz mniejszym przekonaniem.

Znowu więc karpia zjadał w jej głowie Mateusz.

Nadział go na widelec i trzymał jak chorągiew i właśnie opowiadał, jak go sfilowali w programie „Śmieję się sam z siebie”, i puszczał oko, i śmiał się, aż ze śmiechu prychnął jedzeniem wokoło, a Karolina, która zawsze wszystko widziała - nawet w kościele, w czasie podniesienia, gdy inni mieli spuszczone głowy, oczy zamknięte, ona widziała, jak ksiądz przygląda się ponad monstrancją desce pod sklepieniem, zza której to wysuwa się, to cofa szczurzy pyszczek - Karolina więc dojrzała ość w Mateuszowej rybie, nachyliła się, podważyła ją widelcem, złapała delikatnie dwoma palcami, wyciągnęła i triumfalnie położyła na swoim talerzu.

Ale to działo się potem, a na razie był sobotni wrześnieowy wieczór, w całym domu pachniało różami, a Karolina szła właśnie do kuchni, chichocząc, bo Szczupaczkiwicz znów złapał ją za łydkę, szła po karpia w galarecie, który chłodził się w lodówce.

## 5

Tej nocy wielu osobom w zupełnie różnych stronach kraju, a nawet świata, przyśnił się Mateusz. Nawet takim, które widziały go raz jeden jedyny i to przelotnie. Jak ów arabski kupiec z Sycylii. Był słoneczny letni dzień. Starzec przyczłapał na targ, gdzie trzymał swój kramik; rozłożył kartony, rozwiązał węzełek, a miał tam liście mięty i innych ziół, zasiadł w kucki, podwijając białą galabiję, i zaczął skręcać papierosa, gdy wzrok jego zbłądził na herbaciarnię na rogu i zahaczył o taborecik, a na taboreciku siedział biały mężczyzna w słomkowym kapeluszu, przyglądał mu się spod runda i ołówkiem szkicował coś na kartce - bo Mateusz, kiedy chciał się odprężyć, rysował. Nie wiadomo z jakiej przyczyny Arab zapamiętał Mateusza i przyśnił go sobie tej właśnie nocy.

Przyśnili go też sobie kierowcy taksówek i kasjerzy w bankach, jego klienci, robotnicy w jego fabryce, jego sąsiedzi i jego bracia, a nawet jego zmarła teściowa.

Mateusz mknął przez świat, od snu do snu, nieświadom granic ani ras, wolny, swobodny, jak zwykle nieokiełznany, Mateusz, rzecz by można, globalny.

Przyśnił się także swoim kochankom, dawnym i nowym, młodym i starym, tym, które już dawno o nim zapomniały, i tym, które w pudełkach po piernikach toruńskich trzymały jeszcze przewiązane czerwoną wstążką jego pocztówki. Przyśnił się dziewczynom, które rozbierał na sianie, na mchu, na zielonej kozetce w gabinecie lekarskim doktora Niedbalika. Które rozbierał w pokojach hotelowych pierwszej klasy, gdzie za każdym razem, purytańsko, stały dwa wąskie łóżka pod przeciwległymi ścianami. Przyśnił się im wszystkim. Spacerował w ich snach, jak to on, przyczajonym krokiem i uśmiechał się figlarnie, a jego oczy robiły się coraz większe i bardziej dziecięce, aż pochłaniały wszystko.

Jego kochanki budziły się jedna po drugiej, siadały na skrajach łóżek, poprawiały koszule nocne na dużych piersiach, poprawiały siwe włosy i wsłuchiwały się w oddech leżącego obok mężczyzny. Okazywał się ich mężem, niestety.

W pierwszą niedzielę września w miasteczku rozdzwoniły się telefony. To kochanki Mateusza dzwoniły do kuzynów, których nie widziały czasem od trzydziestu lat, do znajomych, a nawet do nieznajomych, niby to zapytać o nowiny, a tak naprawdę dowiedzieć się o Mateusza.

A miasteczko niezmiennie odpowiadało:

- Zmarł tej nocy, tragicznie, z powodu ości, która wpadła mu do przełyku, przebiła tchawicę i zaczopowała się z dwóch stron tak mocno, że nawet lekarz, już po śmierci, nie mógł jej wyciągnąć.

## 6

- Twój ojciec nawet umrzeć po ludzku nie umiał - mówiła trzy miesiące później Karolina do Maćka. Przyjechał pomóc jej wytrześć dywan na święta. Patrzyła, jak go zwija, jak podnosi meble i na drewnianą podłogę, która się spod niego wyłaniała, spoglądała na jego szczupłe dłonie i długie palce filozofa, na których, gdy został biznesmenem, pojawił się złoty sygnet, i mówiła z przyganą: - Zawsze był przekorny. Śmierć też miał przekorną.

Chwilę wsłuchiwała się we własne słowa, jakby je wypowiedział ktoś inny, po czym nagle wykrzyknęła ze złością:

- Och, jak on lubił być w centrum uwagi!

Maciej, zawsze tak gadatliwy, tym razem nie odpowiedział.

- A jak lubił rządzić! - wyrzuciła z siebie Karolina. - Mateusz, wśród obcych cudownie beztroski, w domu stawał się tyranem.

Myśl Karoliny poszybowała ponad dywanem, kominkiem, tarasem i gdzieś nad czereśnią zobaczyła, jak w niedzielny poranek... W niedzielę, zaraz po kościele, Mateusz wysyłał jedno z dzieci po gazety, które kioskarka przez cały tydzień odkładała do teczki z ich nazwiskiem. Karolina ujrzała naraz małego Maćka, jak wchodzi ze stertą gazet, przyciska je oburącz do siebie, bo pojawiły się już wtedy kolorowe tygodniki ze śliskimi okładkami i trzeba było mocno je trzymać, żeby nie wyslizgnęły się z ręki. Zobaczyła jeszcze - bo Karolina zawsze wszystko widziała - jak Maciek ukradkiem zerka na dziewczynę z ostatniej strony „Panoramy”, na jej bujne blond włosy i odkryte piersi, a nawet jak kciukiem pieści jej sutek.

Mateusz brał od niego gazety, rzucał na fotel, sam siadał na szczycie. Karolina zajmowała drugi fotel, zupa wolno pyrkała na kuchni, w telewizji leciały zawody narciarskie (kiedy Karolina myślała o niedzielach, zawsze przychodziły jej na myśl skoki narciarskie w telewizji).

Mateusz siedział na gazetach jak wódz, jak zwycięzca. Jak sam Bóg, bo to on przecież przygniatał pośladkami prezydentów i partyjnych sekretarzy, porozumienia pokojowe i wypowiedziane wojny, siedział na szczycie wzgórz Golan i Korei Północnej, i Białego Domu, i Pałacu Kultury, a nawet na szczycie Kremla.

Pierwsza padała jego łupem „Kobieta i Życie”. Wyciągał ją spod pośladka i z wyrazem nieskrywanej pogardy podawał Karolinie. Sam zagłębiał się w lekturze „Życia Warszawy”. Czytał metodycznie, strona po stronie. Czasem coś go oburzyło, wtedy wołał: - Słuchajcie! - i na głos odczytywał cały akapit, przy tym z przejęcia głośno wciągał powietrze. Karolina zawsze miała wrażenie, że jej mąż patroszy gazetę z informacji jak rybę, tyle że bez kozika.

W końcu rzucał ją na dywan, zmięta, z poprzewracanymi stronami i stwierdzał:

- Politycy to szubrawcy, bandyci i złodzieje!

Dopiero wówczas po dziennik mogli sięgnąć oni, a Mateusz przecinał nożem strony „Przekroju”.

Kiedy dzieci podrosły, na marginesie przy pewnych artykułach kreślił czerwony wężyk, a przy niektórych akapitach stawiał nawet grube wykrzykniki. Te artykuły należało przeczytać i nad tymi akapitami się zastanowić.



Ale o tym wszystkim Karolina przypominała sobie wiele tygodni później, gdy ucichł cały ten gwar związany ze śmiercią Mateusza.

Na razie trzymała się dzielnie, aż do stypy po pogrzebie. Wpadała wprawdzie łatwo w histerię z powodu zabłoconego dywanu, ale gdy wokół działały się rzeczy groźne, potrafiła zachować zimną krew.

Twarda była; gdy miała piętnaście lat i widziała, jak z rozłupanej pociskiem głowy wypada mózg i toczy się po ulicy, podskakując na kamieniach - jak piłka, myślała, zupełnie jak piłka, tak że gdyby nie widziała, jak głowa rozpada się na dwie części, to nigdy by nie uwierzyła, że to mózg skacze po ulicy - nawet nie krzyknęła, nic, tylko patrzyła i zauważyła trzeźwo: O, skacze jak piłka, i dopiero po latach zdarzało się, że ta piłka zaczynała skakać w jej głowie.

Tylko na początku straciła głowę, gdy Mateusz leżał na dywanie i już nie prychnął wokół jedzeniem, leżał spokojnie i był zupełnie nieruchomy. Ktoś próbował podnieść martwe ciało, ktoś inny krzyknął, żeby nic nie ruszać, wszyscy kręcili się w kółko, aż lekarz z pogotowia zaczął wypisywać kartę zgonu, a Maciejka stanęła nad nim i zapytała bezradnie:

- Proszę pana, co się robi, kiedy ojciec umiera?

Karolina siadła ciężko przy stole i pomyślała trzeźwo: Mój Boże, on chyba nie żyje.

Patrzyła na swojego męża i nie czuła żadnego żalu. Leżał na dywanie skurczony, z otwartymi ustami i dziwacznie wygiętymi nogami. Był nieżywy. Był bardziej nieżywy niż noga od stołu.

*Aniele Strózu, przecież tak nie powinno się umierać, tak się w ogóle nie umiera, w takiej ciszy, a trzy domy dalej tak zwyczajnie szczeka pies i jeszcze w kuchni gwiżdże czajnik. To powinno być jakoś inaczej, napięcie powinno powoli rosnać, jak u Hitchcocka, grać muzyka, pioruny bić, niebo powinno się otworzyć. Jak można umrzeć tak bezczelnie, przez ość, która wbiła się w tchawicę, w czasie, gdy woda gotowała się w czajniku? Amen.*

Gdy lekarz wreszcie wypisał akt zgonu, przyjechał, z dwoma pracownikami, sam szef zakładu pogrzebowego, pan Józef Kwatera. Zabrali Mateusza.

Goście pozmywali, posprzątali i poszli do domu, bo też nie wiedzieli, co się robi, kiedy ktoś umiera.

Piotruś pojechał do Warszawy, żeby, jak powiedział, nie przeszkadzać.

Maciejka, krążąc bezużytecznie między kuchnią a stołowym, wlała w siebie z pół butelki whisky - Mateusz dostał ją od wdzięcznego proboszcza za przybicie Jezusa do krzyża, bo się nieco obluzował - i poszła spać.

Maciej zamknął się w pokoju z rodziną i przez drzwi słysząc było, że się naradza-  
ją.

Dopiero wtedy Karolina została sama. Miała wrażenie, że coś powinna zrobić, nie mogła sobie jednak przypomnieć co. Postanowiła zgasić wszystkie światła i iść do sypialni, ale spojrzała na dywan i zobaczyła leżącego Mateusza, mimo że go tam wcale nie było. Poczuła, jak na samym czubku głowy robi jej się gęsia skórka. Zamknęła oczy. Pomyślała jasno i trzeźwo: Mój mąż nie żyje. Mateusz Ptak, artysta stolarz, dyrektor.

I natychmiast w to nie uwierzyła. Cała ta historia, brzydka i bolesna, trzeba przyznać, dotyczyła przecież jakiegoś innego Mateusza i zupełnie innej Karoliny.

## 7

W środę odbył się pogrzeb Mateusza. Do trumny Karolina ubrała go w stare kalesony, serdak i garnitur w kolorze szafirowym, bo żaden inny na niego nie pasował - Mateusz utył ostatnio.

Maciejka była oburzona.

- Pochowałeś go w serdaku?!

Można było sobie wyobrazić Mateusza we fraku, w muszce, a nawet w posrebrzanej koszuli, ale nie w serdaku.

- Co miałam robić? - tłumaczyła się Karolina. - Zapowiadał się wietrzny dzień.

We wtorek wieczorem Karolina wyjęła z sypialnianej szafy garsonkę, w której mieli ją pochować. Przymierzyła, spojrzała w lustro. Nie spodobała się sobie w czerni. Wyglądała w niej jakaś zszarzała. Co więcej, garsonka wyszła już nieco z mody, a kamizelka piła w pachy. Będę niemodną wdową - pomyślała Karolina. Zrozumiała, że jest wdową. Ludzie będą o niej mówić: O, ta w czerni, wdowa po Mateuszu. Zaskowyczała jak psiak.

Pogrzeb Mateusza był bardzo elegancki. Trumnę - z szybką, import z Ameryki! - nieśli panowie w czarnych frakach, czarnych muchach i białych rękawiczkach. Szły poczty sztandarowe drużyn harcerskich. Dzieci ze szkoły ze swoim wychowawcą. Szli jego klienci, a tych było bez liku. Dyskretnie, z tyłu, szły jego kochanki.

Na przodzie, tuż za trumną, pomiędzy córką a synem, kroczyła Karolina. Myślała: Jestem wdową i oto'idę za trumną mojego męża, który zmarł, bo zadławił się ością.

Chrzęścił żwir. Pomyślała: O, chrzęści żwir. Powinnam zapłakać, wszyscy na mnie patrzą.

Potem pomyślała ich myślami: Spójrz, wdowa, a nawet nie uroni łzy.

Potem pomyślała myślami kogoś, kto popatrywał na nią z góry, pewnie z tego strzępiastego obłoku, co stał właśnie nad stawem: Widzicie, to ta, co nie obrała karpia z ości.

Karolina poczuła, jakby ktoś uderzył ją w kark. Maciek chwycił ją mocniej pod ramię, a ona wyprostowała się i mruknęła ku górze:

- Zamknij się. Przecież to nie moja wina.

Szli piaszczystą drogą, wśród sadów. Nad drogą kołysały się gałęzie oblepione jabłkami. Słońce mocno grzało. Odbijało się na czerwonej skórce jabłek. Jakie soczyste! Och, sięgnąć po nie, zerwać. Karolina powstrzymała się w ostatniej chwili: Nie. Pomyśleliby: Kradnie jabłka z cudzego sadu w czasie pogrzebu własnego męża.

Chrzęścił żwir.

Znów zauważyła: O, chrzęści żwir. To dobrze, że dzień taki piękny. Piasek będzie sypki i lekki.

Nie wiedziała jednak, że piasek jest tak sypki, że do tej pory nie udało się zbudować porządnej drogi na nowy cmentarz. Podjazd był stromy i trumny woziko się na wózkach.

Kiedy doszli do podnóża góry, niebo zaciągnęło się czarnymi chmurami, błysnęło, rozległ się grzmot i z otwartego nieba zaczął padać grad, a każda kulka wielkości migdała.

Cały kondukt rzucił się do trumny. W mgnieniu oka przenieśli ją na wózek i zaczęli pchać pod górę. W pierwszym rzędzie napierała Karolina, bo zawsze pierwsza rzucała się do pchania, taszczenia, noszenia ciężkich waliz. Tym razem chciała też jak najszybciej włożyć Mateusza do grobu i zrobić z tym porządek. Znaczący - z pogrzebem zrobić porządek.

Po dwóch godzinach pchania wózka przy akompaniamencie okrzyków i przeraźliwego pisku kół drogą, która coraz bardziej zapadała się w siebie, i po krótkiej modlitwie nad grobem udało się wreszcie pochować Mateusza. Prawdę mówiąc, pochowano go przy dźwiękach „Happy Birthday”, wydobywających się z wnętrza grobu. Karolina założyła mężowi jego najlepszy krawat, amerykański, zielony w żyrafy; zapomniała tylko, że jest to krawat z pozytywką.

Kiedy trumna łupnęła o dno dołu, grad ustał i znów wyszło słońce. Wtedy dopiero Karolina zrozumiała, że to koniec.

Miasteczko mówiło potem, że stolarz nie śpieszył się do grobu. Nic dziwnego, przecież nie było chyba na całym świecie człowieka, w którym byłoby więcej życia niż w Mateuszu.

W miasteczku pojawili się czterdzieści lat wcześniej, w tym samym czasie, kiedy w kraju zniesiono święto Trzech Króli, w Berlinie postawiono mur, Gagarin obleciał ziemię, kończył się kolonializm w Górnej Wolcie, demonstrowali Murzyni amerykańscy, domagając się praw wyborczych, Chruszczow uderzał butem w oenzetowski stół, w Warszawie prokurator żądał kary śmierci dla garbarzy, którzy nielegalnie garbowali skóry, zmarł Clark Gable, a król Belgii ożenił się z księżniczką Fabiolą.

Ona - młodziutka pani magister farmacji w szarym na miarę różowym kostiumie i białej bluzce z żabotem, on - artysta stolarz z uroczą zmierzwionymi włosami. Zajęli piętro domku tuż przy stacji kolejowej, nad apteką. On pracował w fabryce mebli, w której pisał się szybko po szczeblach kariery, a po pracy całe dni siedział w stolarni i wycinał z drzewa figurki. Ona w tym czasie urzędowała w aptece. Najbardziej lubiła mieszać lekarstwa. Czuła się wtedy jak Bóg. Ważyła białą proszek z trucizną, wiedząc, że jeśli wsypie pół miligrama więcej, to pacjent umrze. Pół miligrama to była różnica między życiem a śmiercią. Szczypta. A nawet ćwierć szczypty.

Byli jak ogień i woda. Ona pochodziła z zachodu, spod Poznania, i uznawała pruski dryl. Firanki musiały być bielsze od bieli, a kluski na parze tak pulchne, by po zjedzeniu trzech gości nie mógł wstać od stołu. W życiu liczyły się trzy sprawy: Bóg, rodzina i pieniądze, niekoniecznie w tej kolejności.

On pochodził ze wschodu, z podlubelskiej wsi. Lubił tańczyć do rana, polować o świcie, pić grzane piwo i kochać. Miasteczko uwielbiało go. Nie było domu, w którym by w ciągu tych czterdziestu lat nie wyrzeźbił okiennic albo krasnała dla maluchów czy świątka, nie posklejał krzesła, którym szanowny małżonek raczył rzucić w szanowną małżonkę, czy choćby nie wyciął serca w sławojce. Mateusz bowiem, bez względu na to, jak wysokie stanowisko zajmował, nie zapominał, że jest przede wszystkim stolarzem. Do prostych ludzi też miał podejście. Zanim się zabrał za naprawianie krzesła, zawsze wypytał, gdzie je kupili, od kogo, za ile, czy im wiernie służyło, obracał je w milczeniu w rękach, jakby próbował odgadnąć, czym w istocie chce być. Zdarzało się - i to nieraz - że stół, który co i rusz się rozklejał, zapragnął być półką na książki, choć książek w tym domu nie było, oprócz, rzecz jasna, katechizmu świętego.

Mateusz nie omieszkał też przy okazji wypytać o zdrowie żony, dzieci, ostrożnie (bo przecież był komunizm) popsioczyć na władzę, co to już piąty rok buduje szkołę, i na księdza, który zamiast na biednych, wydaje pieniądze na nowe ornaty.

Na odchodnym pytał:

- A jaka u was elektryka? Nie iskrzy? Kontakty się trzymają? A papierosy dobrze gasić w popielniczce! I nie wyrzucać od razu do śmieci.

W młodości bowiem Mateusz był także strażakiem. Karolina powiedziałaaby, że Mateusz lubi być bohaterem. To prawda, kochał poklask. Ale uwielbiał też ryzyko. Czy mogło być coś bardziej ekscytującego niż chwila, gdy nad jego głową kołysała się płonąca belka? Słyszał, jak skwierczy, już się osuwała, wiedział, że za chwilę rozlegnie się syk i belka spadnie. Bał się. Czuł pulsującą krew w skroniach, słyszał łomot swojego serca, czuł zimno na wargach i dopiero wtedy wiedział, że żyje. Kiedy belka, spadając, omijała go o włos, myślał: No, tym razem się udało. Był może nawet nieco zawiedziony.

Gdy długo nie było pożaru, Mateusz zaczynał się niepokoić. Chodził z kąta w kąt, robił kąśliwe uwagi, wieczorem popijał napoleona i był zły. Zrywał się, wyprowadzał z garażu samochód i mamrocząc coś pod nosem, odjeżdżał - do pobliskich Puław, Radomia czy nawet do Warszawy. Tam, z opuszczoną głową, z podniesionymi ramionami przemierzał ulice, nie patrząc na ludzi ani na wystawy.

Był w nim wieczny niepokój, który przygasał dopiero, gdy Mateusz wchodził do płonącego domu. Uratował wielu ludzi.

Przychodzili do niego przed każdymi świętami. Przynosili upolowane zające, kossze jaj, naszyjniki suszonych prawdziwków, osełki masła w liściach chmielu, dopiero co zarżnięte kury, olbrzymie sumy i karpie jeszcze ruszające płetwami - i wszystko to ładowało przed przerażoną Karoliną, która w rodzinnym domu nauczyła się zaledwie gotować jaja na twardo i smażyć naleśniki.

Mateusza kochały kobiety. Kochały spojrzenie niewinnego dziecka, które zwracał ku nim, jednocześnie pod stołem trącając kolaniem ich kolana. Uwielbiały sposób, w jaki całował ich dłonie, choć robił to z elegancją fryzjera z warszawskiej Pragi.

On kochał je wszystkie, prawie bez wyjątku. Na balu wydawanym raz w roku w remizie strażackiej potrafił uwodzić kilka jednocześnie, a każda z nich myślała, że jest jedyna. Na stryszku dopadał żonę komendanta, lgnęli do siebie, klękali na podłogę, a on już niecierpliwie jedną ręką sunął pod jej sukienkę, drugą rozpinął pasek, opuszczał spodnie i szybko, łapczywie nadziewał ją na siebie, a taki był przy tym gorący. Na dole grali „Kalinkę”. Słyszając kroki na schodach, umykał drugim wyjściem i w kuchni atakował żonę lekarza - biodrem jej biodro, oddechem jej oddech. Wchodził potem do sali balowej i patrzył, a jego spojrzenie leciało przez cały pokój ponad głowami tańczących, docierało na sam koniec, chwytalo wzrok żony dyrektora tartaku i zagłębiało się w jej oczach, aż do samego żołądka.

Tylko Karolina widziała - bo Karolina widziała wszystko - jak żona komendanta schodzi ze stryszku i ma niedopiętą sukienkę, a żona lekarza wymyka się z kuchni zarumieniona, no i żona dyrektora tartaku, gdy patrzy na Mateusza, to ma zbełtany wzrok.

Uwodził kobiety od dnia ślubu aż do swojej śmierci niemal pięćdziesiąt lat później. Uwodził coraz młodsze i coraz ładniejsze. Przedostatnia - pewna treserka psów - była w wieku Maćka.

A potem uwodził je po swojej śmierci.

## 9

Boże, czy ja go kochałam? - pomyślała Karolina wieczorem, w pustym już mieszkaniu. Było po stypie, w stołowym stały zsunięte stoły, a na nich talerze i kieliszki, bo Karolina prosiła, żeby nie sprzątać, a kiedy Karolina o coś prosiła, to lepiej było jej się nie przeciwstawiać.

Siadła przy stole i pustym wzrokiem popatrzyła na karafki po wódce, na ogryzione kości kurczęcia porozrzucane na zastawie stołowej i nagle wzięła ją cholera. Ja tego dłużej nie wytrzymam - pomyślała, zaciskając dłonie na brzegu stołu. - Dlaczego on mi to zrobił!

Naraz zobaczyła w jednej chwili całe swoje życie - prawie pół wieku zrad i szarpaniny. Przypomniała sobie nagle wszystkie jego kochanki, co do jednej, bo prędzej czy później dowiadywała się o nich, przypomniała sobie noce nieprzespane i głuche telefony, i zapomniane rocznice ślubu, wszystko to sobie przypomniała, pomyślała, że całe życie była strażniczką zimnej zupy własnego męża, i jeszcze przyszło jej na myśl, że gdyby wcześniej wiedziała, że on we wrześniu zadławi się ością, to ona by go uprzedziła. A tak. I poszłoby mu to w pięty.

Czekałaby na niego z kolacją, jak tamtego dnia, kiedy pojechał wymierzyć pokój doktora na biblioteczkę, ale miał szybko wrócić. Usmażyła jego ulubione placki ziemniaczane, a Mateusz nie wracał, i kiedy on coraz bardziej nie wracał, ona coraz bardziej patrzyła na siebie z boku i nagle całkiem się od siebie oderwała i zobaczyła przed sobą starzejącą się kobietę, rozpaczliwie wyczekującą męża, który ją zdradza.

Gdyby wiedziała, że we wrześniu ość przebiję mu tchawicę, to powinna to była zrobić właśnie tamtego wieczora.

Karolina wyobraziła sobie, jak staje na stole, jak zarzuca sznur na hak od lampy, jak zakłada sobie pętlę na szyję i czeka. W chwili, gdy otwierają się drzwi wejściowe i

wchodzi Mateusz, ona mocno odpycha się od stołu. Zobaczyła swoją twarz, jak wisi na wysokości jego twarzy, wykrzywioną szyderczo. Zobaczyła także twarz Mateusza, przerażoną.

Dopiero wtedy poczuła się spokojna.

Karolina nie powiesiła się na lampie miedzianej. Tej nocy, między godziną pierwszą a trzecią, zastygła z wściekłości i niemocy. Wynoszono ją rano do karetki pogotowia. Siedziała na krześle wyprostowana, lewą rękę wznosiła nad głowę, prawą zaciskała na nożyku do owoców.

- Jakby nim chciała kogoś zaatakować - opowiadała szeptem sąsiadka, pani Podkolanko, która poprzez krzaki bzu widziała, jak pielęgniarze nieśli Karolinę przez ogród.

- Mama nie zniosła myśli, że już nie może ojca ochrzanić - mówiła bratu Maciejka, a on przyznał jej rację.

Karolina uważała, że świat powinien się toczyć według ściśle określonych reguł. Szuflady powinny zamykać się bezszelestnie, politycy winni być uczciwi, lato gorące, zima mroźna, a miłość małżeńska - do grobowej deski. A ponieważ świat zazwyczaj toczył się jak pijany dróżnik, Karolina, osobiście tym dotknięta, wpadała w szał, w istną histerię, póki - jeśli tylko mogła - nie zawróciła go na dobrą drogę.

Śmierć Mateusza nie mieściła się w jej kalkulacji. W gruncie rzeczy Karolina chyba myślała, że Mateusz jest nieśmiertelny. Czyż mógł być śmiertelny człowiek, który swoimi pośladkami przygniatał Paryż i Moskwę, i nawet prezydentów USA, wszystkich po kolei, od 14 lutego roku 1952, czyli dnia, kiedy się pobrali, przez blisko pół wieku?! Czy mógł umrzeć człowiek, który dziennie brał czterdzieści dziewięć tabletek - na sen, na energię, na pamięć, na dobre samopoczucie, a przede wszystkim witaminy A i E, które, jak wierzył, uratują jego młodość? *Aniele Strózu, sam powiedz, jak może umrzeć człowiek, który co dzień przyjmuje czterdzieści dziewięć tabletek?*

Czemu więc zmarł?

W rzeczywistości w ostatniej chwili przed tym, jak skatatoniała, Karolina pomyślała, patrząc na zegar, a dochodziło właśnie wpół do drugiej w nocy: Wpół do drugiej, a jego nie ma... Przyszło jej na myśl, że Mateusz od niej uciekł. Wreszcie mu się udało! Choć to ona miała od niego odejść.

Spakowała swoje sukienki cięte z klosza, szyte przez wdowę po naczelniku stacji kolejowej, swoje pierścionki, włożyła płaszcz, wzięła Maćka w beciku i zerknęła na zegar. Pociąg do Poznania odjeżdżał o wpół do trzeciej. Była dopiero druga, więc Karolina przysiadła na stołku w przedpokoju, wsłuchując się w mijające minuty. Z góry dochodził do niej odgłos kroków Mateusza. Chodził nerwowo po przekątnej sypialni:

okno - drzwi, okno - drzwi, a lampa w przedpokoju kołysała się w takt jego kroków. Pojawił się na schodach dokładnie w chwili, gdy wstała, zamaszystym ruchem ściągnęła pasek płaszcza, jedną ręką przycisnęła becik do piersi, drugą chwyciła czarną błyszczącą walizkę z tektury i ruszyła ku drzwiom wyjściowym.

- Jedziesz? - zapytał.

Stał na schodach, przechylał się przez barierkę i uśmiechał do niej szyderczo.

- Jadę - powiedziała zadziornie.

- Można wiedzieć gdzie? Zawahała się, nim odrzekła:

- Do matki.

Zszedł dwa stopnie w dół.

- Nigdzie nie pojedziesz.

Wzruszyła ramionami i pewnym krokiem skierowała się do drzwi. Energicznie zastukały jej obcasiki, upierając się: „A właśnie że pojedę”.

W chwili, gdy położyła rękę na klamce, rzucił od niechcienia:

- Twój pociąg już odszedł. Opóźniłem zegar w stołowym.

- Nieprawda - odrzekła i w jej głosie brzmiała i rozpacz, i ulga.

Karolina skatatoniała, ale nie trwało to długo, bo w życiu zwykle kierowała się rozsądkiem. Otrzymała dwa czy trzy wstrząsy elektryczne i najwidoczniej uznała, że to dość, bo jak nagle zastygła, tak niespodziewanie przebudziła się i pięć dni później wróciła do domu. Jeszcze przez trzy tygodnie snuła się nie wiedząc, czy się zabić czy nie. Do życia przywrócił ją odkurzacz. Zepsuł się, co ją doprowadziło do szewskiej pasji. No i z tej złości zachciało jej się naraz żyć.

## 10

Skończył się listopad i nadszedł mokry grudzień. Trzy miesiące po pogrzebie Karolina weszła do kuchni i wrzasnęła do Mateusza:

- Znowu zostawiłeś talerz na stole!

I już, już miała mu zrobić wykład na ten temat, bo Mateusz w kuchni potrafił tylko dwie rzeczy: doprawić barszcz i odwrócić się na stołku i włożyć talerz do zlewu. Karolina więc, całkiem słusznie, uważała, że jego obowiązkiem (psim!) jest wkładanie naczyń do zlewu. Wrzasnęła i ścierpła, bo nagle poraziła ją myśl: Przecież Mateusz nie żyje - i zaraz druga: To nie może być jego talerz - i natychmiast trzecia: Boże, czy ktoś słyszał, jak ochrzaniam Mateusza, choć go tu wcale nie ma?



Przez następne godziny chodziła po domu, podśpiewując pod nosem arię torreadora z opery Bizeta, co robiła za każdym razem, kiedy palnęła jakieś głupstwo.

Kiedy wiele miesięcy później będzie myślała o tym okresie, przyjdzie jej na myśl, że czuła się, jakby ją ktoś zamknął w termosie, w którym krążyła w kółko, objając się o śliskie ścianki. Na świecie była piękna jesień, drzewa w połowie rdzawe, w połowie jeszcze zielone, cała ulica Celofanowa wylęgała do ogrodów wdychać świat. Ona tego nie widziała. Prawie nie wychodziła z domu. Ubierała się w byle co. Kiedy wreszcie postanowiła sobie umyć włosy, to była tak roztargniona, że użyła do tego płynu do higieny intymnej. Raz wyszła do miasta. Po drodze cały czas macała swoje biodra, bo wydawało się jej, że czegoś zapomniała włożyć - majtek, rajstop, spódnicy - nie do końca też była pewna, czy ma buty na nogach, a może nogi na butach, diabli wiedzą, o co chodzi z tymi butami. W mieście bez przerwy najeżdżały na nią samochody, żeby ją zabić. W dodatku ludzie na nią patrzyli i sobie myśleli. Pewnie myśleli o Mateuszu, o jego kochankach. Wróciła do domu skonana i upokorzona. Jadła niewiele. Nie chciało jej się robić nawet zwykłego śniadania. Skubała tylko bułkę dookoła i oskubaną odkładała na talerz. Na myśl o obiedzie ścisnęła jej się krtań. Obranie trzech ziemniaków wydawało się jej czynnością pozbawioną sensu i prowadzącą donikąd. Zmuszała się, żeby zjeść kromkę z plastrem sera, albo kaszę gryczaną z jajkiem, ale cokolwiek brała do ust, miało smak niesmaczny. Żuła skórkę chleba, a potem wypluwała ją do śmieci.

Najchętniej siedziała w fotelu, w ciemności, bez ruchu. Zapadała na długie godziny rozmyślań, z których budziła się nie pamiętając, o czym rozmyślała.

Zanurzała się w dziwnym stanie bycia-niebycia, a zwłaszcza bycia-niebycia żoną bądź wdową Mateusza, artysty stolarza. Miała wrażenie, że świat wymknął się jej spod kontroli. Przecież od ponad czterdziestu lat zasypiała z jego oddechem na szyi. Zdradzał ją, to prawda, ale przynajmniej żył. Och, jak ona nieraz chciała go zabić, zamordować, zetrzeć na proch! Ale przecież nie zupełnie... Nie tak, żeby go już nigdy więcej nie było!

O Mateuszu myślała maniakalnie i nieustannie. Myślała - jak to jest? Spała koło niego, ona go dotykała, on ją dotykał, a teraz rozkłada się w grobie. Kawał butwiejącego mięsa, zjadanego przez robaki, tyle mu zostało z życia.

- Wszyscy kiedyś umrzemy - próbowała ją pocieszyć sąsiadka, pani Podkolanko.

*Oczywiście, Aniele Strózu, ale dlaczego tak od razu?*

Czekała na niego. Mamiła się: Może jednak wejdzie, jak zwykle z hałasem - i mimo woli wyteżęła słuch. Kiedyś usłyszała go w radiu. Aż cała zbladła: Tu się schował!

Dom wydał jej się naraz cichy, wielki i jakby przykurzony. Niby wszystko było na swoim miejscu - biblioteczka, gruby dywan, ława, fotel. Kominek. Na kominku - Nike

z Samotraki. Róża chińska w doniczce. Kuchnia z czerwonymi szafkami, jak zawsze wesola, i te fikuśne firanki w biało-czerwona kratę, z falbankami. Tak samo tykał niewielki szwajcarski zegarek z porcelany z kwiatami konwalii na tarczy. Nic się nie zmieniło w łazience -stały francuskie kremy i perfumy, a także Mateuszowa woda po goleniu, a nawet wielka puszka talku Fair Lady, z roześmianą blondyneczką w futrze.

Sypialnia też niby była ta sama. Nareszcie miała całe łóżko dla siebie! Zwijała się teraz na nim w kłębek ze strachu. Zasypiała niespokojnie. Budziło ją byle co. Wydawało się jej, że ktoś chodzi po piwnicy, że ktoś pihuje kraty.

Co rano, gdy otwierała oczy, jej wzrok padał na krzesło i widziała tam Mateuszowe spodnie z nogawkami wywróconymi na lewą stronę, jego skarpetki, jego slipy, jego porzucone w pośpiechu swetry, jego marynarki, a na tym wszystkim jego japońskie kimono z ptakiem. Mrugała powiekami i stos ubrań znikał, ale nawet gdy ich nie było, to na krzesle wciąż leżało nieistnienie swetrów i marynarek, i slipów, i skarpetek i to nieistnienie piętrzyło się tam tak dosłownie, że Karolina tylko zamykała oczy i spod powiek ciekły jej łzy.

Czasem słyszała, jak Mateusz nie majsterkuje w garażu. Niekiedy nawet nie wołał do niej: „Chyba się kotlet przypala!", a ona biegła do kuchni i rzeczywiście, był najwyższy czas. Raz czy dwa podniosła słuchawkę telefonu i na pytanie: „Czy zastałam Mateusza?", powiedziała: - Już proszę - i otwierała drzwi piwnicy, żeby krzyknąć w dół, w stronę garażu, tam, gdzie prawdopodobnie Mateusz piłował kawał drewna:

- Mateeeusz, teleeeefon!

Raz oglądała wiadomości i kiedy mówili o tym, że w górach koło Salzburga płonie kolejka linowa, niepalna, a w środku półtorej setki ludzi, rzuciła za siebie:

- Mateusz, zobacz, jaka tragedia!

Wieczorami długo płakała, obejmując poduszkę. Nie, wcale nie nad swoim mężem. Wiedziała przecież, że Mateusz tylko na to czeka. Jego i tak zawsze wszyscy kochają, myślała, to i w niebie pewnie zauroczy kogo trzeba, oooo, on umiał zaskarbić sobie łaski! O Mateusza nie musiała się martwić.

Do płaczu doprowadzało ją byle co. Płakała, bo szuflada w szafce nocnej się zacięła. Płakała, bo nie zdążyła dobiec do telefonu. Płakała z bólu, że kot się oparzył.

Znów zasypiała niespokojnie. Śniła swój stary sen: wychodzi na chwilę z domu i już nie może do niego powrócić. Biega po schodach gorączkowo, w górę, w dół, bo nagle ubyło jej kilogramów i lat, głośno tupią jej buty, aż echo niesie, szuka numeru siedem, to numer jej mieszkania, znów w górę, w dół, jest szóstka i ósemka, ale nie ma jej drzwi ani nawet jej piętra.

Budziła się w nocy. Wyciągała rękę, szukając jego bioder, żeby przycisnąć je do swojej pupy, ot tak sobie. Nie mogła ich znaleźć. Im dłużej nie mogła ich znaleźć, tym

bardziej uświadamiała sobie, że w łóżku leży sama, i trafiał ją szlag. Czowała, jakby jej nogę uciachało albo jakby jej odrąbano połowę ciała. Myślała: Jak tak można, w środku pełnienia obowiązków zabrać się i odejść. Przypominała sobie wtedy ość i była jeszcze bardziej zła. I żeby jakoś tę złość usprawiedliwić, znów liczyła w myślach jego kochanki.

Często wstawiała w nocy, zapalała lampkę i szukając nowej paczki chusteczek higienicznych, niby to mimochodem stawała przed lustrem. Wyglądała jak sto nieszczęść. W lekko przezroczystej koszuli nocnej, która zdawała się ją przywalać, z opuszczonymi ramionami, z workami pod oczami, potargana. Znów więc płakała, że ma twarz opuchniętą od płaczu.

Do czego mnie to doprowadziło - ganiła samą siebie. - Do czego?! Miała na myśli nie tylko śmierć Mateusza, nie tylko małżeństwo, ale w ogóle całe swoje życie.

Prawdę mówiąc, Karolina wszystkiego w życiu się spodziewała, ale nie tego, że się zestarzeje. Czy kiedykolwiek mogłaby się upodobnić do tych starych kobiet, które posuwają się noga za nogą pod ścianami domów, kurczowo trzymając torby z zakupami? Do tych białych gołąbków o skórze suchej i szeleszczącej, do tych grzybów niedosłyszających, niedowidzących, poskręcanych, zgarbionych, nie daj Boże - garbatych? Przecież to mogło się przydarzyć każdemu, ale nie jej! Nie Karolinie, która wyglądała jak dziewczynka, kiedy szła do ślubu, ze swoją jasną cerą, dziecięcą buzią, płowymi włosami, które mama zaplotła jej w koszyczek wokół głowy.

Patrzyła teraz na swoje odbicie w lustrze jak na obcą kobietę, która nie wiadomo w jaki sposób wkradła się w jej życie.

Na takich rozmyślaniach trawiła całe godziny. Często dzwoniła Maciejka. Wypytywała, jak spędziła dzień. Karolina nie mogła sobie przypomnieć, więc zmyślała.

Co kilka dni z Krakowa telefonowała żona Maćka.

- Mamo, jedz banany i mandarynki, poprawiają humor - mówiła. - Rób gimnastykę, bo ruch uwalnia serotoninę, od razu poczujesz się lepiej. Znam świetny lek na uspokojenie. Mogę ci też polecić inny, ogólnie na radość życia. Ale nie wiem, czy powinnaś go brać, psychologowie twierdzą, że żalobę należy przeżyć do końca. Wiem, że to niełatwe, ale tak mówią psychologowie. Wiem, wiem, twoje pokolenie nie ufa psychologom, ale przynajmniej uwierz mnie.

Potem słuchawkę odbierał Maciej.

- Mamo, słyszysz mnie? Słuchaj, rób co chcesz. Jak będziesz czegoś potrzebować, to dzwoń.

Często odwiedzali ją Szczupaczkiewiczowie. Aptekarz, jak to on, latał po całym domu i niby mimochodem sprawdzał, czy chleb niespleśniały i czy masło w lodówce świeże. Próbował wciągnąć Karolinę do rozmowy.

- Zobacz - mówił - dalej nie wiadomo, kto wygrał wybory w Ameryce. Słyszałaś, że oni tam głosują dziurkaczem? Mnie tylko dziwi, że te amerykańskie dziurkacze nie są doskonałe i dziurka jest albo jej nie ma, albo jest w połowie, słyszysz, Karolino? Mają liczyć głosy ręcznie. Wiesz?

Szczupaczkiewiczowa fukała:

- Daj jej święty spokój. Ona chce odpocząć, a ty zawracasz jej głowę jakimiś dziurkaczami.

Przed wyjściem Szczupaczkiewicz stawał przed portretem Mateusza pędzla jugosłowiańskiej malarki i przykazywał:

- Idziemy już do domu, a ty, drogi Mateuszk, pilnuj tu Karoliny, bo biedna, widzisz przecież, samą ją zostawiłeś, no to patrz na nią i doglądaj.

I puszczał oko do Mateusza, a Karolinie raz nawet zdawało się, że w odpowiedzi Mateusz uśmiechnął się i lekko zmrużył swoje.

Często zaglądała też pani Podkolanko. Przynosiła placek z rodzynkami (Karolina po cichu je wydlubywała) i opowiadała o swoim mężu. Dorobił się majątku, prowadząc kibelki z Włoch, ale, niestety, zmarł na raka odbytu. Lubiła zwłaszcza przywoływać ostatnie chwile jego życia. Siedziały w salonie, a pani Podkolanko, pulchna i wesoła blondynka, zawsze starannie ubrana, z fioletową apaszką wokół szyi, opowiadała, mieszając cukier w filiżance, a mieszała nadzwyczaj elegancko:

- W środę pojechałam do szpitala, wyszłam z windy i na korytarzu usłyszałam straszliwe wycie. Boże, jak ktoś cierpi, myślę. Naraz przyszło mi do głowy: czy to nie mój mąż?

Pani Podkolanko urwała, wzięła łyk herbaty, dorzuciła jeszcze trochę cukru, zamieszała.

- Lekarka - ciągnęła - dała mu zastrzyk i powiedziała: To agonia. Ja na to: Nie, on śpi. Ona: Macie pięć minut, żeby się pożegnać. Nie wierzyłam. On nigdy nie chorował. Był silny, zdrowy, wysportowany, kiedyś był piłkarzem. To mnie stale coś dolegało, a on zaraz z herbatką leciał. Ja słabą zgrywałam, a to on odszedł. Zaraz po jego śmierci myślałam, że wyjdę za pierwszego, który mnie o to poprosi. Mieć dla kogo żyć, Boże, mieć dla kogo żyć! Życie już nie ma tego smaku.

Karolina słuchała pani Podkolanko chętnie. Aż się sama sobie dziwiła, bo do tej pory patrzyła na nią nieco z góry, jako na osobę samotną, przez co jakby nieco ułomną.

*Aniele Strózu, może to i dobrze, że Mateusz nie umarł na raka odbytu, z dwojga złego to już lepsza była ość. Aha, mam prośbę - czy możesz sprawić, żeby pani Podkolancko przestała dawać rodzinie do ciasta? Amen.*

## 11

Przed świętami Karolina wzięła się w garść i kazała na grobie postawić tablicę i pięknie wyciąć nazwisko i imię Mateusza, a obok przykleić jego zdjęcie. Był na nim młody i roześmiany.

Na cmentarz chodziła rzadko, raz na trzy tygodnie i to bardziej z poczucia obowiązku niż z potrzeby. Co za szczęście, że nie jest Chinką! Widziała kiedyś w książce Maciejki zdjęcie chińskiej wdowy czyszczącej szczątki swojego męża. W alejce cmentarnej kobieta rozłożyła matę, a na niej, w równych rzędach, kości - rząd większych, pod nimi rząd mniejszych, na końcu kręgi kręgosłupa, na skraju jakby siodełka od roweru - chyba to były kości miednicy - no i jakby błotniki, pewnie żebra. Chinka odkurzała czaszkę małżonka. W jednej ręce trzymała szmatkę, a drugą położyła pieszczotliwie w miejscu, gdzie kiedyś był jego policzek.

Czy ona by tak mogła? Ze zgrozą przeczytała podpis pod zdjęciem, że Chinki czyszczą swoich zmarłych raz w roku.

Na cmentarz zatem chodziła rzadko. Szybko omiatała płytę grobowca z zeschniętych liści, pakowała w torbę osmalone lampki, w których stopił się воск, i zwiędłe kwiaty, zmieniała wodę w wazonie i układała w nim świeże pelargonie, poprząskane sztucznymi irysami - żeby z daleka było widać, że dba o męża. Zapalała lampki i pośpiesznie odmawiała Ojcze nasz, potem przyglądała się chwilę fotografii Mateusza i mówiła w duchu: Widzisz, Mateuszu, ty nie miałeś nigdy czasu dla mnie, to teraz ja nie mam go dla ciebie. Raz nawet powiedziała to na głos, aż starsza pani w kapeluszu siedząca na ławce przy grobie sędziego spojrzała na nią zgorszona.

Odchodziła, starając się trzymać plecy prosto, głowę wysoko i iść jak najbardziej sprężystym krokiem, jakby Mateusz naprawdę na nią patrzył. Szła dumnie aż do bramy i dopiero za murem cmentarza, tam, gdzie już na pewno nie mógł jej Mateusz dojrzeć, zwalniała kroku, opuszczała ramiona, pochylała głowę, rysy twarzy opadały i tu dopiero, obok straganów ze sztucznymi irysami, dopadało ją pytanie: Jak żyć? No i jak teraz żyć?

Po śmierci Mateusza wszystko naraz zaczęło się psuć. Siadł piecyk gazowy, wichura przekrzywiła antenę telewizyjną na dachu. Zepsuła się spłuczka w toalecie i

woda leciała i leciała i doprowadzała tym Karolinę do istnego szału, bo akurat była niedziela i ona nie wiedziała, gdzie dzwonić, co robić. Taaak, rzucił cały ten kram i sobie umarł. Gdyby mogła, to by go wyciągnęła z tego grobu do domu!

Zostawił ją samą z nienaprawionym piecem w kotłowni i samochodem w warsztacie. Ciekawe, kto go stamtąd przyprowadzi? Obliczyła oszczędności, emeryturę i wyszło jej, że ledwo starczy, by opłacić wszystkie rachunki.

A przecież jakoś sobie radziła. Kwestiami finansowo-papierkowymi zajęła się automatycznie i sprawnie. Maciej odebrał samochód i zaraz go sprzedał. Sprawy spadkowe były w sądzie.

Ale poza finansami rozciągała się przestrzeń, której Karolina nie umiała okiełznać.

Czasem próbowała doprowadzić się do porządku. Wietrzyła mieszkanie, włączała wszystkie światła w domu i siadała przed telewizorem - głos na pełny regulator - z mocnym postanowieniem, że obejrzy film. Patrzyła w ekran, ale wciąż nie rozumiała, czemu ta Rafaella krzyczy jak najęta i co ten Mario, u diabła, robi na dachu wieżowca?!

Starła się przynajmniej uważnie słuchać wiadomości. Zachwycił ją Chińczyk, który wygrał Konkurs Chopinowski, że taki wytworny, a trzyma się prosto jak struna od wiolonczeli! Przejęła się, że stary wędkarz zasztyletował młodego kajakarza. / *to przez co, Aniele Stróżu, przez złość*. Po chwili już nie pamiętała: czymś się przejęłam, ale o co to szło, no o co...

Niekiedy sięgała po książkę, którą zostawiła jej Maciejka.

- Przeczytaj, bohaterka też straciła męża.

- Dziecko - odrzekła Karolina, bo w takich chwilach zawsze mówiła do córki „dziecko” - co roku dwa miliony osób tracą kogoś bliskiego! - a w myślach tylko wzruszyła ramionami: po co ma czytać o kimś, kto jest podobny do niej?

Wieczorami jednak sięgała po powieść. Ale litery skakały przed jej oczami i godzinami nie mogła przebrnąć przez jedno zdanie. Zamykała książkę, kładła ją na stoliku nocnym, gasiła światło i zarzucała kołdrę na głowę, szukając w jej fałdach zapachu Mateusza. Wtedy w jej głowie wciąż, natrętnie, wyskakiwały obrazy z przeszłości. Na przykład jak Mateusz pije mleko z miodem, łapczywie, parząc sobie nim wargi i przełyk, bo się śpieszy, już ma nawet jedną rękę w rękawie kozucha; i tak noc w noc to mleko pije, noc w noc. Och, gdyby on tylko mleko pił! Ale jeszcze częściej wychodził od dentystki. Otwierał energicznie drzwi i wychodził taki radosny, taki uśmiechnięty, a Karolina nie mogła oderwać oczu od jego mankietu; brakowało tam spinki, choć kwadrans wcześniej była. I tak co noc wychodził od dentystki.

Karolina cały czas odbierała telefony bliższej i dalszej rodziny, przyjaciół Mateusza, znajomych i nieznajomych, którzy dzwoniли dowiedzieć się, czy to prawda, że

Mateusz nie żyje i w jaki sposób zmarł, czy długo się męczył, a także kto przyrządził tego karpia, a jedna osoba, z rozpędu, zapytała, gdzie Karolina kupuje karpie i czy są smaczne. Pozostali wypytywali o śmierć Mateusza długo, jakby musieli znać jak najwięcej szczegółów, żeby pojąć, że naprawdę nie żyje. Odpowiadała im półgębkiem. Nieznajomym tłumaczyła, że się zadławił. Potem mówiła, że miał wypadek. Później, że zginął tragicznie. W końcu wszem wobec zaczęła głosić, że Mateusz zmarł na łapczywość.

- Na łapczywość? - pytali zdumieni.

- A tak. Gdyby nie był taki łapczywy, to ość by mu nie przebiła tchawicy całkiem na wylot - odpowiadała, a w duchu dodawała: A gdyby nie ość, to co innego by mu się przytrafiło z powodu łapczywości, pewnie nabawiłby się jakiejś choroby wenerycznej, może nawet AIDS, albo życie rozsadziliby mu wątrobę.

W grudniu zaczęły dzwonić głuche telefony.

- To na pewno jego kochanki - orzekła Karolina.

- Mamo, pomyśl, po co miałyby dzwonić? Do kogo? - próbowała jej przemówić do rozumu Maciejka.

- Ja tam swoje wiem.

Już od pewnego czasu krążyła myślą wokół pogrzebu Mateusza i usiłowała sobie przypomnieć, kto tam wtedy był. Po głowie jej chodziło, że pod tują stała młoda kobieta z dzieckiem, a za grobem lotnika - trzy samotne panie.

- Powiedz - złapała kiedyś Szczupaczkiewiczową za ramię - kto był jego ostatnią kochanką?

- Co ty opowiadasz, przecież Mateusz dobijał już siedemdziesięciu pięciu lat!

- Ale ja wiem, że miał - upierała się Karolina.

- Skąd?

Mateusza najbardziej obciążała „La Cumparsita”. Zaczął ją śpiewać trzy miesiące przed śmiercią, rano, przy goleniu, a kiedy Mateusz śpiewał „La Cumparsitę”, to znaczyło, że spotyka się z kobietą. Poza tym były inne dowody jego winy. Kupił sobie nową wodę kolońską - zapach ciężki, orientalny - i spryskiwał się nią jeszcze obficie niż zwykle. Mówił, że jedzie do klienta i jednocześnie pocierał sobie nos, co znaczyło, że kłamie (związek nosa z kłamstwem odkryli uczeni amerykańscy). Dwa razy czyścił wyczyszczone już buty i obcinał sobie obcięte paznokcie. Przed wyjściem udawał, że nigdzie nie wychodzi i bardzo był dla Karoliny miły, śmiał się i słuchał jej z uwagą. A kiedy przychodził, patrzył spode łba. Sprawdzał, czy się domyśla. Najgorsze, że nad jego lewym kącikiem ust zaczął się ukazywać dołeczek, a to już był jawny dowód.

- Nawet jeśli miał kochankę przed śmiercią, to po co o tym myślisz? - uspokajała ją Szczupaczkiewiczowa. - Jego już nie ma. Cóż z tego, że się dowiesz, że pani Ania czy pani Mania kochała się z twoim mężem? Niepotrzebnie tylko rozdrapujesz stare rany. Obie wiemy, jaki był Mateusz. Nic na to nie poradzisz. Zamiast się zadreć, idź na spacer, jedź do córki, odetchnij.

Ale Karolina chciała wiedzieć. Mogłaby wtedy takiej kobiecie przyspilić karteczkę z napisem: „Zdrajczyni”. Mogłaby taką kobietę wykluczyć z koła znajomych i postawić ją tam, gdzie w jej wyobraźni byli wszyscy kłamcy i oszuści, których w życiu spotkała. Wówczas świat znów byłby uporządkowany i ona odnalazłaby się w tym świecie.

- Naprawdę nie wiesz? - Karolina spojrzała Szczupaczkiewiczowej prosto w oczy.

Ta umknęła wzrokiem w bok i jęknęła:

- Nie, wierz mi, nie wiem.

Tuż przed świętami Karolinę zaczęło interesować, co się właściwie dzieje z człowiekiem po śmierci. Mówi się przecież: oddać życie. To znaczy, że wypożyczyłam to życie? Od kogo? Na długo? Na jakich warunkach?

Wyobraziła sobie wielką wypożyczalnię, taką jak filmów na kasetach wideo, nowoczesną i przestronną. Na półkach, zamiast kaset, stoją różne życia w kolorowych plastikowych pudełkach.

Karolina ogląda je, czyta streszczenia i bije się z myślami: Ooooo, to życie nieee, nieciekaweee; ale tutaj, hm, ten egzemplarz jest dosyć interesujący, sporo podróży i mąż przystojny, tylko niech pani sprawdzi, czy wierny. Mąż czarny? Ma pani tylko Azję, Afrykę lub slumsy Nowego Jorku? Może ma pani jednak coś innego? Może ta wyspa, na której dziewczęta noszą na piersiach girlandy kwiatów? Nie? Już wszystko rozdane? Jaka szkoda, taki mały wybór. A każda sztuka wybrakowana. Trudno, proszę zapakować to życie z prawej. Niech będzie Kenia. Byle nie na wsi. Ile się należy?

W następnych dniach Karolinę zajęła kwestia sądu ostatecznego. *Aniele Strózu, podobno sąd ostateczny ma być dopiero po końcu świata, no to gdzie idzie dusza zaraz po śmierci? No gdzie?*

W tym czasie przyszła do niej sąsiadka, pani Adelajda Młot, aktorka na emeryturze, zapytać, czy Karolina czegoś nie potrzebuje i przy okazji opowiedziała, jak umierała:

- Oderwałam się od własnego ciała i spojrzałam na nie spod sufitu, i czułam się zupełnie, ale to zupełnie wolna, a potem wyleciałam na korytarz i zawisłam nad drzwiami... Daję pani na to słowo - klęła się Adelajda Młot.



- A więc dusza istnieje - odetchnęła z ulgą Karolina, mimo że wiedziała o tym od dziecka. Zaraz jednak przypomniała sobie, że o pani Adelajdzie mówią, że jest lekko stuknięta. Zaczęła więc rozmyślać na nowo.

## 12

- Jaka dusza! - roześmiał się Maciek, siłując się z choinką, którą chciał ustawić w rogu pokoju, ale nie mógł sobie dać rady ze śrubami podstawki. Nie było w tym nic dziwnego, Maciek zazwyczaj nie dawał sobie rady z materią. - Żadna dusza - stękał - tylko następuje niedotlenienie mózgu i z tego powodu człowiek ma wizje, jak po narkotykach. Światelko na końcu tunelu widzą też piloci, kiedy im w wyniku dużych przeciążeń krew nie dopływa do mózgu. Czy wiesz, że amerykańscy uczeni przyczepili na suficie sali operacyjnej kartkę i powiedzieli, że jeśli dusza się unosi, i wszystko widzi, to przeczyta, co oni na niej napisali? Do tej pory nikt tej kartki nie odczytał! Nikt!

- Co ty opowiadasz! - rozeźliła się Karolina, bo od śmierci Mateusza byle co wprawiało ją w irytację. - Poza tym przesun tę choinkę bardziej w prawo - warknęła.

*Aniele Stróżu, to moja pierwsza prawie od pół wieku Wigilia bez niego. Itak będzie już zawsze. A gdyby przeżył jeszcze dwa lata, mielibyśmy okrągłą rocznicę ślubu.*

Maciej i jego żona przywieźli wielki gar bigosu, a Maciejka jakieś dziwne danie perskie, które, na oko, przypominało ma-kielki, tylko zamiast maku, makaronu i rodzynków były ryż, daktyle, soczewica, pestki dyni i słonecznika. Karolina chciała coś podać, przygotować, w czymś pomóc, ale krążyła tylko bezużytecznie z kuchni do salonu i z powrotem.

- Nie będzie grzybowej? Ani łazanek? - pytała Muszelka, chodząc za matką.

- Nie będzie, kochanie.

- Ani karpia?

- Ani karpia.

- A dlaczego?

- Bo dziadek zmarł - rzuciła zirytowana Maciejka, aż jej brat spojrział na nią z wyrzutem.

- Ale dziadek lubił karpie - powiedziało dziecko. - A makiełek też nie będzie?

Zapadła cisza.

-Pobaw się, kochanie, samochodzikiem - powiedziała wreszcie Ewa, wręczając dziecku wóz strażacki. Była jak zwykle grzeczna, wyniosła i starannie ubrana: miała na sobie fioletowy półgolf, krótką czarną spódnicę i grube fioletowe rajstopy.

Rozmawiali o Ameryce, że nareszcie ustalono, kto wygrał wybory, że szalone krowy odkryto już we Francji, że wszędzie korupcja, nawet w Indonezji prezydent zagarnął pół miliarda dolarów. *Aniele Strózu, po co jednemu człowiekowi tyle pieniędzy? Ja mam emerytury tysiąc dwieście złotych, to znaczy niecałe trzysta dolarów i ledwie mi to starcza na życie, prosiłabym o więcej, ale nie wiem, co mogłabym zrobić z półówką miliarda. Chyba tylko okleić sobie banknotami mieszkanie i cieszyć się, że inni ich nie mają... Niestety, mam wrażenie, że dla większości naszych polityków ważniejszy jest ich własny pepek. Amen.*

Do rozmowy o sprawach ostatecznych wrócili tuż po wigilii, kiedy zjedli już perskie makiełki i odśpiewali kilka kolęd - Staś przy tym akompaniował na gitarze, a Muszelka na cymbałkach. Oboje wyglądali jak aniołki - ona w czerwonej sukience z aksamitu z dużym białym kołnierzem, on - chudy i w okularach -w białej koszuli z muszką, jak zwykle nieco ironiczny. Już nawet rozdali prezenty; na podłodze walał się kolorowy papier, a dzieci zajęte były grą w „Milionerów”. I kiedy już opowiedzieli sobie, jak to kiedyś Mateusz przebrał się za żebraka, a Karolina nie chciała go wpuścić do domu, i jak Mateusz przywiózł kiedyś na wigilię całą orkiestrę góralską, bo im się samochód zarył w zaspę.

- A pamiętacie kuligi? - zawołała Maciejka. - Muszelka, pamiętasz, jak z dziadkiem jeździłaś saniami?

Dziewczynka stanęła z drewnianym dinozaurom w ręku, zmarszczyła czoło i wydeła policzki.

- Saniami?

- Tak! - wykrzyknął Staś. - A potem było ognisko i wino grzane, a ty chodziłaś z kiełbasą nadzianą na patyk i kazałaś każdemu próbować.

- Kiełbaski? Nie pamiętam. Mamo, a gdzie jest dziadzio?

- Przecież ci mówiłam, kochanie. Jest w niebie. - Ewa pochyliła się do niej i poprawiła jej czerwoną kokardę.

- I co tam robi?

- Uśmiecha się do ciebie. No, biegnij do okna, pomachaj dziadziowi.

Dziewczynka pobiegła do okna i zanurzyła się w fałdy zasłony. Wkrótce dał się stamtąd słyszeć zawiedziony głos:

- Nie ma tu dziadzia.

- Może to któraś z tych gwiazd? - podpowiedziała jej Ewa. -Nie wiem. Możesz sobie wybrać jedną i pomachać. Dziadzio na pewno cię zobaczy i się ucieszy.

Naraz zrobiło im się ciepło, jakby Mateusz rzeczywiście patrzył na nich z nieba.

- Wszystko się rozegra na Górze Oliwnej w Jerozolimie. Trzeba będzie przejść przez most, ostrzejszy od miecza i cieńszy od włosa, wąski jak ostrze brzytwy - ciągnęła Maciejka. - Przesłuchanie trwa czterdzieści dziewięć dni...

- O, proszę, reporterka nadaje sprawozdanie z końca świata - przerwał jej Maciej. - Typowa praca reportera - zmyślacze! Zmyślasz, kochana, nigdy nie widziałaś i nie zobaczysz sądu ostatecznego, bo go po prostu nie będzie.

- ...trwa więc ono czterdzieści dziewięć dni - ciągnęła niezra-żona Maciejka. - Tak przynajmniej mówią zaratustrianie, muzułmanie i buddyści.

Karolina ułyszała naraz chrzęst kości i zobaczyła, jak miliardy nagich ciał idą piaszczystą drogą, z mozołem, a nad nimi zwisają gałęzie jabłoni, całe obsypane kwiatami. Ucieszyła się, że Maciejka wierzy w istnienie duszy, przynajmniej tak się wydawało, ale nieco przestraszyła, że wierzy również w reinkarnację.

- Pomyśl, mamó - perorowała Maciejka. - Przecież jest tyle dusz, one się tam w niebie nie pomieszczą. Nawet jeśli zajmują niewiele miejsca, nawet jeśli są jak bańki mydlane albo mgła. Trzeba by je gdzieś magazynować, wprowadzić jakiś porządek, liczyć, segregować, nie pomylić jednej z drugą. Na pewno reinkarnacja istnieje. Jedna dusza może obsłużyć wtedy kilka żyć. To bardziej ekonomiczne.

Karolinie rozumowanie to wydawało się całkiem rozsądne, ale zaczęły ją dręczyć pewne wątpliwości. *Aniele Strózu, przecież wtedy na świecie żyłoby zawsze tyle samo ludzi! A ludzi jest coraz więcej. Co się dzieje? Jedna dusza dzieli się na dwie? Pączkuje?*

Poczuła się nagle zmęczona; poszła do swojej sypialni. Rozebrała się, umyła, zgasiła światło i próbowała zasnąć.

*Aniele Strózu, jak my tak wszyscy pójdziemy na ten sąd? Nadzy? Podobno wstaniemy z grobów tacy, jacy byliśmy umierając. To przecież niesprawiedliwe! Sam pomyśl, czy ja z takim brzuszyskiem mam iść na sąd ostateczny? Poza tym byłabym wtedy starsza od swojego ojca, jak by to wyglądało?! A jak bym rozpoznała koleżanki ze szkoły? I to w takim tłumie! A Mateusza jak bym odnalazła? A co się stanie z tymi wszystkimi, którym ucięto głowy, o których pisała Maciejka? Będą szli z głowami pod pachą, jak urzędnicy z aktówkami?*

Potem po raz już nie wiadomo który zadała sobie pytanie: Boże, Boże, dlaczego ja za niego wyszłam? I znalazła tylko jedną odpowiedź: bo miał czyste, niewinne oczy i nazywał się Ptak. A ona nazywała się Gałązka.

## 13

Dokładnie dziewięćdziesiąt dziewięć dni po pogrzebie Mateusz wtargnął do snu swojego przyjaciela, Romana Ścisłego. Pan Ścisły wieczorem jak zwykle wszedł do salonu. Stała tam tylko kanapa i wisiał układ słoneczny zrobiony z papier mache; tam, gdzie w zwykłym domu z sufitu zwisa lampa, u Ścisłego była kula słońca, a w pewnej odległości od niej znajdował się Jowisz, Saturn, Ziemia i nawet mały Księżyc. Roman Ścisły, jak co wieczór, dłuższą chwilę kontemplował dzieło. Po czym ostrożnie, żeby nie rozhuścić wszechświata, zamknął drzwi, wyszczotkował zęby i położył się spać w drugim pokoju, pod telewizorem, skulony, bo odkąd zmarła jego żona, nie chciało mu się rozkładać wersalki. Z zawodu był wprawdzie kuźnikiem, nie astronomem, ale niebem zajmował się od szesnastego roku życia. Dokładnie od chwili, gdy w obozie koncentracyjnym stał na apelu, był wieczór, a on się zapatrzył, jak spada gwiazda. Tego wieczora przewrócił się na drugi bok, naciągnął kołdrę na uszy, zobaczył raz jeszcze spadającą gwiazdę i już miał zachrapać, gdy gwiazda nie rozprysła się, jak zazwyczaj, na tysiące ogników, ale poturlała w sam róg snu i znikła, a w jej miejsce pojawił się Mateusz, jak zwykle z uroczo zmierzwionymi włosami i rzekł:

- No i co, Romanie, kiedy do mnie przyjdiesz? Nudno mi tutaj samemu...

Dwa tygodnie później Roman Ścisły zmarł. Zaczadził się gazem, który się dobywał z nieszczelnego piecyka. Wprawdzie w ostatniej chwili się obudził i szukając świeżego powietrza, sturlał się z łóżka na ziemię, chwycił nieco oddechu tuż przy podłodze, poczołgał się do przedpokoju, ale pomylił drzwi i zamiast do wyjściowych trafił do salonu i tam skonał, dokładnie pod Jowiszem.

Zanim jednak owego wieczora Roman przykrył się po raz ostatni kocem, swój sen opowiedział kilku najbliższym osobom i wkrótce pół miasta wiedziało, że Mateusz przywołuje do siebie starego przyjaciela.

Potem Mateusz przyśnił się Szczupaczkiewiczowi, któremu właśnie - w strasznym wypadku - zginęła ciotka, właścicielka apteki; jej samochód nadział się na nieoznakowaną rurę, wystającą z przyczepy ciężarówki. Rura przebiła szybę i wwierciła się w głowę ciotki, a jej mózg wypłynął wprost na kolana Szczupaczkiewicza. Przyjacielowi Mateusz zdradził, gdzie ciotka ukryła pieniądze.

W następnych miesiącach rozpanoszył się w snach mieszkańców miasteczka. Toporkowej spod lasu poradził, żeby czym prędzej zbadała krew, dzięki czemu dowiedziała się, że ma cukrzycę. Dziecku Olkowej raz na zawsze wypłoszył ze snu złego

smoka. Przyśnił się i beznogiemu Grzywce, co od ćwierćwiecza poruszał się na stoleczku, takim zwykłym, kuchennym, zgrabnie przesuając raz prawe, raz lewe jego nogi. Oj, Grzywce w ostatniej chwili wyjął z ręki zapalniczki, gdy ten, z wściekłości, chciał podpalić cały swój sen.

Mateusz wędrował od snu do snu, jakby był na jakiejś przechadzce. Temu poradził, tamtemu pogroził. Tamtą w sobie rozkochał. Lekki, zwiewny i jak zawsze uroczy.

## 14

Karolina powiedziała by zapewne z nutką pogardy w głosie, że Mateusz najeżdża ludziom sny, bo nie może się pogodzić z własną śmiercią. Tylko że Karolina o niczym nie wiedziała, więc powiedzieć tego nie mogła. Ostatnią noc starego tysiąclecia spędziła sama, w domu, wsłuchując się w odgłosy petard wybuchających nad miastem i nieuważnie patrząc w telewizor. Maciejka poleciała do Egiptu, spędzać sylwestra na pustyni, a Maciej z rodziną pojechał na Roztocze, na konie. „A w nocy pójdziemy do stajni, do koników. Z wiadrami szam-po-na!” - zachwycała się Muszelka.

Maciej miał wyrzuty sumienia, chciał nawet zostać z matką, ale Karolina powiedziała, żeby jechał i dał jej święty spokój.

No tak, Mateusz nie dożył nowego tysiąclecia, a ja dożyłam -myślała z pewną rzeczą by można satysfakcją. Siedziała w swoim ulubionym fotelu okryta kocem - z powodu oszczędności nastawiła piec na ledwo ledwo - i sączyła wiśniówkę Mateusza. *Aniele Stróżu, no i gdzie on teraz jest? No, gdzie? Może w czyścicu się czyści? A może w piekle?*

Przypomniała sobie średniowieczne obrazy piekielnych katuszy, a także słowa Maciejki, że według Koranu potępieni mają ubrania skrojone z ognia.

- Ubrania skrojone z ognia - szepnęła i przesyłał ją dreszcz. Czym prędzej odpchnęła od siebie widziadło. - E tam - przypomniała sobie z niejaką ulgą. - Przecież w prasie napisali, że piekła nie ma.

Żyła we własnym świecie. Chodziła po domu zadumana i pławiła się we własnej melancholii. Raz po raz otwierała szafę w sypialni i spoglądała na przytulone do siebie garnitury Mateusza. Miała wrażenie, że to nie garnitury wiszą, ale sam Mateusz, wielokrotnie powielony.

- O, spójrz, spójrz, jak mu się załamuje rękaw marynarki! -pokazała kiedyś Maciejce.

Załamywał się tak, jakby za chwilę miał się wypełnić mocnym ramieniem Mateusza, ramię sięgnęłoby do kieszeni, ręka wyjęłaby stamtąd wielką kraciatą chustkę, strzepnęła, uniosła do nosa i hałaśliwie go wytarła.

- Mamo, trzeba zrobić porządek z tymi rzeczami. Najlepiej oddaj je ubogim - powiedziała Maciejka.

- Wiem - odrzekła Karolina. Jak to jednak miała zrobić, jeśli, kiedy otwierała szafę, zamiast spodni i koszul widziała całe swoje życie?

Zaraz po Nowym Roku, który wprowadził ją w Nowe Tysiąclecie - *Aniele Strózu, no dlaczego on tego nie dożył? Dlaczego?!* -Karolina podjęła decyzję: trzeba jednak z tym życiem zrobić porządek. A raczej z Mateuszem, no i z tą jego śmiercią. *Zawsze robił, co chciał. Taka jest prawda, Aniele Strózu.*

Cały styczeń buszowała w szafie. Co chwila zamyślała się nad jakąś częścią garderoby. Raz znalazła starą koszulę nonajronową Mateusza.

- Patrz, twoja koszula! - rzuciła w stronę krzesła, na którym zwykle przysiadł, żeby zdjąć skarpetki, a ściągał je jednym szybkim ruchem kciuka.

Koszula przysłała w paczce od wuja z Kanady, razem z kakao, czekoladą i pudełkiem kawy; prawdziwej, brazylijskiej. Mateusz włożył ją po raz pierwszy w pewien niedzielny poranek. Koszula była zupełnie przezroczysta; widać było pod nią biały podkoszulek, a nawet zaznaczały się z lekka Mateuszowe sutki. Karolina podeszła do męża, pogłaskała pieszczotliwie materiał i powiedziała wyraźnie, rozdzielając zgłoski: - Non-aj-ron. - Zdjął ją nagły zachwyty nad potęgą ludzkiego rozumu.

Potem znalazła w szafie karakułową czapkę Mateusza i nie wiadomo czemu w jej głowie wyskoczył dzień, kiedy w drzwiach stanął jej mąż z ogromnym pudłem w rękach. W pudle był telewizor. Duży, ciężki, z małym ekranem i wielkimi pokrętłami.

- No to masz, co chciałaś - rzekł Mateusz, z wysiłkiem stawiając go na podłodze.

- To ja się uparłam na telewizor - przypominała teraz Karolina ubraniami Mateusza w szafie. - Zawsze uważałam, że trzeba iść z postępem. Sama go w końcu kupiłam, za własne pieniądze, na raty, pamiętasz? A ty protestowałeś: „Po co nam telewizor? Ja i tak nie będę miał czasu oglądać...”. Fakt, rzeźbiłeś wtedy dla kościoła wszystkie stacje męki pańskiej, jedna po drugiej; Matka Boska była kropka w kropkę podobna do właścicielki wypożyczalni sukien ślubnych i zastawy stołowej.

W pierwszą sobotę zaprosili goście i siedli przed telewizorem od chwili, gdy tylko zaczął się program, to znaczy gdzieś od czwartej po południu, i wstali dopiero, gdy

telewizja się skończyła, około dziesiątej wieczorem. Obejrzeni program o zwierzętach, dobranockę, dziennik, western, wysłuchali wiersza na dobranoc. Dziennik oglądali w zupełnej ciszy (akurat dudniły działa na wzgórzach Golan), ale przy westernie wszyscy się rozgadali.

- Szybciej, szybciej - krzyczeli na młodziutkiego kowboja z chustką na szyi, który uciekał konno przed chmarą goniących go zbirów.

- Zabity? - chciała wiedzieć pielęgniarka, gdy huknął strzał, kowboj przechylił się w siodle i zaczął osuwać na ziemię.

- Gdzie tam, żyje - odpowiedział jej chór głosów, gdy chłopak, już na ziemi, przewrócił się na brzuch, ujął oburącz wielkiego kolta i wypalił z niego do największego zbira.

- Ale go urządzili - dziwił się głośno Mateusz, gdy piękna blondyna obmywała kowbojowi ranę w nodze, a Karolina wprost w biało-czarny ekran rzuciła sentencję: - Nie wolno nikomu wierzyć, bo to się źle kończy.

Zagrał hymn na zakończenie programu. Odsłuchali go, po czym Mateusz wstał i wyłączył telewizor. Goście długo jeszcze siedzieli na kanapie i jak zahipnotyzowani patrzyli w świetlisty punkt w środku ekranu, który stawał się coraz mniejszy i mniejszy, ale wciąż nie gasł, mimo że wydawało się, że mniejszy już stać się nie może. A kiedy ekran zupełnie poczerniał - choć oni wciąż jeszcze tam widzieli światełko - wtedy wybuchała dyskusja, czy kowboj ożeni się z blondyną i czemu szeryf nie przyszedł na spotkanie. Przypominano sobie co ciekawsze sceny, powtarzano co celniejsze zdania, oceniano jednym słowem bohaterów: ta w falbanach to była dziwka, bankier - zdrajca, szeryf - bohater, a właściciel burdelu - łajdak.

- Widzisz, a jednak przekonałeś się do telewizora - rzuciła teraz Karolina do krzesła, na które Mateusz kładł wieczorem swoje ubrania. - Mówiłeś zawsze: okno na świat, to jest nasze okno na świat. Zakopani w tej dziurze, za kurtyną żelazną, skąd mieliśmy wiedzieć o świecie? Była tylko Wolna Europa i telewizor. Kiedy pokazywali demonstracje młodzieży w USA, to chociaż człowiek mógł się pogapić, jak są ubrani. Pamiętasz? W domu w czasie dziennika musiało być cicho, jak makiem zasiał.

Od tej pory tele-wizor - jak wyraźnie, z przydechem, mówiła Karolina - stanowił centralne miejsce w stołowym. Zasiadali przed nim, żeby obejrzyć dziennik i film po dzienniku. Karolina płakała na „Doktorze Kilderze”, bała się na „Belfegorze”, który był upiorem Luwru, ale wszyscy najbardziej lubili westerny. Już . od obiadu mówiło się: „Pamiętasz, dziś jest western. Spotkajmy się jutro, bo dziś jest western”.

Dzieci zaraz po dobranocce szły spać. Co najwyżej miały prawo obejrzyć ryczącego lwa wytwórni filmowej Metro Goldwyn Mayer lub pełzającą kobrę, zapowiadającą

teatr sensacji. Kobra skręcała się, zabawnie przechylała główkę, a w chwili, gdy mru- gała okiem, Karolina głosem niecierpiącym sprzeciwu mówiła: „Dzieci, do łóżek!”.

- A my otwieraliśmy po cichu drzwi pokoju i podglądaliśmy film w odbiciu w lu- strze - śmiała się Maciejka na te wspomnienia.

- Co ty powiesz?! - wołała zgorzzona Karolina i już chciała obsztorcować Maciej- kę, ale przypominała sobie, że te rzeczy działy się trzydzieści lat wcześniej, więc tylko westchnęła i rzekła zrzędliwie: - Kiedyś panował porządek: w czwartki „Kobra”, we wtorki „Święty”, w niedzielę „Koń, który mówi”, w środy „Doktor Kilder”, a w soboty western.

O tym wszystkim rozmyślała teraz Karolina, siedząc w kucki na podłodze sypialni i składając w śliską kosteczkę nonajronowe koszule Mateusza.

- Nie tylko dzienniki oglądałeś - ciągnęła Karolina do pustego krzesła. - Opole też. Zawsze oglądaliśmy Opole. Trzeba było być na bieżąco.

Najbardziej podobała im się Ewa Demarczyk. Kiedy na scenę wychodziła Violetta Villas, Mateusz się krzywił: „O, Villas, na pewno ma sztuczne włosy”. Karolina prote- stowała: „A skąd jesteś taki pewny? Ja myślę, że prawdziwe”, bo była podejrzliwa, a zarazem łatwowierna. „Nie, sztuczne - upierał się Mateusz. - Patrz, a rzęsy, a rzęsy...!”. „No tak - przyznawała Karolina - rzęsy to ma doczepiane, ale jak grubo tuszu nałoży- ła”. Violetta popatrywała na nich z ekranu spod półprzymkniętych powiek, a jej piersi aż rozsadały stanik.

- Tak było - rzekła Karolina do krzesła i mimowolnie sięgnęła do kieszeni płaszcza Mateusza. Znalazła tam zużytą chusteczkę higieniczną i paczkę zapalek firmowych. Założyła okulary i przyjrzała się im uważnie. Wyglądały na nowe, brakowało tylko jednej zapalniczki. Na wieczku był rysunek chudego kelnera i napis: *Sushi*. Restauracja japońska. Pod napisem był adres, z którego wynikało, że restauracja znajduje się w Warszawie. Karolina zaklęła:

- Cholera, do Warszawy ją zabierał, na egzotyczne dania. Żeby go prąd japoński popieścił!

## 15

Nadszedł luty. Ciężki, mroźny. Mateusz wchodził do snów częściej, jakby szukał towarzystwa. Już nie był taki beztroski.



- Zauważyłaś, trochę nawet przytył - szeptala żona hurtownika zdrowej żywności do małżonki naczelnika stacji.

Do tej pory regularnie pojawiał się w snach swoich kochanek. Przemykał do nich w bezkسیężycowe noce, gdy leżały odwrócone tyłem do swoich mężów, w chwili, gdy spały najmocniej. Stawał w ich snach z kwiatem w ręce, nieśmiało uśmiechnięty, z tymi swoimi wielkimi migdałowymi oczami, w których pływała niewinność, tym bardziej niewinna, im bardziej był winny, i mówił: - Czy jeszcze o mnie pamiętasz? Bo ja, widzisz, pamiętać cię będę wiecznie... -I uśmiechał się smutno, a one budziły się nagle, poduszka pod policzkiem była mokra od łez, a w powietrzu unosił się zapach tulipanów, choć w pokoju nie było kwiatów.

W połowie lutego Mateusz stał się bardziej pryncypialny, a na początku marca wstąpił w niego diabeł. Budził swoje kochanki nad ranem z krzykiem: - Jak mogłaś mnie z nim zdradzić! Z tym... gogusiem, twoim mężem?! Nie wypieraj się, wszystko widziałem! Ja przecież widzę wszystko! Wszystko!

Kochanki, jedna po drugiej, zaczęły brać tabletki na sen, ale jemu nawet wtedy udawało się wemknąć w ich śnienie.

W połowie marca opuścił swoje stare amantki i ruszył na podbój nowych. Pierwsza padła jego łupem Agata Orzeszek, lat trzydzieści sześć, wdowa po hydrauliku. Zginał, gdy z dachu oderwał się ciężki sople lodu i trafił go w głowę, rozłupał czaszkę i wbił się w myśl, która świdrowała go już od kilkunastu minut, by przejść na drugą stronę ulicy - ale to koniecznie! - i którą to myśl oddalił, by nie ulegać irracjonalnym impulsom.

Hydraulik po śmierci opiekował się żoną tak samo troskliwie, jak za życia.

Zepsuł się piecyk gazowy. Agacie przyśnił się mąż: „Odkręć tę rurę pod piecykiem i oczyść w środku” - poradził i wziął we śnie śnioną rurę w dwa śnione palce.

Myślała - dobrego ma męża. Po śmierci jest jeszcze bardziej opiekuńczy niż za życia.

Agacie prawie że nie brakowało hydraulika. Był tylko jeden problem: jej ciało. Nie pomagały kąpiele i sport. Jej ciało żądało miłości. Nieustannie. Dziwne, bo kiedy się kochała z mężem, zazwyczaj, znudzona, błędziła wzrokiem po szczelinach na suficie i po książkach na półce, i po obrazie.

Teraz wystarczyło, że przykładła policzek do poduszki, a w tej samej chwili budziła się nagle i nieodwołalnie. Coś dziwnego działo się z jej ciałem. Oddzielało się od prześcieradła, a na brzuchu zaczynała się rozchodzić fala ciepła. Agata kręciła się, kładła na wznak, na boku, odrzucała kołdrę, zdejmowała koszulę, tarła stopą o łydkę, potem łydką o łydkę, potem udem o udo. I nic. A nawet coraz gorzej.

Zasnąć mogła dopiero wtedy, gdy brzuchem i policzkiem przywierała do zimnej podłogi. Budziła się w środku nocy, zziębnięta. Wskakiwała na łóżko, ale wystarczyło, że przykryła się kołdrą, by natychmiast ponownie się rozbudzić.

Tak było noc w noc.

Jej ciało pragnęło miłości nieustannie, głodne, pałające.

Pół roku po śmierci hydraulika we śnie Agaty zjawiał się Mateusz. Był naburmuszony i silny. Przycisnął ją całym ciałem do drzwi, aż wizjer wszedł jej pod prawą łopatkę, uszczypnął w udo boleśnie i zapytał chrapliwym szeptem: „Chcesz?”.

Nie chciała. Był obcy, pachniał potem i landrynkami. Ale zanim zdołała cokolwiek rzec, została przygwożdżona i przeszyta.

Przebiegł ją dreszcz i pulsowanie i żeby nie jęknąć, Agata, na pół obudzona, chwyciła zębami róg poduszki. Wtedy zaczęły się dziać przedziwne rzeczy z łóżkiem. Najpierw rozeszło się w środku, potem wybrzuszyło, w końcu wyrzuciło Agatę w górę, a podłoga pod nim załopotowała. Czegoś takiego Agata nie przeżyła z hydraulikiem, który ją kochał uważnie i statecznie.

Nazajutrz Agata obudziła się spokojna i zadowolona. Odtąd zasypiała natychmiast po tym, jak przyłożyła głowę do poduszki, z uśmiechem na swoich małych ustach.

## 16

Karolina, nieświadoma poczynań Mateusza, przejrzała już politurowaną szafę w kolorze kości słoniowej w sypialni, z której wyjęła i otrzepała garnitury męża i jeden jego frak i z rozpędu - dokładnie w dniu, w którym w mieście, na śmietniku, w plastikowej torbie na zakupy pochodzącej ze sklepu Obsession znaleziono martwe niemowlę, a w Izraelu wygrał wybory Ariel Szaron, z czego, jak twierdził Albin Ogonek, nauczyciel historii, mogą być kłopoty, duże kłopoty - zabrała się za jego biurko w piwnicy. Miał je zawsze zamknięte na klucz!

Z szuflady wysypały się zdjęcia. Trafił ją szlag. Mateusz na łódce, Mateusz w lesie, Mateusz na balu, w śnieżnobiałej koszuli i muszce, Mateusz na nartach, Mateusz na łódce, Mateusz na wozie końskim, Mateusz na balu. Na każdym zdjęciu uśmiechnięty Mateusz obejmował jakąś panią.

Wyjęła listy i kartki pocztowe. Poczta trójwymiarowa przedstawiała kobietę z wielkim biustem. W zależności od tego, jak się pocztówkę ustawiło, raz kobieta była w czerwonej zwiewnej sukience, raz naga. W sukience - naga, w sukience - naga. A

jak była naga, to biust miała jeszcze większy i puszczała oko, a było to oko rozpustne i miało bardzo długie rzęsy.

W biurku znalazła też karty do gry, a na kartach - a fuj! - pokazane na rysunkach, jak TO można robić, i Karolina ze zgrozą pomieszaną ze zdumieniem odkryła, że można TO robić na pięćdziesiąt dwa sposoby. Przy tym jedna karta była szczególnie zdarta, ta, na której kochankowie mieli nogi jak dwie pary tnących się wzajemnie nożyczek.

Na widokówkach były bazy wielkanocne, kurczątko wykluwające się ze skorupki, były kościoły, domy partii i mewy nad morzem, a z tyłu jakieś Basie czy Kasie przesyłały Mateuszowi najczulsze całuski, wspominając przemiły wieczór, który na zawsze pozostanie w ich pamięci.

Karolina, trzeba to powiedzieć, regularnie przeszukiwała kieszenie Mateuszowego kożucha, przerzucała jego notes, sprawdzała zawartość teczek w poszukiwaniu jasnego włosa czy śladów szminki, albo zapisku w rodzaju: piątek, 20.00, Han., co mogło oznaczać tylko Hanę, wdowę spod tartaku.

Karolina chciała o Mateuszu wiedzieć wszystko - co robił w każdej minucie dnia. Tak się zapędziła, że gdy go odwieziono do szpitala z powodu wyrostka robaczkowego, to przed salą operacyjną zdążyła jeszcze szepnąć chirurgowi:

- A niech no tam pan przy okazji przyjrzy się jego wątrobie, panie doktorze...

- Nooo, pani mąż używa życia - rzekł po operacji lekarz; w jego głosie pobrzmiwał podziw.

Wyobraziła sobie tę wątrobę, powiększoną, zgrubiałą, a potem te wódeczki, te koniczki spływające obficie na biedny narząd. A potem te kolacyjki, w których nie uczestniczyła, i kolano wędrujące do kolana, i dłoń trącającą dłoń.

W szufladzie biurka Karolina znalazła teraz kalendarz Mateusza na 2000 rok. W lipcu i w sierpniu przy każdym czwartku było kółeczko, a w co drugi poniedziałek duży znak zapytania. Poza tym za obwolutą znalazła kolorową ulotkę szkoły tańca z nabazgraną datą - 14 lipca 2000 - oraz dwa bilety do kina na film „Spragnieni miłości” na 31 sierpnia 2000 roku.

- Wziął ją na „Spragnionych miłości”. Czy pani to sobie wyobraża? - opowiadała następnego dnia pani Podkolanko. - Już był u grobu, a jeszcze był spragniony.

- To był wyjątkowy człowiek, wyjątkowy - westchnęła pani Podkolanko.

- W dodatku ta szkoła tańca, zupełnie nie wiem, w czym rzecz. Myśli pani, że na stare lata zaczął uczyć się tańczyć?

- Do końca był energiczny - zauważyła sąsiadka.

- Pani Wiko, może pani coś słyszała, z kim się ostatnio spotykał?

- Pani Karolino, pani przecież wie, że od śmierci męża z domu prawie nie wychodzę.

Ale to było dopiero następnego dnia. Teraz rozzłoszczona Karolina zgarnęła notes, bilety do kina, ulotkę szkoły tańca, zdjęcia, listy, pocztówki, zesłała do stołowego, rozsypała je na dywanie, tuż pod portretem Mateusza. Wyjęła z szuflady nożyczki -duże, krawieckie, obłuzowane na łączy - siadła na podłodze, podwinęła nogi i zaczęła ciąć wszystko na kawałki, a te kawałki na jeszcze mniejsze kawałki, a te znów na zupełne drobinki. Tak jakby cięła całą swoją przeszłość, jakby cięła całe swoje małżeństwo, a nawet jakby cięła na strzępy skórę, serce i duszę Mateusza, choć on już i tak leżał w grobie. Mówiła przy tym do męża:

- Jesteś łajdakiem, wiesz? Nienawidzę cię. Nie-na-wi-dzę. Na portrecie twarz Mateusza robiła się coraz bielsza, a oczy coraz bardziej miodowe i okrągłe z niewinności.

Kiedy już pocięła wszystko na drobny mak, wrzuciła skrawki do kominka. W przypiływie energii wyjęła odkurzacz i wyczyściła dywan z ostatnich śmiezków, wyjęła papierowy pojemnik i też wrzuciła go w ogień. W łazience długo szorowała ręce, a kiedy już całkiem pomarszczyły się od wody, osuszyła je i wtarła w nie krem rumiankowy - ten sam, który zawsze tak pachniał w aptece, że aż klienci pytali: A cóż to za zapach? - po czym krzyknęła w stronę Mateusza na ścianie:

- Do diabła z takim życiem!

Karolina zazwyczaj łatwo wpadała w złość i wtedy mówiła głosem wysokim i piśkliwym. Nie miała taktu, ooo, a dyplomacji nawet za grosz, rąbała prawdę między oczy. Teraz też chciała Mateuszowi wygarnąć wszystko, czego nie zdążyła mu powiedzieć za życia.

- Dobrze, że leżysz na cmentarzu - rzekła zjadliwie. - Przynajmniej wiem, co robisz wieczorem.

- To samo mówiła Fermina - zauważyła Maciejka, gdy pewnego dnia matka powtórzyła to przy niej.

- Ach tak? - Karolina zdziwiła się uprzejmie, że koleżanki Maciejki też mają takich mężów.

- Mamo, powinnaś wyjść, czymś się zająć.

- Dobrze, dobrze - odpowiedziała nieuważnie, a w duchu pomyślała z triumfem: *Aniele Stróžu, nie muszę już nikogo słuchać, nikogo!*

*Leżała* potem w łóżku i po raz tysięczny zadawała sobie te same pytania: Po co ja za niego wyszłam? No po co? Żeby mi na końcu zmarł?

Po wojnie, w której zginął jej ojciec - działacz związkowy, poseł - rozstrzelany przez gestapo, wróciły z matką do Poznania, do dawnego mieszkania w suterenie. Matka pracowała w kuchni wojskowej, bo nie miała zawodu, a Karolina biegała na uczelnię i marzyła o własnej aptece. Widziała już siebie, jak stoi na tle mahoniowych półek, na których prężą się na baczność brązowe buteleczki, obok lśni waga do ważenia białych proszków, a ona, w wykrochmalonym białym fartuchu, młoda i piękna pani magister, jednym ruchem ręki obraca w perzynę zło tego świata: na katar - po trzy krople w dziurkę, na gorączkę - pastylka co dwie godziny, na bóle - czopek na noc, na miłość - łyżeczka od herbaty, na nienawiść - dwie łyżeczki na czczo, na złe słowa, które ulatują mimochodem - pastylka pod język, na złe myśli - inhalacja, na strach w żołądku - lewatywa. I świat, myślała, ach, znów powróciłby do równowagi.

Tylko na śmierć nie mogła znaleźć lekarstwa.

Zanim jednak Karolina zdobyła dyplom, apteki upaństwowiono i wkrótce potem półki stały się mniej mahoniowe, odważniki mniej lśniące, fartuchy mniej białe i mniej wykrochmalone. A katarów, kaszłów, bólów i gorączek było coraz więcej i Karolina z rozpaczą zobaczyła, że świata nie da się utulić.

I oto zjawił się Mateusz. Nie chciała go, taki był nieokiełznany. W dodatku niewysoki, a te jego łopatki!

Ujął ją tym, że był bohaterem. Mateusz w czasie wojny został, z rodziną, wywieziony w głąb ZSRR. Karolinę wzruszała do łez ta smutna opowieść o chłopcu, który po drodze do Kazachstanu wyskoczył z pociągu po wodę, a kiedy wrócił na peron, pociąg już odjechał w siną dal. Wyobrażała sobie tego wyrostka, jak stoi rozczochrany, patrzy na puste tory i po jego umazanych policzkach płyną brudne łzy. Widziała, jak go prowadzą do domu dziecka i mówią, że już się nie nazywa Mateusz Ptak, ale Kola Ptica. Razem z nim cieszyła się, kiedy udało mu się przejść niepostrzeżenie przez bramę i uciec. Aż się cała prężyła, kiedy wychodził z armią Andersa z ZSRR. A te maki pod Monte Cassino to były takie wyraziste, jakby sama tam była.

Karolina, naiwna, myślała, że prawdziwy bohater musi być dobrym mężem. W dodatku był silny, władczy, energiczny. Wszystko umiał załatwić. A jak innym pomagał! Dla swoich kolegów z armii mógłby skórę z własnego grzbietu ściągnąć. Szkoda, że nie dla niej!

Tak bardzo chciał jej zastąpić nieżyjącego ojca, była jego całym światem - tak się zaraz po ślubie wydawało. Aż do tamtego dnia, gdy przyszła do niej przyjaciółka, dentystka z drugiej strony torów. Mateusz był wtedy w wojsku, a ona, Karolina, w szóstym miesiącu ciąży.

Dentystka ciężko siadła w fotelu - bo była rozłożysta i w dodatku nosiła ciężką biżuterię - i podzwaniając złotym łańcuszkiem, który owijała wokół palca, wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Mateusz wynajął Łukaszowej domek przy tartaku, u niej śpi.

Karolina klękła teraz przy łóżku. Chciała zmówić pacierz albo przynajmniej powiedzieć wiersz „Czegóż chcesz od nas, Panie...”, ale tylko położyła głowę na łóżku, przytknęła czoło do zimnej kołdry. *Aniele Strózu, on mnie wykorzystał i teraz porzucił. Czy tak musiało być?* Chwyliła prawą ręką poszewkę, zmięła ją, ugryzła i wpakowała sobie do gardła.

## 17

Zimą Mateusz odwiedzał same wdowy. Były dyskretne i wdzięczne.

Mąż Elwiry Piorun, sprzedawczyni w kiosku Ruchu, Edek, przez dwadzieścia lat dzień w dzień pił. Umarł pewnego poranka - w butach, na łóżku, głośno chrapiąc, z przepicia. Oddał pod siebie mocz, a potem oddał ducha.

Elwira poczuła ogromną ulgę pomieszaną ze złością. Cóż to było za życie z pijakiem! Przez okrągłe dwadzieścia lat tylko raz byli w kinie, na Angelice, i tylko raz w dyskotecce. A jaki był z niego chojrak! Przychodził pijany, rzucał ją na łóżko, głośno dysząc, rozpiął rozporek i naraz wiądnął. Jeszcze pchał się, jeszcze atakował, jeszcze próbował wcisnąć się w Elwirę. Bez skutku. Zasypiał między jej nogami mokry, śmierdzący potem, śmieć. A ją tylko rwało rozszarpane łono.

Całe życie Elwira marzyła o jednym: że kiedy wreszcie zostanie sama, wysprząta mieszkanie do błysku, siądzie sobie w fotelu, będzie sobie rozwiązywać krzyżówki i oddychać czystością swojego wypucowanego domu.

I tak się stało.

Co rano sprzątała całe mieszkanie, potem siadała na kanapie. I już miała wchłaniać czystość, gdy zaraz zjawiał się Edek w zabłoconych buciorach i szedł przez środek pokoju, zostawiając na podłodze mokre, brudne plamy. A jej krzyżówka wypadła z ręki i Elwira mówiła ze złością:

- Byłeś złym mężem, piłeś, brudziłeś, bywało, że szturchnąłeś, tylko raz zabrałeś do kina i jeszcze teraz przychodzisz mi paskudzić podłogę?

Tak było codziennie. Po śmierci Edek, tak samo nonszalancko jak za życia, paradował po jej mieszkaniu. Im staranniej szorowała dom, tym, zdawało jej się, brudniejszy przychodził. Zwalał się u jej stóp i głośno chrapał.

Elwira czuła taką niechęć do męskiego rodzaju stąpającego po tej ziemi, że kiedy w jej śnie pojawił się Mateusz, burknęła nieprzyjaźnie:

- Zostaw mnie.

Mateusz zatrzymał się nieśmiało. A jakiż on był elegancki! Miał niebieską koszulę, żółty krawat w zielone jaszczurki, garnitur, a spodnie w szczypawki. Przyklęknął, zdjął z jej nóg trzewiki i zaczął masować stopy.

- Już starczy. - Elwira próbowała wstać, ale Mateusz przytrzymał ją ręką. Masował jej kark i plecy, a dłonie miał silne i ciepłe. Dostał się pod prawą łopatkę, gdzie siedział strach, a w barku znalazł duże i twarde ziarno gorczy.

Powoli i niechętnie w głowie Elwiry rozpuszczał się jakikolwiek opór, potem jakakolwiek myśl, i sprzedawczyni czekoladek i Harlequinów coraz bardziej czuła nieistnienie myśli i oporu, nawet wtedy, gdy Mateusz już przestał ją masować, a zaczął głaskać. A robił to tak delikatnie, jakby go wcale nie było. Z niewiadomego powodu robiło jej się coraz przyjemniej, aż krzyknęła krótko i zadygotała od stóp po włosy.

Obudziła się cała mokra. Zaraz znów zasnęła. Tej nocy ani następnej, ani już nigdy nie zjawił się Edek, żeby upaść na środku jej wypastowanego snu i zachrapać.

## 18

Pod koniec lutego, gdy z Wielkiej Brytanii nadciągała pryszczycza, Karolina oddała wszystkie garnitury Mateusza pogorzelncom. Przyjechali po nie, potężny rumiany ojciec i jego syn - ładny blondynek - starym polonezem, który uchwycił się z pożaru. Stanęli w przedpokoju nieśmiało, a Karolina zносиła z piętra Mateuszowe ubrania, kładła je na długiej ławie w przedpokoju i jakby jeszcze nie chcąc się z nimi rozstać, brała jeden po drugim i mówiła: „O, ten czarny garnitur będzie pasował na młodszego pana, do matury jak znalazł. Mój mąż był w nim po raz ostatni na balu karnawałowym w straży pożarnej. A ta sportowa marynarka w kratę, jak ja ją lubiłam, może nawet drugi pan się w nią zmieści. A fraku wam nie dam. Mój małżonek wyglądał w nim jak świerszcz, istny świerszcz. Pamiętam, jak w tym fraku grał na harmonijce ustnej”.

Starszy mężczyzna spoglądał na Karolinę z szacunkiem, gdy młodszy rozglądał się ciekawie po przedpokoju.

Karolina stała potem w oknie kuchni i przyglądała się, jak ładują garnitury do poloneza. Miała nieprzyjemne wrażenie, że oto wyrzuca Mateusza z domu. Trzasnęła

klapa bagażnika. Jak wieko trumny - pomyślała i długą chwilę wsłuchiwała się w odgłos oddalającego się silnika samochodu, aż zmieszał się zupełnie z wiatrem.

Dwa dni później otworzyła wielką szafę wnekową w przedpokoju i dłuższą chwilę stała nieruchomo, porażona strachem. Jak ona to wszystko uporządkuje?!

- Oczywiście, zwałeś to na mnie - jęknęła w stronę portretu Mateusza.

Szafa była pełna starych gratów. Na górnej półce stały płyty. Po lewej - długogrające Muzy w granatowych koszulkach w ciapki, po prawej - pocztówki dźwiękowe.

Kiedy dzieci były małe, uwielbiały puszczać na kręcącą się płytę waciki i zahipnotyzowane patrzeć, jak kołują. Czasem igła zaczepiła o wate, rowek zacierał się i płyta śpiewała wciąż ten sam kawałek: jaką-mi-dasz, jaką-mi-dasz, jaką-mi-dasz, a Maciejka ze strachu krzyczała na całe gardło, póki ktoś nie przesunął ramienia adapteru.

Z boku Karolina zobaczyła froterkę i zmartwiła się: co ona z nią zrobi?!

Uważała, że trzeba iść z postępem i chętnie kupowała różne cudenka techniki. Pierwsza w mieście miała lokówki elektryczne. Pierwsza przywiozła z Warszawy prodiż elektryczny, niemiecki, zapinany na zamki. Robiła w nim torty, pasztety i mięsa.

Zachwyciła się plastikiem.

Dzień, w którym zobaczyła go po raz pierwszy, na zawsze wrył jej się w pamięć. Wpadł do nich Szczupaczkiewicz i już od progu wołał:

- Chodźcie, herbata później, teraz chodźcie oboje, tu, tu, na tapczaniku, siadajcie, no, siadajcie i patrzcie, gdzie lecis, Karolina? Woda nie wyparuje. Siadaj. Patrz. Wiesz? Szuruburu abrakadabra, nie śmiej się, abrakadabra bęc!

I oto w rękach Szczupaczkiewicza pojawił się grzebyk. Mały brązowy grzebyk. Karolina już chciała krzyknąć: jaki śliczny!, ale Szczupaczkiewicz uprzedził ją:

- A teraz uwaga, uwaga, szuru buru abrakadabra.

Ujął go w dwa palce, jednym od dołu, drugim od góry, uniósł na wysokość oczu i delikatnie nacisnął. Grzebyk wygiął się w pa-łak. Karolina aż krzyknęła z zachwytem. Ale to nie wszystko! Szczupaczkiewicz puścił jeden koniec i grzebień wyprostował się, jakby wcale nie był zginany.

Karolina pokręciła z uznaniem głową.

- Spójrz, co oni tam na Zachodzie potrafią robić! Uśmiechnęła się teraz pod nosem, bo przypomniała sobie, jak

to elegancy młodzieńcy nosili grzebyki w tylnej kieszeni spodni, tak, żeby nieco wystawały. Spodnie mieli obcisłe, było prawie widać anatomię seksu. Karolina rumieniła się i odwracała wzrok, ale i tak co jakiś czas konstatowała zdziwiona, że znów widzi jakiś napęczniały rozporek.



Tak było, w jednej kieszeni mieli grzebyki, a do drugiej wsuwali lusterka - przypominała sobie. Okrągłe ze zdjęciem Brigitte Bardot, prostokątne z Giną Lollobrigida. Co jakiś czas, stojąc na skraju chodnika, wyjmowali grzebyki i przeglądając się w lusterku, przeczesywali nim włosy do tyłu. A potem jeszcze poprawiali je rozczapierzonymi palcami.

- Mateusz, pamiętasz? Nawet ty miałeś swój grzebyk. Choć wcale nie byłeś już wtedy młodzieńcem!

Jej zachwycenie plastikiem nie zgasło nawet tego dnia, gdy Mateusz, wyginając grzebyk w kabłąk, złamał go wpół. Choć, gdzieś głęboko w jej duszy, pojawiło się wątplenie, które natychmiast ofuknęła: że na Zachodzie też są rzeczy, które się łamią, psują, starzeją, i że nawet tam umierają ludzie.

Ale to było wiele lat później. Na razie plastik ją zachwycał. Był lekki, kolorowy, nie tłukł się, nie obijał, jak blaszane miednice, nie toczyły go korniki, jak rzeźby Mateusza. Był dyskretny, bo nie wydawał dźwięku. I do tego był wieczny.

Wieczny - szeptała Karolina, porażona myślą, że ten zielony kubek w duże grochy do mycia zębów przeżyje i ją, i jej dzieci, i dzieci jej dzieci, i nawet tych, którzy nigdy się nie dowiedzą, że to ona go kupiła.

Teraz w szafie wnękowej w przedpokoju Karolina znalazła cały worek plastikowych bibelotów. Jakieś kolorowe francuskie spinki dziewczęce - och, kiedyś były takie modne! - jakieś kubki, sztucce, talerze, a wśród nich ukryty, nie wiadomo czemu, wałek od pralki.

Przypomniała sobie raptownie, że taki wałek służył do drukowania pisemek podziemnych. Maciejka zwoziła je potem do domu, a Mateusz, jak ostatni głupek, chwalił się wszystkim wokoło, szepcząc: „To moja córka robiła!”.

- Jakbyś miał w tym jakikolwiek udział! - rzuciła Karolina w głąb salonu, do Mateusza, który tam powinien siedzieć, jak zawsze, na dywanie i przeglądać gazety. Wydawało jej się nawet, że przewraca strony, choć nie było to zgodne z prawdą, niestety.

Przecież to ona, Karolina, zmusiła Mateusza, żeby kupił pralkę, bo to ona była motorem postępu. Mieli pierwszą franię w okolicy!

- Jak to: sama pierze? - dziwiły się sąsiadki.

- To taka beczka, a w środku się rusza - tłumaczyła Karolina, która przeczytała na ten temat artykuł w „Kobiecie i Życiu”.

- A czy z poszewek, z prześcieradeł, ręczników wydusi brud tak dobrze, jak nasza tarka? - wąpiły sąsiadki. - A skąd ta beczka będzie wiedziała, że ścierki trzeba trzeć, a bluzki ostrożnie zgniatać?

Wątpliwości było coraz więcej.

- A czym ona będzie tarła? - pytały sąsiadki.

Karolina milczała, bo sama nie wiedziała. Może z wnętrza tej beczki wyrastają metalowe dłonie, które trą, gniotą i płukają?

- Boże, ile się naprosiłam, żebyś mi dał pieniądze - mówiła teraz Karolina do Mateusza. - Każdy grosik musiałam ci wydzierać. Jakież to było upokarzające!

- Pralka? - Mateusz nie wiedział, co o tym sądzić, ale podejrzewał, że to jakieś babskie fanaberie.

- Tak, pralka - rzekła twardo Karolina, wyjmując z jego rąk plik banknotów. Zwinęła je, włożyła do swojej portmonetki, zatrzasnęła zamek torebki, uśmiechnęła się niewinnie i powtórzyła: - Pralka - jakby mówiła: „To tylko bombonierka”.

Mateusz zamknął i otworzył dłoń, jakby szukał w powietrzu banknotów, które jeszcze tam przed chwilą były, a ponieważ ich nie znalazł, pstryknął palcami, odwrócił się i poszedł do stolarni. Wkrótce dały się stamtąd słyszeć pojedyncze stuki młotkiem, samotne i zdumione.

Karolina odłożyła wałek na stos rzeczy do wyrzucenia. Wahala się chwilę, aż wreszcie wyrzuciła to z siebie:

- Nie powiedziałam ci o tym nigdy. Tamtego dnia, po raz pierwszy w życiu, zapłaciłam łapówkę.

W sklepie młody sprzedawca w granatowym fartuchu spojrzał na nią zaskoczony.

- Pralka? Trzeba mieć talon.

- Taaaloon? - zdziwiła się Karolina. Rozejrzała się wokoło, wycelowała palec w sam róg sklepu i rzekła: - Przecież widzę, że szanowny pan ma tu dwie sztuki pralek.

- Racja, droga pani - przyznał grzecznie sprzedawca - ale obie są zamówione. - I zawiesił głos.

- Och, i co ja teraz zrobię - zmartwiła się Karolina, ale zerknęła na mężczyznę i chytrze zapytała: - Czy nie widziałby pan jakiejś możliwości? - Przy tym nacisk położyła na słowo: „jakiejś”.

- Może, może... - Jego wzrok błędził gdzieś ponad jej ramieniem.

- Byłabym naprawdę bardzo wdzięczna....

- Zdaje się, że w magazynie coś jeszcze zostało - rzucił nieobowiązująco.

- W takim razie... - Karolina sięgnęła do torebki, ze zwitka banknotów ściśniętych różową gumką wyłuskała jeden, rozprostowała go na ladzie.

Spojrzeni sobie w oczy. Spojrzeli głęboko, a każde z nich otworzyło tę niewielką furtkę prowadzącą do duszy. I już wszystko wiedzieli. Sprzedawca położył palec na skraju banknotu i rzekł:

- Proszę przyjechać w piątek, droga pani. O dwunastej. Dopiero kiedy Karolina znalazła się na ulicy, zaczęły jej drżeć ręce i policzki, aż musiała przysiąść na ławce. Co za wstyd! Co za hańba! Zerknęła na przechodniów - czy już wiedzą? Czy się domyślają? Czy już szepczą sobie do ucha?

Pomyślała też, ale tak, żeby jej nikt nie usłyszał: Co to za kraj! - i rozejrzała się podejrzliwie.

- Tak było, mój drogi - rzuciła Karolina w głąb salonu. - To nie ja powinnam załatwiać takie rzeczy. Ty powinienes kupić tę pralkę, obwiązać kokardką, przywieźć i powiedzieć; Kochanie, kupiłem ci prezent na imieniny, żebyś się nie męczyła. Ale nie. Co ciebie to obchodziło. Uważałeś, że jestem po to, żeby prac, gotować, skakać koło ciebie, ale już czasu dla mnie nie miałeś. Biegałeś tylko do tych swoich kochanie.

Wreszcie w łazience stanęła pralka. Prawdziwa pralka! Z wyzmaczką! Karolina myślała, że jej życie zmieni się nie do poznania. Ileż będzie miała wolnego czasu! A jakie będzie sobie robić manikiury!

Dwa tygodnie później w miasteczku rozszalała się burza. Trzasnął piorun, zgasło światło, z łazienki rozszedł się swąd i wtedy okazało się, że zapomnieli o uziemieniu.

- No i pralkę diabli wzięli - westchnęła teraz z żalem Karolina. Ale zaraz uśmiechnęła się. - A pamiętasz pralkę automatyczną? Ale był ubaw! - I ze śmiechu aż się klepnęła po udzie.

W dniu, w którym dwaj zwalisc mężczyźni wnieśli ją do domu, w łazience zgromadziła się cała rodzina. Panowie podłączyli wodę, prąd, Karolina wrzuciła do bębna pranie ciemne, a Mateusz dorzucił swoją pomarańczową koszulkę i przekręcił pokrętkę.

- A mówiłam, że wszystko zafarbuje!

W milczeniu patrzyli, jak bęben napełnia się wodą, jak ospale przekręca się w lewo, w prawo, jak wzdycha, jak z wolna nabiera energii. Całą godzinę siedzieli w łazience - Karolina na wannie, Mateusz na sedesie, Maciej oparty o umywalkę, a Maciejka o framugę drzwi - i zafascynowani patrzyli w okrągłe okienko takie samo jak w samolotach, i na pomarańczową koszulkę, która się tam w środku przewalała.

Tak, to ona, Karolina, była motorem postępu. To ona uparła się, żeby zainstalować antenę satelitarną - pierwszą w mieście! - bo chciała łapać świat.

- Gdyby nie ja, to pewnie do dziś mieszkalibyśmy u twoich rodziców, na wsi - warknęła nieprzyjaźnie i zaraz głupio jej się zrobiło, bo przecież oznaczałoby to, że Mateusz by żył.

Tak ciągnął do swojego domu, ach, jak ciągnął. Ona chciała do Warszawy, oglądać muzea, spacerować po parkach, a on - na wieś, zbierać jabłka.

- Nawet jak Amerykanie lądowali na Księżycu, to zawiozłeś mnie do rodziców, nie wiadomo po co. Mówiłeś, że tam widać całe niebo! Myślałeś chyba, że z Ziemi zobaczysz ich rakiety!

Pojechali. Zjedli późną kolację, ziemniaki polane skwarkami, do tego wspólna miska zsiadłego mleka. Matka Mateusza, drobna kobiecinka, poszła spać, mówiąc, że Amerykanów i tak nie dojrzy, bo wzrok ma słaby, a musi rano świnię nakarmić.

Wyszli z dziećmi na dwór.

- Ja się wtedy obejrzałam. Twoja mama akurat się kładła. Nigdy mnie nie lubiła, mówiła: „A Karolinka to ma wiano?”. Wyszłam z powstania warszawskiego goła i bosa, a twoja mama o wiano pyta. To ja wyciągam palec, stukam się w głowę i mówię: Swoje wiano mam tutaj, w głowie.

Przez okno, w mroku ledwie rozświetlonym nikłym światłem lampy naftowej, Karolina widziała swoją teściową - przed snem uklękła w długiej nocnej koszuli przy łóżku, twarz ukryła w ko-piastej pierzynie i modliła się na cały głos. Potem siadła na łóżku i wolno, z namaszczeniem, zaczęła rozplatać warkoczyki, a miała ich dziesiątki, maleńkie sinosiwe warkoczyki. Kiedy już rozplotła wszystkie i wyczesła włosy, pochyliła się nad lampą naftową i kręcąc pokrętle, wolno zgasiła płomień.

A oni stali przed chałupą, pod gołym niebem, i patrzyli w Księżyc, szukając Apolla, statku powietrznego. Karolina taka była potem wściekła, bo inni wszystko dokładnie widzieli w telewizorze!

O tym wszystkim przypomniała sobie teraz, grzebiąc w szafie w przedpokoju. Za froterką znalazła obraz warszawskiego malarza, którego nazwiska nie pamiętała, ale nie wiadomo czemu kojarzyło jej się z płaczem. Był to podarunek dla Mateusza, za jakąś przysługę. Wyjęła obraz, zaniósła do stołowego, żeby zobaczyć go w świetle, i powiedziała do męża na ścianie:

- Byłeś dobry dla ludzi i zły dla mnie. Bardzo zły dla mnie.

Potem przypatrzyła się Mateuszowi krytycznie.

- Dobrze ci tam, nie? Nawet tej cholernej szafy nie musisz porządkować. A myślisz, że mnie się chce? Że to mój obowiązek? Wobec kogo? Ja, mój drogi, nie mam już żadnych obowiązków, wobec nikogo. A wobec ciebie to już najmniej!

W plastikowym wielkim worku znalazła letnie koszule Mateusza, na których prężyły się tygrysy i szumiały palmy. Z nogawki spodni wypadł stary niebieski czepek z przyklejonymi doń margerytkami z plastiku. Przerzuciła swoje spódnice z klosza, princeski, sukienki z modnym kiedyś dekoltem karo. Znalazła suknię balową - przysłał ją wuj z Kanady. Suknia była krótka, biała, muslinowa, na sztywnej halce - trzykrotnej! - z szalem i głębokim dekoltem. Tańczyła w niej na balu farmaceutów, same walce i tanga, a to „Tango Milonga”, mój Boże, profesor od lekoznawstwa tak wtedy przyciskał swoją pierś jej pierś, „tango mych marzeń i snów”. Taak, a Mateusz popatrywał na tę małą z żonkilem we włosach. Myślał, że ona tego nie widzi? Oczywiście, że widziała, bo przecież Karolina widziała wszystko.

Wytrząsnęła teraz resztę rzeczy z worka. Na stertę ubrań wypadły czarne lakierki. Przypomniała sobie, jak pięknie lśniły na wystawie i że rozeszły się w czasie pierwszego deszczu. Stała na rogu ulicy w Warszawie i czekała, aż z hotelu wyjdzie jej mąż, z kochanką. Spadł deszcz, schowała się pod wyliniałą markizą pobliskiego sklepu, kałuża u jej nóg robiła się coraz większa, krople deszczu grzechotały o płótno, było zimno, a buty coraz bardziej nasiąkały wodą.

Teraz siadła na krzeselku i zaczęła obracać je w dłoniach. Miała takie drobne stopki - pomyślała i nie wiadomo czemu zachciało się jej płakać. Wytarła, na wszelki wypadek, nos i naraz zachichotała.

Kiedy lakierki rozpadły się zupełnie, zawinęła je w gazetę i poszła do sklepu z reklamacją.

Sklepowa aż wydeła wargi ze zdziwienia.

- Do tej pory żaden klient nie skarżył się na te buty - oznajmiła i z wyrazem ledwo skrywanego obrzydzenia obejrzała obcas buta, palcem zakończonym długim paznokciem pomalowanym na różowo delikatnie odgięła podeszwę i zgorszona zapytała:  
- A cóż to pani robiła z tymi lakierkami?

Karolina zmieszała się.

- Jak to co? - pisnęła wojowniczo. - A co się robi z butami? Chodziłam w nich.

- Chodziła pani?! W lakierkach? - Sklepowa spojrzała na nią z niesmakiem. - Ależ te buty są dla nieeee-boooo-szczyyy-kaaa!

- Jak ja śmiałam tego nie wiedzieć - chichrała się teraz Karolina, kołyszając się na tylnych nogach stołka. - Cały świat wie, że lakierki są dla nie-bo-szczy-ków. A ja w lakierkach dla nie-bo--szczy-ków poszłam na bal! Co sobie ludzie o mnie pomyśleli?

Karolina tak się śmiała, że aż z oczu zaczęły jej skapywać łzy. I wtedy pod jej dom podjechał samochód i ostro zahamował. O, Mateusz - pomyślała i już chciała się rzucić do kuchni, żeby podgrzać zupę.

Wiosną Mateusz rozzuchwalił się i zaczął nawiedzać rozwódki. Miasteczko już wtedy dostrzegło, że z kobietami dzieje się coś dziwnego. Zachowanie choćby takiej Pauliny było bardzo, ale to bardzo zastanawiające.

Paulina prowadziła najlepszy zakład fryzjerski w mieście. Kto tylko mógł, czesał się u Pauliny, a już panny młode - obowiązkowo.

Fryzjerki śmiałym ruchem przycinały grzywkę w lekki skos, zostawiały długie odważne baczki, wystrzygały głębokie pazurki, wysoko podgalały karki. Do salonu Pauliny wchodziły nieśmiałe nastolatki i zapracowane gospodynie domowe, a wychodziły z niego wampy, tygrysice, lolitki, pierwsze naiwne, madonny.

Paulina była perfekcjonistką. Krążyła między fotelami, od czasu do czasu rzucając oschle: „Ten kosmyk zostawić, ten ściąć, ten przyczernić, tu podgolić, tam wycienić”. Niska, ruchliwa i władcza. „Caryca” - mówiły o niej szeptem fryzjerki.

Paulina nie miała męża, przyjaciela, domu, rodziny, Paulina nie miała nic, tylko pracę. Zdawało się, że nawet uczuć nie ma. Uleciały wraz z pewnym blondynkiem o anielskiej urodzie, który w listopadzie 1981 roku wsiadł do samolotu do Nowego Jorku i przepadł na dziesięć lat. Od tej pory poświęciła się wyłącznie włosom. Postawiła sobie cel: utrzymać najlepszy salon w mieście. Reszta to był tylko środek, metoda, fortel, narzędzie. Fryzjerki nie więcej były warte niż nożyczki, a może nawet mniej, bo ich wymiana nic nie kosztowała.

Paulina skończyła czterdziesty siódmy rok. Weszła wtedy w przykrą fazę życia zwaną menopauzą. Fryzjerki zauważyły, że dzieją się z nią dziwne rzeczy. Nagle, z powodu jakiegoś zabłąkanego kosmyka, urządziła dziką awanturę, przy czym zdejmowała z nogi but i wściekle waliła obcasem w różową ścianę. Chwilę później, nie wiadomo czemu, wybuchała śmiechem, który wypełniał salon od ściany do ściany. Czasem rzucała się na szyję którejś z dziewcząt, wołając: „Genialne, genialne!”. Raz nawet uklękała.

Fryzjerki bały się jej - była histeryczna i despotyczna. Jeszcze bardziej się bały, kiedy była słodka. Wiedziały, że jeśli zaczyna zdanie komplementem, to skończy je obelgą.

Potem z Paulina było jeszcze gorzej.

Zamykała się w swoim biurze na całe godziny. Wychodziła stamtąd rzadko i wargi miała pogardliwie wydęte. Kiedy do uszu fryzjerek dochodził stukot jej obcasików, na sali milkły rozmowy i słychać było tylko nerwowe szczękanie nożyczek. Zdarzało się,

że fryzjerce zadrżała wtedy ręka i na podłogę padł baczek, który chciała tylko przystrzyc.

W końcu Paulina zaczęła się leczyć. Na hormony, na nienawiść do całego świata, na uczucia, których nie miała, a które chciała mieć. Natychmiast we śnie zjawił jej się Mateusz. Grał rolę koniuszego ze stadniny koni, był dziarski, brudny i niewychowany. Przez pół snu Paulina jeździła z nim na koniu po lasach i wąwozach, to galopując na skraju bagien, to jadąc stępą przez potoki, po czym zziajana, spocona, szła do stajni. Było tam pięterko, gdzie składowano siano. Mateusz już na nią czekał, już umościł dołek, siano podsypał pod biodra, żeby jej było przyjemniej. Konie parskały w dole, pachniało końskim łajnem, a koniuszy Mateusz kładł na jej piersiach ręce ciężkie i szorstkie. Biła od niego taka nieprzyzwoitość! Kochał ją gwałtownie i nieokrzesianie. Tam, na sianie, to on był carem, a Paulina jego dziwką.

## 20

Na początku marca talibowie rozwalili posągi Buddy i calutka ulica Celofanowa orzekła, że islam to niebezpieczna religia. Tylko Maciejka się nie zgadzała, ale ona zawsze była wbrew, no i ojciec Pacyfik, ale ten był tak samo dziwny, jak jego obrazy. Jak można tak malować! - dziwiła się ulica. Murzyńskie madonny? Jezusowie z wydatnymi nosami, co do których na pierwszy rzut oka widać, że żydowskie?! Albo fezy! Po jakiego, tfu, licha wkładać na głowę śpiącego Dzieciątka arabski fez?

Kiedy cała ulica rozprawiała o talibach, Karolina zabrała się za porządkowanie pawlacza. Robiła to w ramach porządków wiosennych, choć gdzieś w głębi kołatała w niej myśl, że może znajdzie jakiś ślad, który ją zaprowadzi do ostatniej kochanki Mateusza.

Od jakiegoś czasu ostrożnie rozpytywała wokoło o kobiety, które na pogrzebie Mateusza stały z tyłu. Przyciskała Mariolę i Szczupaczkiewiczową:

- Kto był jego ostatnią kochanką? Kto to był? Wrócił do Anastazji? A może uwiódł córkę cukiernika, tę co to siedzi w oknie domu towarowego jako żywa reklama i jest w ciąży nie wiadomo z kim?

Kolejny raz przebiegała pamięcią trzy ostatnie miesiące jego życia. W tym czasie dwa razy był w Warszawie, raz wrócił grubo po północy. Tydzień spędził w sanatorium w Nałęczowie. Poza tym we wtorki i w czwartki gdzieś znikał. Ciągle mówił, że jedzie oglądać samochód z ogłoszenia. Dziesięć razy oglądał, a nic nie kupił! A jak go cierpko pytała, czemu zakłada swój najlepszy garnitur, mówił:

- Muszę zrobić na kliencie dobre wrażenie.

Stawał przed lustrem i długo wcierał w policzki wodę kolońską.

- Cztery lata mam tę favoritkę, cztery lata - narzekał. - Tylko do naprawy z nią jeżdżę.

- Ale ty nigdy nie kupowałeś używanych samochodów.

- Jaki tam używany, raptem dwuletni chcę kupić!

- Zawsze mówiłeś, że jeśli kupować, to tylko nowy.

- Dwuletni ford to prawie jak nowy.

I wcierał wodę kolońską, wcierał, a nad lewym kącikiem jego ust ukazywał się dołeczek.

Raz Karolina się uparła, że pojedzie z nim oglądać ten samochód. Wywiózł ją za staw, za obóz Cyganów, miętolił jakąś kartkę z adresem i za nic nie mógł tam trafić. Do domu wrócili z niczym. A Mateusz taki był zły!

W pawlaczu znalazła tekturową walizkę, tę samą, w którą spakowała wszystkie swoje rzeczy, gdy w 1956 roku chciała wyprowadzić się z domu. Wyjęła maszynę do pisania Łucznik. Wyciągnęła plastikowy worek i wytrząsnęła z niego stare koszule i krawaty Mateusza. Wśród kłębków wełny zaplątały się jej stare majtki. Strzepnęła je i rozciągnęła w pasie. Były duże, różowe, niezgrabne.

- Gumka też wystrzępiona - zauważyła i od razu zganiła Mateusza: - Pamiętasz? Wtedy nie było w sklepach gumek do majtek. Tyle razy prosiłam cię, żebyś kupił po znajomości! I nic. Wstydzileś się pewnie. Może ci wstyd było, że masz żonę? Pięknych zagranicznych majtek też mi nie chciałeś kupić. Ani kwiatów, ani pierścionków, ani rajstop, nic.

Przyszły jej na myśl te wszystkie figi i majtasy, które w życiu nosiła. Te barchanowe, z nogawkami ściskającymi uda, te cieliste, albo bladoróżowe, śliskie i tak wycięte, że wpijały się w sam środek pośladków, dokładnie w sam przedziałek, a tak brzydkie, że już na zawsze zapamiętała własną wdzięczność do obywatela, który w sprawie damskich majtek w „Expressie Wieczornym” złożył protest. Po ulicach chodziły piękne dziewczyny, pisał, w modnych obcisłych spodniach, ale szpeci je pewien szczegół - otóż w połowie pośladków odciska im się kraj majteczek. Na przestrzał. Po przekątnej! Czy przemysł polski nie mógłby wziąć przykładu z przemysłu zagranicznego i produkować majtek, które kończyłyby się nie na pośladkach, lecz pod nimi? - pytał retorycznie, ale przemysł polski nie wziął sobie jego słów do serca, bo w kwestii majtek nic się nie zmieniło.

- Dopiero za dolary od wujka kupiłam sobie majteczki. Nawet ich nie zauważyłeś - rzuciła w stronę portretu Mateusza.



Śliczne białe majteczki zapakowane były w etui z przezroczystego plastiku i leżały pod zamkniętą na klucz szybą w warszawskim Peweksie. Majteczek było siedem par, na każdej wydrukowany inny kwiatek, a pod kwiatkiem, jak Karolinie wyjaśniła sprzedawczyni, wędrując palcem po szybie, była inna nazwa dnia tygodnia, po angielsku.

Karolina przypomniała sobie twarde i szorstki dotyk dolarów, a nawet to, że kasjerka zaczęła macać banknot.

- Jak ja się przeraziłam, że pieniądze są fałszywe i że pójdę do więzienia! Pomyślałam tylko: i po co mi to było.

Z drugiej strony szyby trzasnęła pieczętka i na szklanej podstawce wylądował kwit, a na nim reszta, ale już nie w dolarach, lecz w bonach dolarowych, niestety.

Karolina zakładała majteczki tylko wtedy, kiedy szła w gości, na bal, do księdza na opłatek i na wszystkie święta.

- Nic dziwnego, że Sunday sprząły się najszybciej. A tak pilnowałam, żeby się nie zniszczyły.

Ale i tak miała je kilka lat, a miałyby dłużej, gdyby brzuch jej raptownie nie urósł i uda nie spęczniały. Potem już tylko przy okazji porządków przed Wielkanocą wyjmowała Friday albo Thursday, rzucała na nie, wściekła, okiem i myślała: Taka byłam. I nie mogła uwierzyć, że była taka wąska w biodrach.

- Wszystko przez tę komunę - mruknęła.

Karolina, trzeba przyznać, komunizmu nie lubiła. Według niej nowy system kłócił się ze zdrowym rozsądkiem. Uważała, że u podstaw świata leży postęp, to znaczy, że jajka będą coraz tańsze, mieszkania coraz obszerniejsze, a łóżka coraz wygodniejsze. A tymczasem nowa władza zlikwidowała sypialnie, bo to był, podobno, burżuazyjny przeżytek. Zniknęły ze sklepów wielkie łóżka, pojawiły się za to tapczany, kozetki, amerykanki, a przede wszystkim wersalki.

- Wszystko przez tę komunę - mruknęła, zła, bo przypomniała sobie, ile lat przespała z Mateuszem na wersalce. Twardej, z głębokim przedziałkiem pośrodku. Ile razy słyszała wieczorem i rano jej skrzypienie. Składanie, rozkładanie, składanie, rozkładanie, a teraz przekręć się w prawo, a teraz w lewo, ojej, co?, nic, uważaj, bo wersalka się złoży, ojej, co?, skrzypi, dzieci obudzimy, składanie, rozkładanie, składanie, rozkładanie.

Było naprawdę wiele powodów, dla których Karolina nie lubiła komunizmu. Choćby to, że przywódcy nie mieli żon, dzieci, nie spali, nie wstawali rano, nie pili porannego kubka kawy zbożowej, nie nosili szortów, skarpetek ani koszulek z krótki-

mi rękawami, a członki też im pewnie nie stawały. Byli równie tandetni i papierowi, jak ich świat.

Co więcej, Karolina uważała, że nowa władza jest nieestetyczna, i była to z jej strony największa obelga, bo Karolina była es-tetką.

- A kiedy Chruszczow - śmiała się pogardliwie - walił butem w stół, to jego żona siedziała na krzeselku, nogi miała rozwarłe, a obie ręce złożyła na torebce. Siedziała jak jakaś chłopka, i to w towarzystwie prezydentów!

Co innego Mateusz. Mateusz władzy nie lubił, ale kochał być kochany. Szedł pierwszy w procesjach na Boże Ciało i w pochodach pierwszomajowych. Z władzy lubił kpić, ale dałby się pokroić za tego ministra, który go publicznie poklepał po plecach. Codziennie słuchał Wolnej Europy, ale gdy w „Trybunie Ludu” ukazała się o nim krótka notka, na stronie czwartej, to wyciął ją i chwalił się wszystkim znajomym.

- Fakt, nie zapisałeś się do partii. Ale w pewnej chwili miałeś na to ochotę - przypominała teraz Mateuszowi na portrecie.

Władza poznała się na jego talencie, gdy dla miejscowego teatru zbił fotel. Był prosty i wykwinny, elegancki i niecodzienny. Siadywał w nim Stańczyk, a Kordian wyobrażał sobie, że póleży tam car Mikołaj, raz nawet oparła się o poręcz Nike Napoleonidów. Zobaczył ją miejscowy kacyk partyjny i zapragnął mieć taki sam fotel, kropka w kropkę. Posłał po Mateusza. Znajomi kacyka też mieli artystycznego ducha. Płynęły zamówienia. Stoły a la Ludwiki, specjalnie postarzane, wymyślne boazerie w górskich daczach, a nawet sekretne skrytki.

Za swoją pracę Mateusz nie brał dużo. Miał za to wielkie przywileje. Co dwa lata dostawał talon na nowy samochód. Co roku - paszport na kraje europejskie, a jak raz poprosił, to i na Afrykę. Pierwszy w mieście otrzymał telefon. Od dyrektora zakładu w Kowarach dostał pozwolenie na kupno dywanu. Przyznano mu gabinet robiony na eksport, a były tylko trzy - jeden wziął minister, drugi biskup, a trzeci, aż z Poznania, przywieźli Mateuszowi pociągiem i odczepili na bocznicę cały wagon.

Przez ten gabinet i dywan Maciejka zarzuciła rodzicom, że kolaborują z władzą.

- A co ja mam robić? - pytała Karolina wojowniczo. - Siąść na progu apteki i strajkować?

- No nie, ale mogłabyś zaprotestować. Trzeba tym sukinsynom mówić „nie”.

- Jesteś niesprawiedliwa. Piszesz te swoje ulotki na maszynie, którą ojciec załatwił u dyrektora Łuczniaka. A poza tym ja już swoje zrobiłam w czasie wojny. Teraz domu pilnuję. Żebyś miała gdzie przyjść, jak się naprotestujesz. Żebyś miała tu te swoje konfitury z wiśni.

Maciejka zrobiła minę, jakby miała gdzieś konfitury z wiśni, ale na szczęście tego nie powiedziała, bo gdyby powiedziała, to Karolina chybaby rzuciła wszystko w cho-

lerę, aż by furczało. *Aniele Stróżu, jak ja mam nie kolaborować?* - żaliła się w duchu. *Przecież w tym kraju nawet jak się mleko kupuje, to się kolaboruje, a nie daj Boże gazetę albo wódkę, przecież kraj stoi na produkcji wódki. Co mogę zrobić? Wyjechać na Zachód? Kto się wtedy będzie moją mamą opiekował? Zresztą, myślisz, że oni nas tam chcą? Anglia daje wizy niechętnie i na krótko, a żeby wyjechać do USA, to prawie niemożliwe! Amen.*

- Fakt, bywałeś odważny - przyznała teraz, choć niechętnie, Karolina.

To Mateusz zabierał z księgarni polskiej w Paryżu książki Soł-żenicyna i upychał po całym samochodzie. To on stanął w obronie robotnika, którego chcieli wyrzucić z pracy za ulotki. „Kogucik” - mówiła cierpko Karolina i bała się. Strach czuła w kościołach, w samym ich szpiku.

W pawlaczu znalazła też czarną torbę ze skaju, a w niej stare papiery Mateusza - jakieś zaproszenia na wystawę jego rzeźb, wycięte z prasy informacje o wernisażach. I gruby album, do którego Mateusz powklejał fotografie swoich Józefów, Jezusów i Madonn.

Do władzy Mateusz zraził się na dobre dopiero w stanie wojennym.

Od tej pory pracował już tylko w fabryce i dla kościoła. Rzeźbił Madonny - z dzieciątkiem, bez dzieciątka, stojące, siedzące, zamyślane, dziewczęco radosne i matczyno melancholijne - oraz Jezusy - w żłobku, z krzyżem na ramieniu, upadające albo przybite do krzyża. Jednak jego najciekawsze prace to były rzeźbione krzesła i stoły.

- To przecież ja ci wymyślałam najpiękniejsze wzory - mruknęła teraz Karolina, przeglądając stare szkice Mateusza. - Choćby te dwa anioły ze stulonymi skrzydłami, które wieńczyły fotel biskupa. Ale o tym nikomu nawet się nie zająknąłeś!

Karolina wymyśliła też ostatnią jego pracę: meble do restauracji Galapagos. Oparcia krzesel - to były prawdziwe gałęzie -rozczapierały się nad głową siedzącego. Mateusz pomalował je na złoto, a siedzenia wykleił reportażami Maciejki ze świata. Na gałęziach pozawieszał liście z metalu; obijały się o siebie, wydając wysoki, czysty dźwięk.

- Tak, cholera, myślałeś tylko o sobie. Tylko: ja, ja, ja i moja sława - rzuciła w stronę portretu Mateusza, a portret rzucił do niej: Przestań robić taką minę! - bo w zamyszeniu Karolina wysunęła dolną szczękę do przodu, a Mateusz bardzo tego nie lubił, oj, bardzo.

Mateusz wdarł się już w sen wszystkich zameźnych taksówka-rek i większości urzędniczek bankowych. Około Wielkiejnocy zaatakował barmanki. Dopadł też chudą jak decha z przodu i z tyłu prokurator Martę, która całą energię kierowała na stosowanie nowych, coraz bardziej wymyślnych diet. Wszedł w sen apetycznej właścicielki sklepu dla kotów i psów. Rozpanoszył się we śnie pewnej koronczarki, a także pewnej saksofonistki. Mateusz szalał!

Nagle w mieście dziwne rzeczy zaczęły się dziać z kobietami. Widywano a to jakiegoś babochłopa, jak zatrzymuje się nagle przed wystawą sklepową i stroi zalotne miny do maślanki, a to gospodynię domową, słusznego wzrostu i tuszy, która przed ekranem telewizora nastawionego na Fashion Canal, pracowicie ćwiczy krok zawodowych modelek.

Naraz ze sklepów obuwniczych znikły wszystkie włoskie buciki, których do tej pory nikt w mieście nie kupował, bo mówiono, że śliczne, ale liche. Z pończoszniczego w jeden tydzień wykupiono rajstopy leżące tam od lat dwóch - w fantazyjne romby, w tygrysie łaty, z różą oplatającą nogę, pokryte srebrnym albo złotym pyłkiem, a zwłaszcza czarne, cieniutkie, ze złotym serduszkiem tuż nad lewą kostką. Wykupiono również wszystkie podwiązki, a także, hm, figi z dziurką.

W drogerii szły ogromne ilości kosmetyków. Kobiety, które do tej pory pozwalały sobie na jedyny zbytek w postaci zagranicznego mydełka Lux, naraz zaczęły kapać się w olejkach eukaliptusowych i kozim mleku z płatkami róż, kłaść na twarze maseczki z alg, z błota Morza Martwego lub kasztanowca, wcierać w piersi i uda kremy ujędrniające i płyn z kapsułek, dzięki któremu ich skóry młodniały od spodu, nacierać pośladki olejkami wyciśniętymi ze słodkich migdałów, nakładać na policzki kremy z pączków buku lub z bursztynu, wklepywać w nie liftingi sojowe, wargi pociągać złotymi refleksami, szyje i nadgarstki skrapiać wodą o zapachu kalifornijskiej gardenii, ylang-ylang oraz damasceńskiej róży.

Kobiety chciały teraz czuć miłość każdym kawałeczkiem ciała, więc tarły pięty fikuśnymi różowymi pumeksami, a ciała - orzechowymi pilingami. Kładły się potem do łóżka na wznak i czekały.

Jan Kanty Fijołek, właściciel podupadającej drogerii, która do niedawna dysponowała jedynie szamponem tataro-chmielowym i wodą brzozową, poszukiwaną zwłaszcza przez spragnionych osobników płci męskiej, zwierzył interes. Zaczął sprowadzać takie ilości kremów, toników, pilingów, szamponów, odżywek do włosów, pudrów, cieni, błyszczyków, mydeł twardych i w płynie, że wkrótce musiał powiększyć swój sklep. Kupił lokal podupadającego zakładu podnoszenia oczek w pończochach z jednej strony i zakładu napelniania gazem zapalniczek z drugiej, przebił ściany i otworzył pierwszy market kosmetyczny w mieście.

Taak, cały świat się zmieniał, a wraz z nim kobiety - tylko mężczyźni tego nie dostrzegali i wciąż próbowali swoich starych sztuczek. Żądali, jak zawsze, miłości raz, dwa lub trzy razy w tygodniu i ledwie ją zaczynali, zaraz kończyli, pozostawiając swoje żony w oczekiwaniu czegoś, co nie nadchodziło. Byli też tacy, którzy z zacięciem ćwiczyli obroty ciał na minutę: nogi na lampie, biodra na stole, biodra na umywalce, nogi na parapecie, po czym opadali na łóżko spoceni, ale uśmiechnięci, gdy ich żony myślały, zasypiając: „Nic nie szkodzi, przynajmniej schudłam”. Jeszcze inni, powołując się na równouprawnienie i rewolucję obyczajową, leżeli rozleniwieni w pościeli, czekając, aż to kobieta zacznie ich pieścić.

Kobiety wypijały kilka kieliszków nalewki z rajskich jabłuszek, po których pozwalały kochać się szybko i byle jak. A mężowie zanurzali się w sen z zadowoleniem, po czym w środku nocy budził ich naraz szalony śmiech żon. Siadali wtedy na łóżku i wpatrywali się zdumieni w twarze śpiących połowic. I to, co w nich dostrzegali, napełniało ich przerażeniem.

## 22

Przed Wielkanocą Karolinę znów zaczęły interesować kwestie ostateczne i była nimi tak zajęta, że nawet nie poszła do spowiedzi. Ulicę Celofanową zajmowała wtedy sprawa Henryka Skowronka. W nocy obywatel Skowronek wpadł na komendę policji z okrzykiem: - Gonią mnie! - na co policjantka wrzasnęła: -O Boże! - Pośpiesznie zabarykadowała drzwi i krzyknęła przez kratę: - Nie wpuszczę pana. Jestem sama i też się boję.

Ulica podzieliła się na dwa obozy: ci bliżej szosy uważali, że policja jest strachliwa, bo biedna, ci bliżej wiatraka - że rozpuszczona jak dziadowski bicz. Karolina, jak zwykle, była pośrodku. Zresztą, myślała właśnie o rzeczach ostatecznych, więc Bogiem a prawdą nie miała czasu zajmować się panem Skowronkiem.

Potem nadeszła Wielkanoc i zaczęła się źle, bo święta zazwyczaj źle się zaczynały. Karolina od razu się zdenerwowała, że Maciej ma pracę w szkole tylko do wakacji.

- A dalej co? - zapytała przestraszona. Przygotowywała właśnie w kuchni koszyczki wielkanocne dla

dzieci. Włożyła już pokrajane jajka, kromki chleba, kawałki kiełbasy, Maciejka robiła baranka z masła, Ewa zmywała, Maciej grzebał w lodówce.

- Co dalej? - powtórzył pytanie matki, uśmiechnął się i zażartował: - Na zieloną trawkę i gandzię popalać cały dzień.

- Gandzię?

- No, marihuanę. Już dobrze, mam, nie denerwuj się, szukam pracy, przeglądam ogłoszenia, ale do tej pory nie znalazłem nic, co by mnie zainteresowało.

Nie wyglądał na zmartwionego. Co więcej, Karolina zauważyła, że oboje mają nowe ubrania - Maciej elegancką marynarkę w kratę, pod którą założył czarną koszulkę, Ewa - białą bluzkę z dużym kołnierzem i kolorową spódnicę z falbaną.

- W Krakowie trudno o pracę - wtrąciła Ewa tym swoim głosem przez nos. - Pracodawcy wolą zatrudniać młodych, na zlecenia, żeby podatków nie płacić.

*Aniele Strózu, gdybym ja miała dwójkę dzieci i była głową rodziny, to poszłabym nawet ulice sprzątać. A nie tak, żeby się siąść, ręce założyć i czekać, aż manna sama spadnie z nieba, nawet jeśli to kuroniówka.*

Przyszło jej na myśl, że Maciej może liczy na teściową, że go będzie utrzymywać, przecież jest kamieniczniczką. *Pewnie chętnie by się dorwał do administrowania, ale teściowa go nie dopuszcza. I ma rację, Aniele Strózu, bo wszystko by przeputał. Na książki by przeputał, przeszastał. W kogo on się wdał? Nie to, co Mateusz. Jaki on był pracowity! Tylko siedział w piwnicy i drzewo rznął.*

W pierwszy dzień świąt, po śniadaniu, rozmawiali o wielkim trzęsieniu ziemi w Indiach. Dzieci pobiegły do ogrodu szukać czekoladowych zajaczków, Maciejka rozkładała talerze do obiadu, Maciej łupał orzechy, a Ewa stała w oknie i dyskretnie pokazywała Muszelce, w którą stronę ma biec.

- Jakie to dziwne - mówili - uratowali staruszkę, a tyle dzieci poszło na marne...

- Czterdzieści tysięcy ludzi zginęło, czterdzieści tysięcy - powtarzała Karolina i starała się przypomnieć sobie wszystkich, których na tym świecie zna, ale nie dobiła nawet do tysiąca, choć liczyła nawet polityków i aktorów.

Mówili też, że w Holandii mogą się żenić homoseksualiści i że śmiertelnie chorzy mogą tam prosić o śmierć. Maciejka była za, a Karolina w duchu przeraziła się. *Aniele Strózu, chyba nie każą mi się kiedyś usunąć z życia po cichutku? Ale zaraz przestraszyła się choroby. Ja nie wiem, ja sama nie wiem, ale jakby mnie miało bardzo boleć, albo jakbym miała być roślinką, to lepiej szybko to załatwić, myk, myk. Na wszelki wypadek mam w szufladzie całą fiolkę środków usypiających. Ale chciałabym, żeby On to za mnie załatwił. Amen.*

Potem było dużo zamieszania, bo Muszelka się rozryczała. Znalazła w krzakach torebkę ze smakołykami, ale czekoladowe króliki miały objedzone głowy.

Ewa wzruszyła ramionami.

- Muszelka sama je zjadła, jeszcze wczoraj znalazła je w kuchni.

Żeby jakoś małą uspokoić, Karolina pokazała jej aniołka od Andrzeja. Potrząsnęła nim i aniołek zadzwonił. Muszelka stanęła z otwartymi ustami, obejrzała aniołka, zadzwoniła i zapytała, czy dziadzius teraz wygląda tak samo. Maciej chrząknął.

- Nie wiem, kochanie - powiedziała Ewa. - Obawiam się, że nie. Myślę, że wygląda tak, jak go zapamiętałaś, wtedy, kiedy ci naprawił samolot. Pamiętasz?

Ale Muszelka marudziła dalej:

- A jest bardziej podobny do Pana Boga czy do Jezusa?

- Mówię ci przecież, że jest podobny do siebie.

- Bóg nie jest starcem z brodą - rzuciła wtedy Maciejka ni stąd, ni zowąd.

- Co ty powiesz? - zdziwiła się Karolina.

- Muszelko, dziadzius nie może być podobny do Boga, bo Bóg nie ma twarzy. To my sobie wyobrażamy, że to taki brodaty facet rasy białej - powiedziała Maciejka. - Wiecie, czemu Afroamerykanie przechodzą na islam? Mówią: wasz, chrześcijański Bóg, jest biały, a w islamie nie ma wizerunku. Bóg jest niepoznawalny, więc ani twarzy nie ma, ani płci.

- Właściwie słusznie - zadumała się na głos Karolina, tak pro forma, bo co się będzie nad cudzym Bogiem zastanawiać, kiedy ma dość kłopotów z własnym. Nawet jeśli była zdania - a mówiła to z transcendentnym westchnieniem - że Bóg jest jeden i dla muzułmanów, i dla żydów, i dla chrześcijan.

Karolina do Boga miała stosunek racjonalny - jeśli jej przodkowie w Niego wierzyli z dziada pradziada, to ona nie będzie sobie łamać głowy nad Jego istnieniem.

Poza tym uważała, że ma u Niego kredyt po tym wszystkim, co przeżyła w czasie wojny. Z niejakim zaciekawieniem obserwowała, jak się z tego wywiązuje. Wydawało się, że nieźle. Mąż był pracowity, miała dom, samochód, lodówkę, pralkę, odkurzacz, telewizor, radio, prożniarkę, opiekacz do grzanek, robota wieloczynnościowego, żelazko, które się samo wyłączało, szybkowar, lokówkę elektryczną, suszarkę do włosów, miała futro z piżmaków - zimy były ciężkie - kupione na Chmielnej w 1957 roku za dwadzieścia cztery tysiące złotych. Jeździła do Włoch i do sanatorium w Bułgarii. Cóż jednak z tego, kiedy mąż był niewierny?

W Boga wierzyła, można by rzec, z dystansem. Co innego jej mama!

U schyłku życia mama Karoliny - tęga kobieta sterana przez życie - czytała jedną książkę, „Quo vadis”. Zaczynała ją od początku natychmiast po tym, jak przeczytała ostatnie zdanie. W ogóle była bardzo religijna, codziennie odmawiała różaniec i całe życie modliła się gorliwie do Matki Boskiej Częstochowskiej. Wyobrażała ją sobie pewnie jako rumianą dziewczynę, która chętnie parska śmiechem i łatwo wybucha

łzami. Gdy pewnego dnia matkę Karoliny złapał prąd, to Matka Boska stanęła na środku pokoju i poradziła jej: „Wyciągnij sznur z kontaktu”, z czego można było wysnuć wniosek, że Maria była nie tylko wesoła, ale i praktyczna. O Bogu matka Karoliny nigdy nie mówiła.

Mateusz za to wyobrażał Go sobie jako dobrotliwego starca, który kręci głową, mówiąc: „Oj, nabroileś, Mateuszu, nabroileś”, ale w końcu przytula go do siebie ze słowami: „Ale i nacierpiałeś się w życiu”. I, oczywiście, przebacza mu wszystkie winy, bo każdemu, na kogo Mateusz spojrzał swoimi migdałowymi oczami, miękło serce.

Karoliny ani Maria nie ratowała, ani Bóg nie obejmował. Oboje byli milczący, ponurzy, jacyś skwaszeni i okropnie wymagający. Matka Boska wyglądała pięknie - ubrana była w królewską suknię Violetty Villas, z koronką i na potrójnej halce, piersi miała wysoko postawione, talię szczupłą. Ale była chmurna i niedostępna.

Karolina odmawiała modlitwy szybko i spowiadała się pobieżnie. Wierzyła w Boga, ale uważała, że Jezus był człowiekiem z krwi i kości. Trójcy Świętej nie rozumiała. Piekła wolała sobie nie wyobrażać, niebo wydawało jej się miejscem nieco infantylnym. Przyjaźniła się tylko z Aniołem Stróżem. Był to taki chudy luzak w zbyt obszernym garniturze, króciutko obcięty, podobny trochę do tego czarnego piłkarza, który grał w polskiej reprezentacji. Z tym że miał białą skórę, bo Karolinie trudno było wyobrazić sobie czarnego Anioła Stróża, mimo że Maciejka mówiła, że to tylko kwestia treningu. Słowem - jej Anioł Stróż był młodzieńcem, który mówił, szczerząc zęby w uśmiechu: „OK, się robi, już skaczę”.

Karolina wierzyła w postęp, więc i jej Bóg mu ulegał. Z biegiem lat coraz mniej był tym karzącym gromowładcą, przypominającym Zeusa na malowidle, które oglądała w Grecji; z wiekiem i on okrzepł, złagodniał, rysy twarzy mu się rozmyły. Teraz wolała go sobie wyobrażać jako starszego pana z poczuciem humoru, takiego drugiego papieża, załóżmy.

- Bóg jest niepoznawalny, tak mówią muzułmanie - powtórzyła Maciejka, a Karolina przestraszyła się nie na żarty:

- Maciejko, ale ty chyba nie przeszedłeś na islam?

- Ona? - roześmiał się Maciej. - Ona jest wątpiącą agnostyczką.

- Mój Bóg to trochę Allah, trochę Bóg chrześcijan, trochę żydów... Mój Bóg jest *cool*... - wytłumaczyła Maciejka. - A czasem w ogóle go nie ma.

- A może Bóg jest czarny? Albo żółty? Może ma skośne oczy? - wtrącił się zachwycony Staś. - Może jest kobietą?

- Tak, kobietą... - przerwał mu Maciej i tonem nieznoszącym sprzeciwu rzekł: - Boga nie ma. Tak jak przeżycie seksualne łatwo wywołać, drażniąc odpowiedni ośro-



dek w mózgu, tak samo jest z przeżyciem religijnym: to tylko funkcja mózgu. Boga stworzyli sobie ludzie, żeby manipulować społecznościami. W imię Boga podbijali Bliski Wschód, w imię Boga teraz talibowie wieszają ludzi na placach publicznych. W rzeczywistości idzie im o władzę, o nic innego. Zobacz, ile jest nienawiści w Koranie...

- W Biblii też... - zaznaczyła Maciejka. - Wiecie, ilu ludzi kazał Mojżesz wyciąć, żeby wprowadzić dekalog z przykazaniem „Nie zabijaj”? Trzy tysiące! W pień!

Karolina chciała im przerwać, ale Maciejka akurat była w tym swoim prowokacyjnym nastroju i nie dawała za wygraną:

- Każda religia może być mściwa lub miłosierna - ciągnęła. - Co do mnie, to lubię sobie robić koktajl z różnych religii. Myślę, że coraz więcej ludzi będzie tak postępować. Rzymianie na przykład przejmowali bogów cudzoziemskich, nie marudzili.

- To chyba było dawno temu - trzeźwo zauważyła Karolina.

- Dziś to samo robią Japończycy. Świętują urodziny dziecka zgodnie z buddyzmem, ślub - po katolicku, pogrzeb - w tradycji shinto. Czemu nie?

Karolina machnęła ręką. Była zmęczona. Czy ona musi myśleć o wszystkim? Czy musi mieć na wszystko własne zdanie?

- To prawda, Rzymianie przejęli cudzych bogów i Rzym wkrótce upadł - zauważyła Ewa, która odzywała się rzadko i nieco wyniośle. - To, o czym ty mówisz, Maciejka, to rodzaj duchowego supermarketu, właśnie przez to upadnie nasza cywilizacja.

- To tylko wolność wyboru. - Maciejka wzruszyła ramionami. - Nie denerwujcie was ten autorytarny starzec, który lepiej od was wie, czego potrzebujecie? Uwolnijcie Boga z narzuconych przez ludzi schematów! Sprywatyzujcie Pana Boga!

- A ja, Maciejko, uważam, że naszym Bogiem jest Bóg chrześcijan i powinniśmy się tego trzymać - wtrąciła się Ewa. - To wcale nie znaczy, że jest lepszy czy gorszy od innych. Po prostu jesteśmy z jego drużyny. To jak stare rodowe zamczysko: może się i rozsypuje, ale warto w nie inwestować, bo jednoczy wszystkich. Mówię: rodzic dzieci i chwalić chrześcijańskiego Boga, tylko to nas może uchronić przed upadkiem.

Znudzona Muszelka zaczęła kręcić się na środku pokoju, wpatrzona w lampę na suficie, i powtarzać jak mantrę: - Koniec świata, koniec świata - aż wszystkim zrobiło się nieswojo. Tylko Staś zapytał ją chytrze:

- Muszelka, a co jest na końcu świata?

Zatrzymała się, spojrzała mu prosto w oczy i wyrzuciła z siebie:

- Meta.

Roześmieli się z ulgą.

- A pamiętacie, czym dziadek oblewał wszystkich w lany poniedziałek? - zapytała ni z tego, ni z owego Karolina.

- Mamo, już trzeci raz nas o to pytasz - zauważyła Maciejka, ale przerwał jej chór głosów:

- Per-fu-ma-mi!

Wieczorem, kiedy wszyscy szli spać, Karolina zaciągnęła Maciejkę do kuchni, zamknęła drzwi i szepnęła:

- Będiesz miała braciszka. Albo siostrzyczkę.

- Co ty, mamo! - Maciejka przestraszyła się nie na żarty.

- Ojciec zrobił dziecko córce cukiernika.

- Skąd wiesz?

- Mam dowody.

- Jakie?

Tak naprawdę Karolina miała tylko jeden dowód: córka cukiernika, dwudziesto-pięcioletnia Anetka, uczyła się na tancerkę.

- Jakie masz dowody? - powtórzyła Maciejka.

- Później ci powiem. Zresztą całe miasto o tym mówi.

- To znaczy kto?

- Pani Gwizdalanka.

- Ta przekupa? I ty jej wierzysz?!

Karolina zrobiła obrażoną minę i rzekła:

- Jeszcze zobaczysz.

## 23

Gdy miasteczko znów skuł mróz, Mateusz odwiedził we śnie Aurorę Szufladkiewicz, bibliotekarkę z biblioteki dla dzieci. Nic w tym dziwnego, bo odwiedzało ją wielu, bardzo wielu mężczyzn.

Aurora była niska, dość pulchna, miała wspaniałe czarne włosy o odcieniu kasztanowym, które sięgały połowy pośladków, i wyjątkowo szpetną twarz. Biło od niej coś takiego, że w jej obecności mężczyznom zaczynały trząść się łydki. Nosila przy tym spódniczki, które kończyły się tuż pod pośladkami, a na pośladkach zwykle nie nosila majtek.

Jej mąż, niestety, nie dość przykładał się do kochania. Zdarzało się nieraz, że raniem kochał ją szybko, byle jak, wychodził z domu, a ona, niedopieszczona, niedokochana, sięgała po telefon, wystukiwała numer któregoś ze swoich kochanków i prosiła: „Przyjdź”.

Wchodził do jeszcze dymiącej od miłości pościeli.

A jej wciąż było mało. Idąc do pracy, specjalnie nakładała drogi, żeby przejść obok technikum samochodowego w porze, gdy młodzież, w większości męska, wylęgała na dużą przerwę. W bibliotece dla dzieci widziano potem uczniów klasy maturalnej. Zapisywali się gromadnie, ale wychodzili bez książek pod pachą.

Aurorę rozpierało, targało, wlokło, unosiło i rzucało w ramiona mężczyzny, którego natychmiast oplatała swoim ciałem i było jej w zasadzie obojętne, co to za mężczyzna.

Potem bardzo się tego wstydziła. Chodziła ulicami smutna, niezaspokojona i sama z sobą nie umiała zrobić porządku.

Czasami, przerażona własnym pożądaniem, kochała się co dzień z innym, z dwoma naraz, mając nadzieję, że nakocha się na zapas i już będzie dobrą żoną.

Ale nigdy jej miłości nie starczało.

Gdy któregoś dnia mąż zaszedł do biblioteki, zamkniętej na czas remontu, i zobaczył swoją żonę, gołą, na rusztowaniu, na którym siedzieli, też goli, malarze, odwrócił się na pięcie i Aurora tyle go widziała.

I oto zjawił się Mateusz. Ciało miał mizerne, jak Woody Allen, był zalękniony i nieśmiały.

Stanął nad łóżkiem i westchnął. A łóżko było wygodne, japońskie, blisko ziemi, a tak szerokie, że można było leżeć i wszerz, i wzdłuż. Na łóżku wałała się skołtuniona kołdra w białej powłoczce, haftowanej różowym kordonkiem, a po powłoczce widać było, że była gnieciona, rolowana, szarpana, wywlekana, naciągana, zraszana, kąsana, a nawet - tu i ówdzie - rozdzierana. Spod kołdry wystawało prześcieradło. Z wielości i wielkości plam, a także z ich gęstości łatwo można było się domyślić, ilu grzechów to prześcieradło było niewinnym świadkiem.

Na tym łóżku leżała Aurora, słodko rozespana, półsenna i półnaga. Spod półprzykniętych oczu patrzyła na Mateusza - udawał, że jej nie widzi! - i koniuszkiem języka zwilżała sobie górną wargę. A od jej odsłoniętego uda, od jej piersi przykrytych tylko włosami, które spadały aż do pępka, taki bił żar.

Mateusz rozejrzał się wkoło lękliwie. Wyciągnęła do niego rękę, rzuciła na łóżko, rozebrała, całowała, ośmielała. A Mateusz tak się rumienił! I był taki niezgrabny!

Zaraz po Wielkiejnocy Karolina postanowiła porzucić ten zbędny, zwłaszcza w jej wieku, obyczaj, niepotrzebny, nużący, który w dodatku był gwałtem na jej osobowości, i przestała jeść śniadania. Po co ma jeść, kiedy nie jest głodna! Czy ktoś ją do tego zmusza?

Natychmiast, z niewiadomych przyczyn, poczuła się winna i siadła na kuchennym stołeczku, nie wiedzieć czemu cichutko.

Od razu po kuchni zaczął panoszyć się Mateusz. Głośno nalewał sobie dymiące mleko do kubka, hałaśliwie mieszał łyżeczką, szastał zapalkami, szurał stołkiem, brzęczał talerzami. Siorbał, chlupał. Pewnie był wściekły, że Karolina wyłamuje się z harmonogramu dnia.

A ona nagle poczuła się wolna i taka szczęśliwa.

Dwa tygodnie po świętach znów zabrała się za porządki. Zniosła wszystkie rzeczy Mateusza do garażu i ustawiła je w paczkach pod ścianami. Uważnie przejrzała zapasy w spiżarni. Stały tam wielkie kamienne garnki z kielbasą zatopioną w smalcu. Stały słoiki z miodem, galaretki, konfitury, soki.

Minęły czasy, kiedy Karolina płakała nad rybą z wyłupiastymi oczami. Mateusz sprowadzał do domu dużo gości. Miał przyjaciół nawet w Paryżu i w Moskwie, a pewna niemiecka śpiewaczka operowa specjalnie dla niego śpiewała arie. Karolina nauczyła się robić i przepiórki, i kaczkę w jabłkach. Mięsa kupowała na targu, a uważała, żeby były soczyste. Nawet gdy w sklepach były pustki, umiała urządzić przyjęcie. Robiła pyszne pasztety z zająca. A jakie tarty! A konfitury z płatków róż! Nie mówiąc o babeczkach, piernikach, jagodziankach, pączkach z lukrem i całej masie tych niewielkich kruchych ciasteczek, które sprawiały, że życie stawało się bardziej radosne.

Sprawdzała teraz słoiki w spiżarni, czy dobrze zamknięte, czy na powierzchni nie zbiera się pleśń. Słoików było pewnie ponad sto.

- Dla ciebie robiłam - rzuciła w stronę schodów, tam, gdzie wisiał portret tancerza hiszpańskiego z głową Mateusza. - Z kim ja to teraz będę jeść?

Nie chciało się jej gotować. Po śmierci męża odkryła w sklepach dania szybkie i poręczne, te wszystkie zupki chińskie, które można przyrządzić w dwie minuty, te mrożone pierogi ruskie, paluszki rybne, już gotowe śledzie w zalewie śmietanowej.

W kwietniu rzuciła wszystko na jedną szalę i sprawiła sobie mikrofalówkę.

- Jak umierać, to z trzaskiem! - mruczała, wyjmując zaskórniaki odłożone na czarną godzinę, by dać je Maciejowi, który jechał do miasta po zakupy. Teraz życie

się odmieni - myślała. Nie będzie już gotować, smażyć, ważyć, bzdarczyć - och, znudziło ją to wszystko do szczętu!

Kiedy jednak, zgodnie z instrukcją, przyrządziła kotlety schabowe, stwierdziła, że jedzenie z mikrofalówki ma smak niesmaczny. Mateusz pewnie spróbowałby, potem złożyłby serwetkę na kolanach, cicho wsunąłby ją pod talerz, cicho by wstał, cicho podsunął krzesło, cicho powiedziałby: „Nie będę jadł”, i cicho wyszedłby z kuchni. , Kiedy tak pomyślała, od razu się na Mateusza rozzłościła. -

Po spiżarni Karolina zabrała się za porządkowanie garażu i natychmiast natrafiła na wciśniętą za butle z olejami samochodowymi dużą szarą kopertę przewiązaną sznurkiem. Zaniósła ją do salonu, przecięła sznurek nożem. Na stół i na podłogę wysypał się plik fotografii. Mateusz, w kąpielówkach, obejmował nieznaną Karolinie kobietę w stroju kąpielowym. Kobieta zatknęła okulary przeciwsłoneczne we włosy, dzięki czemu wyglądała nonszalancko i inteligentnie. Na jednym zdjęciu leżeli na plaży i kolana mieli ze sobą czule zetknięte. Na drugim Mateusz obejmował ją od tyłu i prawą dłoń wkładał do lewej miseczki jej biustonosza, a oboje się śmiali. Ale najbardziej wstrząsnęło Karoliną tło: był tam hotel i napis „Jurata”.

Odwróciła się do portretu Mateusza.

- Przecież pojechałeś do Juraty, żeby wziąć kąpiele, bicze, żeby odświeżyć się i odmłodzić! Mówiłeś: „Oj, nie mam ochoty, strasznie nie mam ochoty”. Jak mogłeś?! - wyszeptwała, a jej twarz była kwaśna od nienawiści.

Znów zalała ją fala wspomnień, znów targała nią złość. Przypomniała sobie, jak tamtego lata, gdy pojechał do Juraty, zepsuł się mu samochód. „Stanął mi na skrzyżowaniu, kiedy wracałem do domu” - opowiadał Mateusz z miną męczennika, a jego migdałowe oczy robiły się coraz bardziej niewinne. Tylko że jak się o tym naocznie przekonała, samochód utknął zwrócony tyłem do domu, TYŁEM!

- Kłamałeś - ciskała się teraz. - Bez przerwy kłamałeś. Czemu nie powiedziałeś po prostu, że samochód stanął ci na skrzyżowaniu? Ale nie. To nie w twoim stylu. Ty musiałeś skłamać. Kłamstwo płynęło w twoich żyłach. Wypełniało twoje płuca. Wdychałeś powietrze, a wydychałeś kłamstwo. Czemu? No powiedz, czemu?

Widocznie Mateusz miał jakiś tajemniczy powód, by nie powiedzieć, że nie wracał do domu. Świadczyły o tym zrolowane damskie majteczki, które Karolina znalazła pod siedzeniem pasażera. Nie były to jej majteczki.

Te majteczki zepsuły teraz Karolinie pół dnia. Nieważne, że znalazła je ćwierć wieku wcześniej.

- Och, jaka byłam naiwna, gdy za ciebie wychodziłam - wzdychała. Znajomi mówili czasem przy niej, choć niby tylko do okna: „Mężczyźni oczu nie mogli ode-

rwać od Zuzanny. Zwłaszcza Mateusz". Albo: „Mateusz wyszedł o siódmej. Zaraz po nim żona kuśnierza". Karolina nie słyszała tych słów. One były tylko wypowiedziane, ale nie usłyszane. Karolina broniła się przed prawdą, bo nie chciała, żeby była prawdziwa.

Potem prawdę łapała już w lot. Więcej - sama wymyślała różne historie i wierzyła w nie, jakby się rzeczywiście zdarzyły. Siadała na kanapie, pod lampą, w pokoju gościnnym i bujała w obłokach. Nikt by nie podejrzewał, jakie zażarte kłótnie wtedy toczy, jakie straszne walki rozgrywa. Że zakrada się do jakichś pokoi hotelowych, ściąga kołdrę ze splątanych ciał (a poszewka zawsze była satynowa) i widzi, jak tamci, przerażeni, wiją się na satynowym prześcieradle, jak jakieś dżdżownice, jak robaki! Karolina po prostu w głowie snuła całe wirtualne światy, choć na pierwszy rzut oka wyglądało, że tak sobie siedzi pod lampą w stołowym, pije herbatkę i odpoczywa. Tył że często wstawała z fotela jeszcze bardziej zmęczona i bolały ją wszystkie mięśnie, jakby właśnie przebiegła kawał drogi.

- Widziałas tę widokówkę, którą przysłała Mateuszowi nauczycielka rysunków. Na pewno jego kochanica! - mówiła córce.

- Wymyślasz, mamo - uspokajała Maciejka, na co Karolina tylko kiwała głową i mówiła tonem apodyktycznym:

- Ja tam swoje wiem. Nieraz się w życiu nacięłam.

W takich momentach nieodwołalnie przypominała sobie włos, ten włos.

Karolina miała wówczas czarne włosy, krótkie, zgrabnie podcięte, była wąska w talii i miała pieprzyk à la Elizabeth Taylor. Była śliczna. A włos był jasny i długi. Zdjęła go z marynarki Mateusza, zaśmiała się: „O, włos twojej kochanki!", i zalotnie pocałowała męża w policzek. Potem nastawiła czajnik na kawę, bo Mateusz przywiózł z Warszawy prawdziwą i jeszcze zmełł w sklepie. Pili ją, gorącą, pachnącą - Karolina jak zawsze małymi łyčzkami, Mateusz łąpczywie - i oglądali dziennik; akurat nadeszła wiadomość, że umarła Edith Piaf, i razem jej żalowali.

Następnego dnia do Karoliny przybiegła pani Podkolanko i wszystko opowiedziała. Pojechała do Warszawy, weszła do delikatesów i zobaczyła Mateusza; przy elektrycznym młynku do kawy stoi i miele - jedną ręką trzyma wieczko, żeby nie odskoczyło, a drugą głaszcze właścicielkę wypożyczalni sukien ślubnych i zastawy stołowej Anastazję Pudełko - po łokciu, jednym palcem, niby-niby - i bawi się kosmykiem jej włosów, a włosy miała długie i jasne. Na jej, pani Podkolanko, widok odskoczyli od siebie. Mateusz poszedł w stronę trufli w czekoladzie, Anastazja - po torty na wagę. Ale chwilę potem wyszli na ulicę. Szli chodnikiem niby bez siebie, obojętnie, jakby w ogóle się nie znali. Ale coraz bardziej się zbliżali, ciała parły ku sobie, aż dotknęły się ramiona i łokcie, a ich palce się splotły.

- Jak mogłeś?! - krzyczała Karolina, stojąc na szczycie schodów w swojej nocnej koszuli.

- Ja? - zapytał Mateusz, a jego oczy zrobiły się jeszcze bardziej migdałowe. - Ja tylko kawę mełłem.

Karolina zaklęła brzydko, chwyciła, co miała pod ręką, a miała akurat wielką kryształową popielniczkę, i rzuciła w Mateusza. Popielniczka przeleciała ponad schodami, o włos minęła głowę Mateusza, który się uchylił, i trafiła w lampę. Zaiskrzyło, światło zgasło, a Karolina wróciła do łóżka i się rozplakała.

Z wściekłości nazajutrz pojechała do Warszawy i - w Pewe-ksie, za dolary! - kupiła młynek elektryczny. Kiedy mełła w nim kawę i ziarna grzechotały w środku, a mechanizm wył, ona wciąż widziała, jak Mateusz splata swoje palce z palcami Anastazji.

Karolina nie wiedzieć czemu naiwnie i romantycznie myślała, że miłość trwa do grobowej deski. W głębi duszy zresztą uważała, że Mateusz jest jej własnością - do niej należy jego noga, głowa, jego myśli, jego przeszłość, jego przyszłość, wszystkie jego pieniądze i całe, całe jego życie. Ale wydawało się, że Mateusz o tym nie wie i bez przerwy robi jej na przekór.

- Wierność to rzecz niezgodna z naturą - mruzczał pod nosem Maciej. - Czy wiesz, że zaledwie trzy procent ssaków łączy się na dłużej z jednym partnerem? Wierne są piżmoszczury, nietoperze, bobry, koziołki skalne, fok, dzikie psy, a także krokodyl, ropucha, kornik, karaluch, chrząszcz i krewetka. Mamo, chcesz, żeby ojciec był wierny jak krewetka? Pomyśl tylko! To absurd!

- Psychologia mówi, że jeśli mężczyzna zdradza kobietę, to z nią jest coś nie w porządku i że we dwoje powinni poważnie popracować nad swoimi relacjami - mówiła Ewa, jak zwykle zimna, oschła i złośliwa. - Nawiasem mówiąc, zawsze odnosiłam wrażenie, że masz problemy z wyrażaniem własnych emocji, mamo.

*Aniele Stróżu, czy to moja wina? Co ja mu zrobiłam? Całe życie mu poświęciłam, ot co.*

- Nie słuchaj, co mówi Ewa - pocieszała ją Maciejka. - Ona jest asertywna aż do bólu i w dodatku nafaszerowana teoriami psychologicznymi. Po prostu są tacy mężczyźni, którzy zdradzali swoje żony, zdradzają i będą zdradzać. Skąd wiem? Bo jestem podobna do ojca. Nie mam pojęcia, czy to sprawka genów, hormonów czy czego innego. Powinnaś albo nauczyć się z tym żyć, albo odejść od niego. Ja mam prostą zasadę: jeśli mężczyzna mnie zdradza, to rozumiem, że ja go też mogę zdradzić. I robię to! Najgorsze to się przejmować. Zwłaszcza teraz, kiedy ojciec i tak już nie żyje.

Dlaczego Karolina nie odeszła od Mateusza? *Przecież dawałam słowo, że go nie opuszczę. Przysięgałam! I co, szłabym do miasta, a tam ludzie by mówili: O, to ta, któ-*

*ra* Mateusz rzucił dla Anastazji Pudelko, co to ma wypożyczalnię sukien ślubnych? Aniele Strózu, ja bym chyba tego nie zniosła.

W gruncie rzeczy Karolina nie wyobrażała sobie życia bez Mateusza. Gdyby tylko on ją kochać chciał. Ale nie, on ją do końca zdradzał, do samiutkiego końca. Już mu kości trzeszczały, a jeszcze się rwał do kochania cudzych żon. A na samym końcu podrywał głupiutkie dziewczyny.

Jeszcze raz popatrzyła na zdjęcie, na którym jej mąż tulił kasztanowłosą i nawet wtykał jej dłoń do lewej miseczki. Zdjęcie lekko drżało, bo ręka jej się trzęsła. Czowała, jak po policzku płynie jej łza.

A gdyby w ogóle za niego nie wyszła?

Miała przecież swoich wielbicieli, nawet długo po ślubie! Doktor Cezary Niedobyłski, lekarz bez nogi, co najmniej raz w miesiącu przysyłał jej sękacz od Bliklego. W niedzielny poranek odzywał się dzwonek do drzwi, otwierała je zaspana, a pan Leszek, kierowca lekarza, wręczał jej pięknie okręcony kolorowym sznureczkiem paku- nek i szeptał: „Prosto z Warszawy”.

Za to Rysio Szczupaczekiewicz chętnie łapał ją za kolano. A jej pierwszy adorator - sekretarz ojca - chciał się z nią żenić, gdy miała szesnaście lat. No i był André Richard, osiemnastoletni Francuz, chłopak z Rennes. W fabryce zbrojeniowej w Berlinie, dokąd Karolina została wywieziona z matką zaraz po powstaniu warszawskim, André ciągnął wózek na metalowe odpadki. Chodzili razem na piwo. On brał jasne, ona ciemne, buzia jej się od tego piwa zaokrągliła. André podarował jej krzyżyk: metalowy, solidny, miał go od wuja, księdza z katedry Notre Dame. Nosiła go przez całe studia, a kiedy wyszła za mąż, krzyżyk wpadł do jeziora i zatonął. André śpiewał jej: *J'attendrai le jour et la nuit j'attendrai toujours ton retour*. Karolina, która po francusku znała tylko dwa zwroty - *bonjour madame* i *merci mademoiselle* - umiała tę piosenkę na pamięć. Poprawiła się teraz na krześle, zabębniła palcami po stole i zanuciła: *J'attendrai car l'oiseau qui s'enfui...*

Może gdyby nie wyszła za Mateusza, odnalazłaby André? Odnaleźć André! Zachichotała. Jakie to byłoby przewrotne!

Tamtego popołudnia widziała go po raz ostatni. Nie mogła mu powiedzieć, że ucieka z mamą z fabryki. Chciała mu jednak dać jakiś znak. Poprosiła o zapalki. Potrząsnęła pudełkiem, zapalki zaszemrały w środku, Karolina spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała znacząco: „Oddam ci je po wojnie”.

Gdyby więc odnalazła André?



W środę, gdzieś na początku kwietnia, zaraz po tym, jak aresztowano Miloszevicia, nagle spadł śnieg. Tego dnia niebo było niebieskie, a śnieg biały, czyli świat był dokładnie taki, jak należy. Karolina po południu obejrzała „Rafaellę”, potem, z rozpędu, teleturniej. Siadła przed telewizorem i na głos odpowiadała na pytania. Nawet się ucieszyła, że Mateusz nie stanie w drzwiach i nie będzie marudził: „Jakieś głupstwa znowu oglądasz...”.

- Czy „Zemstę” napisał Mickiewicz? - zapytał pan w lśniącym rybią łuską garniturze.

- Neeee - odpowiedziała Karolina.

- Norwid?

- Neeee - zatrzęsła się z oburzenia.

- Fredro?

- Tak! - chciała krzyknąć z satysfakcją, ale naraz się zastanowiła: „Zaraz, zaraz, jakie było pytanie?”.

Zdjął ją zimny strach, sama dobrze nie wiedziała czemu. W łóżku, zupełnie bez powodu, otworzyła książkę Maciejki o intrygującym tytule „Podręcznik survivalu”, co kojarzyło jej się z valium, i przeczytała o patroszeniu zwierząt i ściąganiu z nich skóry. W domu zajmował się tym Mateusz. Przywiązywał zająca za tylne nogi do klamki kuchennych drzwi, nacinał go w kilku miejscach ostrym nożem i ściągał z niego futerko, jak ściąga się puchową kurtkę po przyjeździe do domu w mroźny dzień. Za to kurrom to ona obcinała głowy. Kładła głowę ptaka na pieńku, z całej siły zamierzała się tasakiem. Głowa odskakiwała, korpus rzucał się jeszcze między udami Karoliny, nóżki wyprężyły się, pazury darły powietrze, a do blaszanej miednicy ściekała krew, ciemna, aż prawie czarna. Tyle kur i kogutów oddało ducha między jej udami!

Karolina przeczytała też z zainteresowaniem, jakie są objawy ukąszenia przez węża morskiego. Że jeśli ukąsi brzuchonóg, wtedy następują: obrzęk, ból, zdrętwienie, paraliż mięśni i śmierć. Że nie wolno dotykać człowieka, który zmarł na wściekliznę. Że nie należy jeść ryb o pyszczku podobnym do papuziego dzioba. Że gdy nie ma nic innego do picia, można wyssać oczy ryb. Potem oburzyła się sama na siebie: właściwie po co takie rzeczy czyta?

Późnym wieczorem, leżąc w łóżku, włączyła radio. Akurat leciały „Nocne pogaduchy”, tym razem o umieraniu. Dzwoniły starsze panie, opowiadały, jak ćwierć wieku wcześniej umierały ich matki, a one nie mogły w sobie znaleźć żalu, i jak ciężko z tym żyć. Zadzwoiła dziewczyna, której przyjaciel popełnił samobójstwo z ciekawości, a miał dopiero dwadzieścia pięć lat.

Karolina z wrażenia aż poprawiła się pod kołdrą: Boże, taki młody, jak on mógł, ja bym takiego syna chyba udusiła własnymi rękami - pomyślała, choć rozsądek jej podpowiadał, że nie mogłaby udusić syna, który i tak byłby martwy.

Zadzwoił mężczyzna z powodu wyrzutów sumienia. Nie było go, gdy matka miała krwotok. Siedemnastoletni wnuk zawiózł ją do szpitala. Tam jej nie przyjęli, bo powiedzieli, że na nowotwór to oni nic nie poradzą. „Ja bym zapłacił draniowi, byleby ją wziął na oddział” - mówił, a Karolina przypomniała sobie, jak jej matka umierała w szpitalu na nerki - podszedł lekarz, skrzywił się i cierpko rzekł: „Już nic z niej nie będzie”.

Dzwonili inni.

„Byłyśmy same. Mężczyźni uciekali z domu. Robiłam jej zastrzyki z morfiną”.

„Lekarz powiedział, że ma przed sobą półtora roku życia. Potem zapytał, czy potrafię wejść na salę i się do niej uśmiechać. Od tamtej pory nie uroniłam łzy”.

„Mój ojciec strasznie mnie bił. Nic mnie nie obchodziło, że umierał”.

„A tuż przed śmiercią mówiła, że widzi jasność, mówiła: już się zbliżacie, znajomi i nieznajomi. Widzę ją, jak się uśmiecha. Siedzi i się uśmiecha, i mówi, że tam jest lepiej. Nawet teraz się uśmiecha, że do pani dzwonię”.

Potem zatelefonowała dość młoda, sądząc po głosie, kobieta. Karolina akurat się zamyśliła i wypowiedź usłyszała dopiero od słów: „...dorobiłam klucz. Mieliśmy się zobaczyć, ale on w ostatniej chwili odwołał spotkanie. Mówił, że się do mnie przeprowadzi, chciał tylko ostatecznie porozmawiać z żoną. Zmarł nagle. Poszłam na pogrzeb. Stałam z tyłu. Grabarze przykryli dół deską, rodzina położyła kwiaty i odeszła. Wtedy ja wrzuciłam mu do grobu klucz, ten, którego nie zdążyłam mu dać. Jestem taka szczęśliwa, że on go ma. Codziennie wracam do domu i myślę: może on tam jest? Kiedy pod domem zatrzymuje się samochód, trzaskają drzwi, to myślę: o, teraz usłyszę, jak kicha - bo on zawsze kichał, gdy wychodził z samochodu, a w dodatku kichał donośnie.

Karolina poczuła, jak krew odpływa jej z policzków. To Mateusz kichał, kiedy wychodził z samochodu. To Mateusz miał kichnięcie głośnie jak wystrzał armatni.

Mój Boże, czyżby to jego kochanka? - pomyślała Karolina.

Zimno jej się zrobiło.

Próbowała sobie przypomnieć, jak przedstawiła się młoda kobieta i skąd dzwoniła; bez skutku. Czy miała głos córki cukiernika?

Zgasiła światło, lecz nie mogła zasnąć. Usłyszała jedenaście uderzeń zegara za ścianą, potem dwanaście; czuła się coraz bardziej rozbudzona.

Pomyślała: Czy można zawiesić wszystko na jednym kichnięciu?

Odwróciła się na prawy bok. Już miała zasypiać, kiedy przywołała ją do rzeczywistości myśl: To na pewno ta kobieta, która stała na cmentarzu za wszystkimi, pod tują.

I natychmiast się wściekła. Ze złości szarpnęła mocno poszewkę na kołdrze. Nie pomogło. Włożyła róg kołdry do ust i zawyła - dziwnie, wilczo. Kilka razy, chrapliwie, odetchnęła otwartymi ustami. Przyniosło jej to na chwilę ulgę. Zamknęła oczy. Muszę doprowadzić się do porządku - pomyślała i zauważyła trzeźwo: Wściekam się. On wie, że ja się wściekam. Może nawet się cieszy. I mściwie szepnęła:

- Nie będę się denerwować, nie dam ci tej satysfakcji. Wstała, zapaliła lampkę, otworzyła sekretarzyk, wyjęła papier listowy z konwaliami na marginesie i zaczęła pisać:

*Mateuszu.*

List był długi, zajął pięć bitych stron, choć trzeba przyznać, że Karolina stawiała duże litery. Wypomniała mu w tym liście wszystko. *Nie dbałeś o mnie - pisała. - Na mnie zrzuciłeś całą brudną robotę, całą tę żmudną robotę, dzieci, dom. Śmietankę zbierałeś pozłacaną łyżeczką i dawałeś innym. Wygodnie się urządziłeś w życiu, nie ma co. A teraz jeszcze sobie poszedłeś i to ja mam cię oplakiwać! Czemu ciebie wszyscy żałują? Że co? Myślisz, że płacze po tobie? Nie po tobie, ale ze złości na ciebie!*

Starannie złożyła kartki, wsunęła je do koperty, na kopercie napisała: *Mateusz Ptak*, i zastanowiła się nad adresem. Wzięła ją chętnie, żeby napisać: Piekło, krąg siódmy. Ale powstrzymała się i list wrzuciła do szuflady nocnej szafki Mateusza, z trzaskiem ją zamknęła, jeszcze przekręciła klucz.

W nocy przyśnił się jej dziwny sen. Była wojna, na Karolinę polowały wozy pancerne - we śnie, nie wiedzieć czemu, nosiły nazwę Drapieżnych Madonn. Były szybkie, zwrotne i lśniące. Uciekając przed nimi, skryła się w kościele; przycupnęła w kaplicy, skuliła się, przylgnęła do ściany. Już było słychać kroki jeźdźców, już biegli w stronę kaplicy, za chwilę otworzą drzwi. Pierwsza myśl Karoliny była taka: Może mnie nie zauważą? Jeszcze bardziej przytuliła się do muru i zaraz pomyślała drugą myśl: Czy ja mam umierać skulona?!

Pytanie to ją obudziło. Przysłuchiwała się chwilę, jak warczą motory wozów pancernych, ale musiały zawrócić, bo dźwięk się oddalał. Zaczął bić zegar. Raz, dwa, trzy - policzyła Karolina, bo Karolina zawsze wszystko lubiła sumować i porządkować. Trzecia - zauważyła trzeźwo. Powtórzyła szeptem:

Czy ja mam umierać skulona?

I postanowiła, że nazajutrz wybierze się do miasta. Przejdzie się, może nawet zajrzy do fryzjera...? Myśl ta wydała się jej tak wywrotowa, a zarazem rozkoszna, że tym razem z uśmiechem zasnęła.

Całe popołudnie następnego dnia chodziło jej po głowie, że coś miała zrobić. To miało chyba coś wspólnego ze snem. Zauważyła, że kiedy o nim myśli, to się uśmiecha, z czego wywnioskowała, że śniła o czymś przyjemnym. Wyteńczyła umysł i już, już chwytiała wątek snu, kiedy ten zawinął się raptownie i bezpowrotnie uleciał. Westchnęła. Przypomniła sobie owego króla babilońskiego o długim i zabawnym nazwisku, który chciał zabić wszystkich uczonych, bo nie umieli mu powiedzieć, co mu się śniło, i poczuła do niego sympatię.

Dopiero w łóżku, gasząc światło, przypomniała sobie, że przecież miała iść do miasta. A chwilę później zobaczyła Mateusza w kimonie z ptakiem na plecach. Mył zęby w łazience. Zdziwił się, że ona się zdziwiła:

- Co ty, myślałaś, że my po śmierci nie myjemy zębów?

## 26

Kiedy Mateusz zdobył już wszystkie absolwentki i abiturientki, zabrał się za intelektualistki. Pierwsza jego łupem padła Prudencja Oczko, dama oschła i tak zimna, że nazywano ją Królową Śniegu.

Jacyż wszyscy byli naiwni!

Nikt nie wiedział, że Prudencja w środku cała aż drży ze strachu. Kiedy się otwierała, zawsze ktoś ją rąbnął, uszczypnął, skrytykował albo upokorzył. Zbudowała więc górę, na niej postawiła zamek z lodu, weszła do środka, zatrzasnęła drzwi i stanęła w oknie z działem i z dzidą. Przez lornetkę lustrowała okolice. Zanim wróg ją zaatakował, już go likwidowała.

Prudencja miała tyle lat, że wszystkim się wydawało, że już potrzeb seksualnych nie ma żadnych. Okrutni! Myślą, że kochanie jest dla kogokolwiek zarezerwowane.

Ponieważ była intelektualistką, do seksu też podeszła intelektualnie. Zatrudniła człowieka - wyciął w jej wannie dziury dokładnie na wprost tych miejsc, które Prudencja miała najwrażliwsze, i za pomocą płataniny rurek doprowadził do nich wodę. Strumień się zmieniał. Raz pieścił, raz perlił się, raz siekł. Prudencja spędzała odtąd wieczory w łazience, a bicze biły ją po wewnętrznej stronie ud, w kark, wzdłuż kręgosłupa, w krzyż, pięć palców niżej, i w ten czuły-czuły punkt pod prawą łopatką. Cza-

sem ręką mocno obejmowała kran, to ściskając go, to popuszczając, znów ściskając i jednocześnie małym palcem delikatnie głaskała jego wylot. Któregoś wieczora Prudencja miała czterdzieści jeden orgazmów.

Tylko że ona, prócz seksu, potrzebowała miłości. Chciała klęczeć przy telefonie i patrzeć, jak się pręży, żeby wypluć z siebie dzwonek. Chciała paradować w swojej łososiowej koszulce nocnej z jedwabiu, żeby jakiś mężczyzna podziwiał jej ciało, wyrzeźbione morderczymi dietami i aerobikiem. Kiedyś miłość ją za bardzo bolała. Teraz ją bolało, że nic ją nie boli.

Kiedy jednak zjawił się Mateusz, ze strachu natychmiast wystrzeliła z działa i cisnęła dzidą. Kto ośmiela się wejść w jej sen?! Jakim prawem?!

Mateusz siadł na łóżku i spojrzał na nią z pogardą. Był odpychający, w dodatku śmierdział tytoniem. Miał jędrne ciało, owłosione, a z lewego kącika ust zwisał mu pet, jak u Bogarda. Jednym gwałtownym gestem zdarł z niej kołdrę, swoją wielką łapę włożył pod jej koszulkę i ścisnął mocno jej prawy pośladek. Chciała krzyknąć, skulić się, uciec, ale zamknął jej usta pocałunkiem. Po czym wstał, rzucił peta pod nogi, przydeptał i zniknął. Prudencja krzyknęła za nim: „Brutal! Mógłbyś zacząć łagodnie, z kwiatami!”. Wtedy rzucił jej spoza snu ogromną kiść jaśminu, jeszcze wilgotną.

## 27

Kiedy wybuchły upały, Karolina postanowiła wziąć się w garść. Z pomocą syna sąsiadów skopała ogródek. Na targu kupiła trzy małe tuje, dwie brzozy oraz dwie wierzbę płaczące. Jedną wierzbę posadziła przed domem od frontu, drugą przy furtce. Mateusz nigdy nie chciał brzoź, a o wierzbach mówił, że nie wolno ich sadzić przed domem, bo to oznacza śmierć. Wzruszała ramionami. Wiejskie przesady.

Co rano, zaraz po przebudzeniu, biegła zobaczyć, jak dojrzewa pierwsza mandarynka na drzewku, które zasadziła kilkanaście lat temu. Dokładnie 15 kwietnia zakwitła morela. - Mateusz! - krzyknęła w górę schodów, bo chciała mu pokazać pierwsze kwiaty, ale zaraz ugryzła się w język.

Któregoś dnia wyciągnęła z szafy granatową budrysówkę, wypucowała buty, odkurzyła czarny kapelusz. Wszystko to robiła zamasyście i hałaśliwie, jakby się obawiała, że cisza może pochłonąć jej postanowienie. A jej postanowienie było krótkie: iść do miasta.

Od śmierci Mateusza była tam tylko raz. Zakupy robiła na targu, po tej stronie torów, i w sklepie pani Gwizdalanki, trzy domy dalej. Maciejka kilka razy próbowała ją wyciągnąć do restauracji, ale Karolina zaparła się. Bała się tłumu, samochodów, rowerów, które pędzą po chodniku. Najbardziej bała się znajomych -z grubsza rzecz biorąc tego, że będą na nią patrzeć i sobie myśleć. Jeszcze bardziej bała się, że będą ją omijać wzrokiem, jakby była zadżumiona. A teraz Maciejki i tak nie było. Wyjechała na wakacje do Indii. Przesłała widokówkę z jakąś świątynią tybetańską na tle ośnieżonych Himalajów, i jednym zdaniem: *Zajrzyj do Internetu, masz wiadomość*, bo Maciejka już dawno założyła Karolinie adres elektroniczny.

*Aniele Stróżu, jak to możliwe, że list przychodzi do zawieszonej w powietrzu skrzynki? Kto go tam wkłada? Jak to się dzieje, że tylko ja mogę go otworzyć? Czy naprawdę mogę to zrobić z każdego miejsca na świecie? A w ogóle co to jest, wybacz, mała?*

Karolina obejrzała się w wielkim lustrze w przedpokoju. Stanęła do niego bokiem, próbowała wciągnąć brzuch, ale było jasne: pojawił się nowy wałek. Kurczę blade - zakłęła. - Człowiek raz spuści się z oka i już sam siebie nie może rozpoznać.

Ale zaraz przyszła jej na myśl żona Maćka, która ostatniej jesieni na przykład jadła same winogrona, a teraz piła tylko sok z suszonych śliwek.

Karolina wzruszyła ramionami. Co to za kobieta bez brzucha! Albo bez pupy! Deska do prasowania! - wybuchnęła, zapięła budrysówkę na guziki, ujęła w rękę czarny parasol Mateusza i ruszyła w miasto.

Naraz miasteczko wydało jej się niezwykle zajmującym miejscem, choć do tej pory zawsze powtarzała Mateuszowi, że zamknął ją w straszliwej dziurze, która się kończy, zanim jeszcze człowiek się rozpędzi. Ze zdziwieniem odkryła, że sklep bławatny, który sprzedawał milanowskie jedwabie, przekształcił się w sklep z konfekcją damską Obsession. Można tam było kupić garsonki Made in France szyte - o czym Karolina, oczywiście, nie wiedziała - za rogiem przez miejscowego krawca, pana Władka Szydło.

Miasto nabierało światowego szlifu, bez dwóch zdań. Zamiast baru mlecznego był teraz Kotlet Bar, tam, gdzie dawniej mieściło się podnoszenie oczek w półkach, sprzedawano kebaby. Otwarto myjnię CarWash, w dodatku bezdotykową.

Tylko pod sklepem monopolowym rosła ta sama jarzębina, pod nią leżała kłoda drzewa, a na niej siedzieli trzej obywatele, popijając piwo marki Okocim.

- Kierowniczko! - żałośnie zawołał w stronę Karoliny chudzielec z czerwonymi plackami na policzkach - złotówkę dla odrzuconych przez społeczeństwo...!

Zaśmiała się w kołnierz budrysówki.

Weszła do księgarni. Na ladach leżały książki w kolorowych, lśniących okładkach. Tytuły tak pięknych książek jeszcze nie widziała. Westchnęła: człowiek musi obejrzeć wiadomości, „Rafa-ellę”, papieża, powódź, przejrzeć gazety, to już więcej czasu na czytanie nie ma.

Na widok książek kucharskich zachichotała. Dwadzieścia lat temu przyszedł do miasta jeden jedyny egzemplarz „Kuchni polskiej”. Nie dostała go ani żona sekretarza partii, ani nawet gospodyni księdza, ale ona, Karolina. Tak, Karolina to był ktoś. Żona Mateusza!

Szła wzdłuż stołu, czytając tytuły i przesuwając palcem po śliskich i zimnych okładkach. Zauważyła, że jest dużo poradników. Jak zdobyć przyjaciół, jak zwalczyć gniew, jak być szczęśliwym, jak kochać, jak być kochanym. Jak uprawiać miłość po hindusku, po bożemu i po amerykańsku. Jak gotować, żeby schudnąć, żeby wzbudzić miłość, żeby nie chorować na serce, na płuca, na wątrobę, na kości. Poradników było prawie tyle samo, co książek o religiach. *Aniele Stróżu, popatrz, ludzie chcą koniecznie wiedzieć, jak żyć. A żyć można na tyle różnych sposobów.*

Wańkowicz. Wańkowicz! - prawie że krzyknęła. Ostatni raz widziała książkę Wańkowicza w końcu lat siedemdziesiątych. Była to „Anoda i katoda”. Zapamiętała to nadzwyczaj dobrze, bo do księgarni przyszedł jeden egzemplarz - w dwóch tomach. Akurat weszła po pocztówki UNICEF-u na święta, gdy Wańkowicza dostrzegło dwóch klientów. Tom pierwszy porwał chudy weterynarz, tom drugi - brodaty dozorca tartaku, który po nocach pisał doktorat z filozofii. Każdy chciał mieć „Anodę i katodę” w całości. Błagali, grozili, przywoływali na świadka Boga i córkę Wańkowicza, klęli. Nic z tego, żaden nie chciał ustąpić.

W rogu Karolina dostrzegła księgarza, pana Romualda Pod-denka.

Dziwak był z tego pana Romualda. Drobny, w niezgrabnych, za długich i zbyt obszernych cętkowanych spodniach, wiecznie zmartwiony, co jeszcze podkreślało jego lewe - szklane - oko.

„Romuś jest w tobie zakochany” - śmiał się Mateusz, ale Karolina tylko machała ręką. Choć i ona zauważyła, że księgarz wodzi za nią zdrowym okiem za każdym razem, gdy przychodziła do księgarni. Wydawało się, że jego uczucie jest stałe i niezmienne, jak stała i niezmienna była jego obecność wśród książek. Czasem Karolina sięgała pamięcią w przeszłość, ale nie mogła dosięgnąć czasu, w którym nie byłoby pana Romualda. Mąż ją zdradzał, cena jajek szła w górę, upadały rządy, a on trwał. Był jak gład. Jak ziemia. Ba, jak jej jądro.

Tym razem również stał w rogu księgarni i omiatał książki na półkach miotełką z różnokolorowych piór wyrwanych z koguciego ogona, ubrany w szary garnitur, który

wisiał na jego chudym ciele i wklęsłej klatce piersiowej, w spraną niebieską koszulę zapiętą pod wystającą grdyką - ruszała się, jak koguci grzebień. Tylko kępki włosów stały się rzadsze i bardziej nastroszone, twarz surowsza, a szklane oko smutniejsze. Energicznie wymachiwał miotełką, jakby w usunięciu najdrobniejszego pyłu tkwił sens jego życia.

Na jego widok Karolina uśmiechnęła się do siebie i pomyślała z niejakim zdumieniem: *Aniele Strózu, spójrz, jest pan Romuald. A więc świat istnieje! Przez tę żalobę zupełnie o tym zapomniałam!*

Pan Romuald spojrział na nią szklanym wzrokiem, jakby podслуchał jej myśli, i skłonił jej się głęboko. Karolina, zmieszana, opuściła oczy i nieuważnie wzięła do ręki pierwszą z brzegu książkę, zważyła ją w dłoni. O, ciężka - pomyślała z mimowolnym uznaniem, bo jak się nie trzyma swoich myśli w garści, to one czasem wymyślają kompromitujące rzeczy. Natychmiast się zaczerwieniła, odłożyła książkę na miejsce, strzepnęła jakiś pył z lśniącej okładki i już miała się odwrócić i wyjść, kiedy wzrok jej padł na tytuł i Karolina wsadziła z powrotem książkę pod pachę i zaniosiła do kasy. A kiedy już tam stanęła, to okazało się, że w ręku trzyma dwie książki.

Potem przespacerowała wolnym krokiem przez centrum miasteczka. Świeciło słońce, na ulice wyległy dziewczyny w obcisłych legginsach, proste, dumne jak pawie, o płaskich brzuchach, wąskich biodrach i długich, mocnych nogach.

Przed sklepem z bielizną stanęła jak wryta. Jeszcze niedawno była tu pasmanteria z ubraniami do chrztu i komunii świętej. Teraz na wystawie zamiast chłopca z gromnicą, stały trzy półnagie kobiety. Jedna miała bieliznę w kolorze czarnym, druga - śliwkowym, trzecia - morelowym, a piersi im sterczały, podtrzymywane przez sztywne koronki.

Karolina długą chwilę przyglądała się koronkowym majtkom, potem jej wzrok popłynął za modelki i wtedy, w głębi sklepu, zobaczyła żonę Ferdynanda Trafnego (jak ona ma na imię?). Stała przodem do okna, z ręką zanurzoną w kabaretce. Mrużąc oczy, patrzyła pod światło na wzory. Widok ten, nie wiedzieć czemu, sprawił Karolinę w wielkie zdziwienie. Ale zaraz o tym zapomniała, bo zza rogu wyszedł Mateusz, w tym swoim krótkim paltociku, śpiesząc się, jak zwykle, i Karolina uniosła rękę, i krzyknęła:

- Mateusz, poczekaj!



## 28

Potem wiele osób będzie wątpiło, że Mateusz naprawdę zjawiał się w snach kobiet. Bo gdy już zaczną w tej sprawie prowadzić śledztwo, wyjdzie na jaw, że Mateusz zmieniał się ze snu w sen. Raz miał dwadzieścia pięć lat, uda mocne i owłosione. Innym razem nogi gładkie, za to kark silny i do tego siwiejącą grzywę. A raz nawet - tak! - był zupełnie łysy!

- Łysy Mateusz? To niemożliwe! - zawyrokowało miasteczko, choć niektórzy nieśmiało oponowali: - Przecież od jego śmierci minęło już kilka miesięcy. Może w tym czasie wypadły mu włosy?

Tylko w jednej sprawie kobiety były nadzwyczaj jednomyślne: że młody czy niemłody, owłosiony czy nie, Mateusz kochał je nieziemsko. Specjaliści pewnie by się dopatrzyli w tej miłości licznych wpływów - odbijała się w niej technika japońska, pikanteria hinduska, uczuciowość perska, zachodni intelekt (nie wiadomo po co!) i Mateuszowy własny wdzięk. Stolarz kochał, rzecz by można, miłością wielokulturową. Ale ponieważ kobiety w miasteczku nie znały miłości zagranicznej, więc wydawało im się, że Mateusz kocha niebiańsko. Więcej - Mateusz pojął Sekret. Miał Klucz i z jego pomocą otwierał wszystkie kobiety.

W końcu nadszedł moment, kiedy miasto zdało sobie sprawę, że drugorzędną jest sprawą, czy Mateusz rzeczywiście zjawdał się w snach, czy też kobiety tylko go sobie wyśniły. O wiele ważniejsze, że zaczęły zachowywać się w sposób do tej pory niespotykany. Od tego Mateuszowego kochania kobiety w końcu same siebie pokochały. A stąd tylko krok do katastrofy.

Och, gdyby Mateusz wiedział, co nawyprawiał, wtedy nigdy przenigdy nikomu by się nie przyśnił. Ale już było za późno.

W powietrzu pachniała rewolucja.

A brzuch córki cukiernika rósł.

## 29

W maju przyjechał z Kanady wujek Karoliny ze swoim wnukiem Dżordżem - młodym, barczystym mężczyzną z włosami zebranymi w kitkę. Dżordż chodził po

mieście w długim eleganckim płaszczu i skórzanym kapeluszu, kowbojskim. Dzieci wołały za nim: „Te, Teksas!”.

Trzeciego dnia pobytu zakochał się w Zosi Tokaj, która w supermarkecie stała na alkoholach. Od tej pory codziennie przynosił jej piętnaście białych róż.

- Kocha w sposób pro-fe-sjo-nalny - westchnęła Karolina, widząc przez okno, jak Dżordż zmierza rozkołysanym krokiem w stronę miasta.

*Drogi Aniele, ci na Zachodzie to wszystko potrafią, nawet żyć profesjonalnie!*

Przyszło jej to na myśl, kiedy pewnego wieczora przeglądała książkę, którą kupiła w księgarni - niewielką, w bordowej okładce ze złoceniami, na której pięknie wykaliografowano: „Mały poradnik życia”. Autorem był pewien amerykański ojciec, pan Brown.

„Połóż się na wznak i popatrz w gwiazdy” - przeczytała i pokręciła głową z uznaniem: Ach, ten Zachód, oni zawsze coś wymyślą. „Noś śmiałą bieliznę pod najbardziej konserwatywnym ubraniem”. Właśnie! „Kiedy jesteś w znakomitym nastroju, zawiadom o tym swoją twarz”. Oooooo!!!

Karolina zaśmiała się sama do siebie:

- Czy to nie dziwne, uczyć się żyć w moim wieku?

Wujek z Kanady przylatywał do Europy co kilka lat. Objeżdżał Londyn i Paryż, a przez dwa tygodnie pływał statkiem po Morzu Śródziemnym. Raz po takich wakacjach Karolinę obudził w środku nocy telefon - rozzłoszczona starsza pani nieznośnym sprzeciwu głosem dopytywała się o wujka, który zniknął, choć miesiąc temu na statku zbliżającym się do wyspy Rodos obiecał jej małżeństwo.

Wujek dobijał już dziewięćdziesiątki, ale zawsze był uśmiechnięty, włosy miał starannie przyczesane, czoło jasne, garnitur luźny, biały, a bary potężne, jak prawdziwy Amerykanin. Karolinie wydawało się, że jest z zupełnie innej rzeczywistości. Czasem nawet dostrzegała jakby poświatę wokół jego postaci. Od wujka było - innym mydłem, inną wodą kolońską, innymi myślami, innym życiem, innym światem.

Wieczorami, zagłębieni w fotelach, popijając likier bananowy, omawiali sytuację polityczną w kraju. Wujek osąd miał wyrobiony, bo przed wojną pracował w wywiadzie.

- Ja uważam, że wszystkich komunistów należałoby wystrzelać, a przynajmniej wsadzić do więzienia, a wcześniej odebrać, co nakradli - mówił.

Karolina w zasadzie się z nim zgadzała. Dla porządku tylko dorzuciła:

- To i wujka Zenka trzeba by było wsadzić.

- Wujka Zenka?! Co ty opowiadasz, to on też był komunista?

- Trzydzieści lat należał do partii!

- No kto by się spodziewał. Popatrz, popatrz, wujek Zenek, a taka porządna rodzina...

Często rozmawiali o wnukach. Karolina pękała z dumy, że Staś tak pięknie gra na pianinie.

- A Muszelka... Wujek sam widzi, sama radość, sama radość. Kiedy temat scho-  
dził na Mateusza, Karolina od razu poważniała.

- Umarł byle jak - narzekala.

Była zdania, że człowiek powinien nie tylko żyć, ale i umrzeć profesjonalnie, to znaczy pogodzony z Bogiem i ludźmi, uśmiechnięty, spoglądając na swoje życie z łagodnym uśmiechem osoby, która ma poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Ona tak właśnie chciałaby umrzeć, i może by jej się to udało, gdyby nie ten cholerny Mateusz!

-Wiesz - pocieszał ją wujek - bywają gorsze rzeczy, niż zadławienie się ością na śmierć. U nas, w Ameryce, co rok wydają księgę głupich śmierci. Nie masz pojęcia, jak ludzie idiotycznie umierają.

- Na przykład? - zaciekawila się Karolina.

- Na przykład siusiają na przewody elektryczne. Pewien student zabawiał kolegów, zonglując granatami. A jeden chłopak -nie uwierzysz! - hihhi, chciał mieć *special sex* i podłączył swojego kutasika pod prąd. A mówili mu, żeby użył akumulatora! Był taki żołnierz, co się lubił drapać pistoletem w głowę. No i dodrapał się, trumny się dodrapał. A wiesz, co zrobił jeden żeglarz? Nie uwierzysz! W czasie burzy wspiął się na maszt żagłówki i zawołał do nieba: „Panie, tu jestem, tu jestem!”.

- I co na to Pan?

- A jak myślałaś? Pan słucha takich głupców. Ciesz się, że Mateusz zmarł jak człowiek, nie jak idiota.

Karolina roześmiała się i dobry humor już jej nie opuszczał przez resztę wieczoru. Kiedy przyjeżdżał wujek, śmiała się często i beztrósco.

Któregoś dnia w końcu wzięła się na odwagę i ostrożnie próbowała wypytać wujka o Mateusza.

- Pamięta wujek, w tamtym roku mieliście jechać do Kazimierza, na dwa dni.

- Pamiętam. No i pojechaliśmy. Było bardzo wesoło.

- Wesoło? - Uśmiechnęła się cierpko. - A czy Mateusz z kimś się wtedy spotykał?

Wujek popatrzył na nią łagodnie.

- A ty ciągle szukasz jego kochanek? Po co ci to, Kalinko, po co?

- Chcę wiedzieć.

Potem, jakby na swoje usprawiedliwienie, rzekła:

- Wie wujek, pewnie spotykał się z córką cukiernika, a ona jest w ciąży.
- Ta siksa?
- Okazuje się, że nie taka siksa, jakby się wydawało! Wujek zamyślił się głęboko.
- Jeśli to prawda, to miałybyś kłopot. U nas od razu wdaliby się w sprawę prawnicy i wyciągnęli z tego pieniądze.
- No właśnie! Przecież oni mogą sprawdzić DNA! Odkopać Mateusza i pobrać próbki, jak z tego francuskiego aktora. Wujku, co on, cholera, zrobił! Zmarł, a jeszcze rozrabia!

W czerwcu Karolina, siedząc w toalecie, sięgnęła po gazetę Maciejki i znalazła w niej nadzwyczaj interesujący artykuł o pogrzebach. Najbardziej zdumiał ją obyczaj niejakich Malagaszów, którzy jakiś czas po ceremonii pogrzebowej odkopują kości, paradują z nimi po wsi, relacjonując zmarłemu wszystko, co się zdarzyło od chwili jego śmierci.

Wieczorem, leżąc w łóżku, Karolina wyobraziła sobie, że przynosi z cmentarza kości Mateusza, kładzie je na tarasie, a najpierw rozściela na fotelu matę, bo przecież nie rzuciłaby Mateusza na podłogę, jeszcze kot by po nim latał, albo, nie daj Boże, wiatr zawiął piaskiem. Siedliby sobie na tarasie, ona w jednym fotelu, z kawą w filiżance, kości Mateusza w drugim, i opowiadałaby mu, co takiego zdarzyło się w czasie jego nieobecności.

- Morela miała piękne kwiaty. A ty wiesz, że wyrosła mi jedna mandarynka? Muszelka od września idzie do zerówki, a o Stasia się boję - przez tydzień leżał w depresji.

Nie uwierzysz, ile telefonów było po twojej śmierci. Bez przerwy ktoś dzwonił, bez przerwy. A w mieście otwarto pierwszy supermarket. Fijołek, ten ze sklepu z kosmetykami, wszedł w komitywę z Kęskrawcem, wykupili lokal z naprawą parasoli, szewca i kapelusznika. Na otwarciu sklepu ludzie o mało się nie pozabijali! Albo taki Ogonek... Skonać można ze śmiechu. Ty wiesz, gdzie on znalazł pieniądze? Na własnym rogu! Przez pięćdziesiąt lat nikt rogu nie zauważał, tylko go wszyscy zdeptywali, a on go ogroził, postawił na nim planszę na dwóch nogach i zaczął tam przylepiać reklamy. Majątek na tym zbił, mówię ci, majątek! Tak, mój drogi, jest coraz piękniej, ale w kawiarni Lady Makbet, wiesz, dawniej Amatorska, dalej nie ma haczyka w ubikacji. Mija już dwudziesty rok! A Henryk Skowronek zamknął się w domu ze wstydu, bo mu synowa powiedziała, że się nie nadaje do kapitalizmu. Ponoć ma duszę przeżartą komuną.

Twój samochód sprzedałam. Wzięłam za niego nawet dobrą cenę, osiemnaście tysięcy. Zepsuła się spłuczka w toalecie, ale naprawiłam. Zaraz po twojej śmierci zbił

się kieliszek, ten, który tak lubiłeś, ten z metalowym żubrem. Nawet pomyślałam, że może on też cię lubił.

Jeszcze w tamtym roku była w Warszawie ciekawa wystawa, o nazistach. Był wielki skandal, bo Olbrychski, ten aktor, pocałował szablą swoje zdjęcie. Kiedy to zobaczyłam w telewizji, od razu pomyślałam: „Artysta to zawsze trochę filut. Jak Mateusz, mój mąż”. Ja myślę, że temu, co zrobił tę wystawę, chodziło o przestrożę. Że nazistą może być każdy, twój sąsiad, twój przyjaciel, twój ulubiony aktor. Nawet ty, nikomu nie uwłaczając. Mogę być nawet ja. Choć, prawdę mówiąc, bardzo by mnie to zdziwiło.

Miesiąc temu przyjechał wujek z Kanady, z Dżordżem. Byłam z nim w kawiarni internetowej, otwarto ją w dawnym barze mlecznym. Dziwne miejsce - wszyscy zaparkowani w ekrany, biegają tam jakieś ludziki albo zwierzątka i co chwila ktoś krzyczy: „Kuźwa”, albo i gorzej. Myślałam, że jak dotknę klawisza, to komputer zaraz wybuchnie albo się rozleci. Ale jakoś poszło. Dżordż poszedł po colę, a mnie pomógł chłopak z zielonymi włosami, całkiem uprzejmy. Dostałam w internecie list od Maciejki. Jest w Indiach, u tego Dalaj Lamy, no wiesz. Była u niego na audiencji, nawet otrzymała w prezencie czerwony sznureczek.

Maciejka cały dzień jest zajęta. Rano chodzi przez góry na wykłady z cierpliwości. Jej lama mówi, że szczęście przychodzi z naszego umysłu i że jest to kwestia treningu. Zdaje się, że to samo odkryli ostatnio uczeni amerykańscy. Napisała też, że wieczorami gapi się na starców. Drepczą po ścieżkach, kręcąc modli tewnymi młynkami. A któregoś dnia na ścieżce, na tle Himalajów, Ela, Izraelka z kibucu, córka Żyda z Zamościa, tańczyła dla niej taniec Siwy.

Niedawno była egzekucja tego Amerykanina, co to wysadził wieżowiec w Oklahoma City. Dżordż nawet znalazł u nas taki kanał, gdzie dziennikarze opowiadali, jak umierał. Z całej transmisji zapamiętałam tylko, że miał usta i oczy otwarte, a potem oczy zaszyły bielmem, wargi i skóra zbladły. No i że przed śmiercią ruszał głową. Doprawdy, nie było w tym nic interesującego.

Mówi się, że egzekucje publiczne robią barbarzyńcy. Czy my jesteśmy od nich lepsi? Tylko zamiast biec na rynek, żeby zobaczyć, jak wieszają człowieka, my biegniemy do telewizora. Choć muszę powiedzieć, że ja nie lubię strzelania, a jak w dzienniku jest zbliżenie na krew, wtedy odwracam głowę. Niestety, w czasie dziennika coraz dłużej wpatruję się w ścianę.

Cztery minuty. Podobno cztery minuty trwa umieranie. Wstrzyknęli mu trzy trucizny. Dziwne, że to wszystko nadali. Wujek mówi, że robią show, żeby przyciągnąć ludzi, żeby zarobić, że tu chodzi o biznes. A ludzie chcą to oglądać, bo się przyzwyczaili. „Jak jesz o wpół do ósmej gołąbka - mówi wujek - i w tym czasie w telewizji

nie ma akurat masakry z Rwandy, to ten gołąbek inaczej smakuje. Trzeba go podlać keczupem! Krwią!". Maciejka za to mówi, że tylko w ten sposób można zainteresować ludzi losem Trzeciego Świata - jak się pokaże, że ktoś kogoś łomocze. I że ludzie są głodni emocji, ale się ich boją. Tak powiedziała. Że chcą kochać, a nawet cierpieć, ale wir... wir-tu-alnie. To znaczy, że na niby. Że chcą cierpieć od wpół do ósmej do pogody po wiadomościach i ani minuty dłużej. Maciejka mówi, że w ten sposób ludzie przeżyją więcej, w krótszym czasie i w dodatku nic za to nie płacą. Umierać też chcieliby wir-tu-alnie. Myślę, że to mogłoby ci się nawet spodobać.

Ty wiesz? Podobno wymyślili nawet wirtualny seks! Nazywają to seks onlajn. Szkoda, żeś ty tego nie dożył. Nie wiem, co ty o tym myślisz, ale obawiam się, że niedługo będą małżeństwa onlajn. Może to i dobrze? Przynajmniej nie trzeba chodzić za mężem ze szmatą!

Co do mnie, to ja już proszę tylko o święty spokój... Wujek śmieje się, że chociaż skończyłam siedemdziesiąt lat, to wciąż jestem taka naiwna. I że nawet nie mam pojęcia, ile jeszcze rzeczy w moim wieku może się przydarzyć.

Co do córki cukiernika, to ją wczoraj widziałam. Siedzi, jak zawsze, na wystawie domu towarowego w fotelu wiklinowym, bujanym. Wcześniej reklamowała sukienki w ciąży, a od dwóch tygodni - stroje kąpielowe. Nie uwierzyłbyś, ile ludzi się zatrzymuje, żeby na nią popatrzeć. A Anetka nic sobie z tego nie robi. Brzuch pękaty, piersi wielkie jak miednice, na nosie okulary. Książkę czyta. Minę ma obojętną. Skromnisia! Intelktualistka! Nawet na mnie nie spojrziała! Wszyscy wiedzą, że to ty zrobiłaś jej to dziecko, wszyscy! Zresztą sama się matce przyznała. Ale coś jej odbiło i powiedziała: „Mateusz zrobił mi to już po swojej śmierci. Przyszedł we śnie, przycisnął mnie do szafki w łazience tak, że nie mogłam się ruszyć". I na dowód pokazała pierścionek z tygrysim oczkiem. Był, podobno, niezmierny.

Niektórzy tylko wzruszają ramionami: „Mateusz? Lubił kobiety, to prawda. Ale przecież Mateusz nie gwałcił!".

Nie wiem, jak to z tym jest.

Dziś w nocy znów nie mogł mi z głowy wyjść ten amerykański terrorysta. Że przed śmiercią zjadł lody miętowo-czekoladowe. Pomyśl, cały kilogram!

## 30

Od pewnego czasu Ferdynand Trafny, seksuolog, miał bez liku pacjentów. Byli to wyłącznie mężczyźni i wszyscy, jak jeden mąż, skarżyli się na swoje małżonki.

Doprawdy, kobiety z miasteczka zaczęły się zachowywać nadzwyczaj dziwnie. Raz żądały od mężów posłuszeństwa, raz inwencji, jednego dnia pragnęły delikatności, innego brutalności. I cały czas były niezadowolone. Wzdychały: Och, jakiś ty niezgrabny. Albo: Gdybyś choć raz doprowadził mnie do orgazmu. W dodatku, w łóżku, cały czas instruowały: Trochę w prawo, dobrze, trochę w lewo, dobrze, szybciej, szybciej, a teraz wolniej, wolniej, wolniej.

Mężczyźni sami już nie wiedzieli, co robić, biedacy.

Rzucili się do studiowania kolorowych pism, a w nich listów od dziewcząt, które zwierzały się, jak TO lubią robić najbardziej. Dowiedzieli się o punkcie X, wkuli na pamięć zagraniczne słowa, w końcu zaczęli szukać ukojenia u seksuologa. Ferdynand Trafny jest teraz najlepiej poinformowaną osobą w mieście.

Miasteczko zaczęło szeptać, że to Mateusz buszuje w snach jego mieszkańców i że to on rozpaskudził kobiety. Początkowo Ferdynand chciał wrzasnąć: „Wypędzić łobuza!”. Potem nasunęła mu się myśl zuchwała: gdyby przekonać Mateusza, aby - zamiast zajmować się sprawami cielesnymi i egoistycznymi - ruszył z nim na podbój miasta?

Ferdynand Trafny był bowiem człowiekiem najbardziej uczciwym w miasteczku, wprost kryształowym. Przez cztery lata był również burmistrzem i odszedł ze stanowiska z honorem. Ale im dłużej nie był burmistrzem, tym bardziej jego myśl świdrowały sprawy miasta. Jego następcą interesował się przede wszystkim sadzeniem surfonii w skrzynkach zawieszonych na gmachach publicznych. Ulice dzięki temu wypiękniały, to prawda, ale te bujnie pieniące się fioletowo-różowe kwiaty jedynie przykrywały brzydotę duszy tego miasta. Tak mawiał Ferdynand Trafny.

I wyciągał odpowiednie dokumenty.

A miał ich bez liku i na każdą okazję. Leżały równo poukładane w teczkach, a tecki równo poustawiane na półkach nad pianinem, na którym Ferdynand Trafny grywał standardy jazzowe i smętne romanse.

Miasteczko mówiło, że Ferdynand ma teczkę na każdego. Nie była to cała prawda. Takich teczek Ferdynand Trafny miał dokładnie dziewięćset czterdzieści siedem i wyłaniał się z nich obraz straszliwy: w mieście panuje zło, korupcja i głupota, a zwykły obywatel nic na to poradzić nie może.

Ale Ferdynand nie był zwykłym obywatelem! Ferdynand każdą głupotę i niesprawiedliwość publicznie wytykał.

Dzień rozpoczynał od pisania listów do miejscowych gazet. Potem przeglądał prasę w poszukiwaniu swoich protestów. Redaktorzy podejrzewali, że Trafny jest też autorem co najmniej połowy anonimów, które do nich docierały.

Tymczasem żadna z gazet nie traktowała go z należytą uwagą. Redaktorzy kiwali głowami ze zrozumieniem, ale wołali: Dowody! Dowody!

Znosił im jakieś zdjęcia z imienin, na których radny ściskał się ze złodziejem, a szef policji obejmował żonę bankiera, ale redaktorzy wciąż mówili: Za mało!

W mieście było więc coraz mniej miejsc bez skazy i niewielu nieskazitelnych, a coraz więcej nietykalnych. Co gorsza, nikt -prócz, rzecz jasna, Ferdynanda - się tym nie przejmował!

Trafni już nawet przestali wieczorami wychodzić z domu.

- Ty naprawdę chcesz iść do Kocięgo Ogonu?! - Ferdynand ciskał w swoją żonę chmurnowładne spojrzenia, pod którymi kuliła się jeszcze bardziej niż zwykle. - Koci Ogon podarował dla domu dziecka dziesięć kilo zjełczałego masła, które legło w śmieciach, a on sobie to masło odpisał od podatku. My nie chodzimy do tego złodzieja!

I tak Trafni przestali chodzić kolejno do restauracji Piękna Helena, Wyspy Szczęśliwe, Galapagos, do kina Złoty Pył oraz do kawiarni Solo Cafe.

Dlatego pomyśl, że Mateusz mógłby zostać jego sprzymierzeńcem, wydał się Ferdynandowi nadzwyczaj rozkoszny. Myśl ta wymyśliła się z jego głowy w chwili, gdy na swoim starym pianinie grał sonatę „Księżycową”. Zatrzymał akord w pół brzmienia, chwilę siedział nieruchomo z uniesionymi nad klawiaturą palcami ułożonymi do smętnego akordu i nagle jego ręce opadły, ale zamiast mrocznego Beethovena zabrzmiało cudowne, dumne, porywające Ravelowskie „Bolero”.

Ferdynand przygotowywał się do spotkania ze stolarzem długo i skrupulatnie, jak to miał w zwyczaju. Zrobił listę kobiet, które Mateusz nawiedzał w snach. Sto dwadzieścia siedem nazwisk. Tylu mężczyzn odwiedziło seksuologa w ciągu trzech miesięcy i za każdym razem skarżyli się na to samo: żony, które do tej pory opędały się od nich, nagle chciały się kochać i w dodatku stały się wymagające.

Ferdynand Trafny przejrzał notatki ze wszystkich stu dwudziestu siedmiu wizyt, jeszcze raz przeanalizował dane i zamruczał:

- Wszystko się zgadza.

Już dawno doszedł do wniosku, że Mateusz najbardziej gustował w wysokich farbowanych blondynkach o średnim biuście, wąskich biodrach, ilorazie inteligencji nieco przewyższającym średnią, usposobieniu pogodnym, mężatkach o stażu małżeńskim powyżej sześciu lat. Ukazywał się im najchętniej w dni bez księżyca, gdy po dachach wlokły się powłoki i kępki mgieł. Kobiety te łączyło jedno: każda miała coś zielonego.



Aptekarzowa lubiła zielone apaszki. Przedszkolanka miała spodnie w zieloną kratę, barmanka pracowała w pubie Zielona Gęś, a dentystka miała zielone oczy. Najwidoczniej Mateusz miał słabość do zielonego.

Ferdynand Trafny analizował te dane, grając tymczasem na pianinie standardy jazzowe. A kiedy we wtorek wieczorem, gdy właśnie odtwarzał „Summertime” Gershwina, do pokoju na paluszkach weszła jego żona, niosąc dla niego dymiący kubek kakao, Ferdynand doznał olśnienia. Przerwał grę, wyciągnął do Anny rękę, posadził ją sobie na kolanie i kołysząc nią w tył i w przód wyszeptał zdumionej:

- Wiesz, Anuś, kupię ci samochód, mitsubishi albo fiata. A wiesz, jaki będzie miał kolor?

Ferdynand Trafny delikatnie złapał wargami małżowinę jej prawego ucha, lekko ścisnął, potem puścił i wymruczał:

- Zielony!

## 31

- Ja nie miałam takiej beztrioskiej młodości - westchnęła Karolina i kątem oka zerknęła na Maciejkę, czy aby dostatecznie się tym przejmuje.

- Mama przesadza. - Maciejka zaciągnęła się papierosem. Jeszcze raz zaczęła przeglądać zdjęcia. - Niech mama spojrzy. Na każdej fotografii jesteście uśmiechnięci. Taaacy szczęśliwi. Patrz, tu bal. Wyglądałaś ślicznie. A tu Wigilia: kwiat we włosach, odsłonięte ramiona. Przebalowałaś młodość! Mazury, kajaki. Nie to, co ja. - Teraz Maciejka obserwowała Karolinę, ciekawa, jakie jej słowa wywołają wrażenie. - Całe studia drukowałam książki w podziemiu. Myślałam, że ważne jest tylko to, co jest śmiertelnie poważne.

Wujek z Dżordżem wyjechali do Ciechocinka, a Maciejka przyjechała tylko na weekend, spisywać swoje historie, które zbierała po świecie. Zaraz po przyjeździe zrobiła Karolinie awanturę o to, że nie była dobrą matką.

- Pamiętam ścianę - mówiła, chodząc po pokoju wielkimi krokami. Miała na sobie fioletową bawełnianą koszulkę bez rękawów, białe spodnie do połowy łydki, a tuż nad kostką prawej nogi przewiązała sobie bransoletę z kolorowych koralików. - Leżałam w łóżeczku i wpatrywałam się w ścianę. Miałam kilka miesięcy, może więcej, nie wiem. W duchu wyłam z nudów! A moja koleżanka to wstaje w nocy i czyta swojej córeczce książki, kiedy mała nie może spać. A ty zostawiałaś mnie samą!

- Co ty opowiadasz - broniła się Karolina. - Musiałam pracować. Ty nawet nie wiesz, w jakich warunkach mieszkaliśmy! Nie było, kochana, lodówki, pralki... Nawet ogrzewania, tylko piec.

- Wiem, a pan woźny w nim palił. Zawsze była jakaś gosposia, która się nami zajmowała. Ty, mamó, chodziłaś do pracy i na bale. Reszta, to znaczy my, guzik cię obchodziła.

Karolina poszła się wyplakać do sypialni.

*Aniele Strózu, przecież ona nawet nie chce mieć dziecka, boi się pewnie, że by ją ograniczyło. A do mnie ma pretensje. Czy dzieci muszą być takie niewdzięczne? Czy w dodatku muszą być takie wyszczekane?*

Kiedy Maciejka już się wyłóściła za samotne leżenie w łóżeczku w dzieciństwie, zajęła się swoimi historiami. Siadła przy stole w przedpokoju, tam, gdzie tak lubił siadywać Mateusz, rozłożyła niewielki komputer, który tak śmiesznie się nazywał, od podółka, czy coś, i nie odrywając rąk od klawiatury pisała. Tylko niekiedy unosiła palce, marszczyła brwi i jej wzrok leciał wtedy ponad komputerem przez przedpokój, przez pokój, omijał portret Mateusza, przenikał przez szybę i krążył między grządkami z pietruszką, krzakami porzeczek i róż, a palce miała Maciejka cały czas uniesione. Tak że wydawało się, że palcami przebiera w myślach.

Karolina najbardziej lubiła wtedy sięgnąć z boku i wpatrywać się w jej twarz. Patrzyć, jak marszczy czoło i jak wysuwa dolną szczękę, a potem w zamyśleniu pociera palcem nos.

Ale Maciejka nie lubiła tego spojrzenia i ofuknęła ją raz i drugi, tak że w końcu Karolina wyciągnęła się na tapczanie, otworzyła książkę, którą ostatnio kupiła, i tylko od czasu do czasu rzucała ukradkowe spojrzenie na córkę.

Książka wciągała ją coraz bardziej, więc coraz rzadziej podnosiła wzrok. Były to wspomnienia łączniczek z powstania warszawskiego, takich samych jak Karolina. Po salonie zaczęły nagle wędrować smukłe dziewczyny z długimi warkoczami i chłopcy w oficerkach. Rozlegał się tupot kroków, w tle było słychać jakieś strzały. A na samym końcu pojawił się on, jej dowódca. Karolina nigdy go nie poznała. Nie wiedziała, jak wygląda, kim jest ani jak się nazywa. W czasie powstania znała tylko jego pseudonim -Mojżesz. Teraz młody, szczupły mężczyzna z zaczesanymi na bok włosami blond, ręce założone do tyłu, zamasyście, po żołniersku, przemierzał jej pokój - od azalii na parapecie po portret Mateusza i z powrotem. Przy tym głośno skrzypiały jego lśniące buty, a właściwie, nie wiedzieć czemu, jeden but. Lewy but.

Spłoszyła go Maciejka. Pstryknęła długopisem, którym zapisywała coś na skrawku papieru ku pamięci i rzuciła go na stół. Odchyliła się w tył, przeciągnęła, zupełnie jak

to robił Mateusz, tylko Mateuszowi trzaskały wtedy głośno stawy, założyła ręce za głowę i na głos oświadczyła:

- Skończyłam.

-To ja już robię kolację. - Karolina podniosła się z kanapy, stękając, i w tym momencie stanęła w jej głowie prosta i klarowna myśl: Ja go muszę odnaleźć.

## 32

Prezes Stowarzyszenia Powstańców, wysoki mężczyzna, prosty jak struna, przeszył Karolinę w milczeniu spojrzeniem spod krzaczastych brwi. Czowała, że rajstopy jej nieco opadły i że za grubo nałożyła szminki na usta. Zaczęła przestępować z nogi na nogę, jakby była małą dziewczynką, i co gorsza, czowała, jak rumieniec pełźnie po jej policzkach, a prezes, nie spuszczając z niej wzroku, huknął:

- To druhna przez pięćdziesiąt z górą lat nie dowiedziała się, jak się nazywał jej dowódca?!

Potem jeszcze groźniej zmarszczył brwi i jeszcze głośniej zawołał:

- Niech druhna siada, bo mi tu druhna zemdleje i stracimy tylko czas na próżno.

Opadła na brzeg krzesła, rozluźniając nieco różową apaszkę owiniętą wokół szyi. Nieprzytomnym spojrzeniem obrzuciła zniszczone biurko, na którym piętrzyły się papiery i stał staromodny telefon, i zerknęła na prezesa. Bąknęła jakieś słowo, potem drugie, ale jej głos zabrzmiał piskliwie i nieprzekonująco, więc speszona urwała.

Krzaczastobrewy w milczeniu przeglądał jej papiery.

- To druhna była na Ochocie?

Karolina chciała coś powiedzieć, ale przerwał jej ostro:

- Druhna odpowiada: tak lub nie.

- Tak - wypaliła i spłonęła.

Mężczyzna przyjrzał się jej i coś na kształt współczucia pojawiło się w jego oczach.

- Ochota szybko została zdobyta. - Westchnął. - A druhna ile liczyła sobie wtedy lat?

- Piętnaście.

Spojrzał na nią z jeszcze większym współczuciem.

- Druhna zrobi tak. - Położył przed nią kartkę papieru i długopis. - Zapisze ten numer, poprosi panią Słodko i zapyta ją o numer telefonu do Mojżesza. A powoła się druhna na mnie.

Kiedy już wychodziła, prezes huknął po raz ostatni:

- A nie zapyta mnie druhna o to, o co chce mnie zapytać cały czas?

- No właśnie - rzekła Karolina z ulgą, bo cały czas chodziło jej to po głowie.

- Jan Dzwonnik. Nazywa się Jan Dzwonnik. Emerytowany inżynier, śpiewak. Spojrzała na niego z wdzięcznością.

Do pani Słodko odważyła się zadzwonić dopiero dwa dni później, w pewną środę, w którą amerykański poradnik w bordowej oprawie przypominał, że wielka miłość i wielki sukces wymagają podjęcia wielkiego ryzyka.

Pani Słodko miała gruby męski głos. Karolina nie była pewna, czy rozmawia rzeczywiście z kobietą i starała się mówić bezosobowo. Głos był bardzo wścibski. Wypytał dokładnie Karolinę, kim jest i czego chce od Jana Dzwonnika, uważnie wysłuchał jej tłumaczeń, acz nieco zawiłych, bo Karolina zaplątała się w sieć czasów, a raczej czasy zaplątała w supeł, po czym chrapliwie przyznał, że Mojżesza zna, ale że nie da Karolinie jego numeru telefonu, bo Mojżesz ma zastawkę w sercu. Powiedziawszy to, pani Słodko umilkła, zaciągnęła się papierosem i puściła kilka kółek z dymu, co było bardzo wyraźnie słyhać przez telefon. Widocznie jednak zrobiło jej się żal Karoliny, bo po dłuższej chwili milczenia rzekła:

- No dobrze, dam pani jego telefon, ale pani przysięgnie, że do niego nie zadzwoni.

- Słowo honoru - powiedziała Karolina grobowym głosem.

### 33

- I co ja mam teraz zrobić? - Karolina spojrzała pytająco na portret na ścianie, ale Mateuszowi nie drgnął nawet mięsień w twarzy. Machnęła ręką. - Nigdy nie chciałeś pogadać o moich sprawach!

Przy kolacji wpadła na pomysł tak oczywisty, że aż dziwne, że nie przyszedł jej do głowy wcześniej. Dała pani Słodko słowo honoru, że do Mojżesza nie zadzwoni, ale nie przyrzekła, że się z nim nie zobaczy. Albo, przynajmniej, nie zobaczy, gdzie mieszka.

Całą noc kręciła się z boku na bok pod kołdrą w różyczki. Przed świtem wstała, zeszła na parter i siadła w kuchni z książką telefoniczną na kolanach. Na szczęście był to egzemplarz sprzed kilku lat; podawano w nim jeszcze numer domu. Znalazła nazwisko Dzwonnik i wolno przesuwając palcem po numerach telefonicznych, odszukała ten właściwy. Dzwonnik. Anna. Kryniczna 30.

Rano pojechała do Warszawy. Jakaś siła poruszała jej mięśnie i jakieś myśli myślały za nią, gdy wysiadła z tramwaju przy rondzie Waszyngtona i zagłębiła się w Salską Kępę. Pędziła uliczkami, mijając stare wille, jak zawsze z głową do przodu, z nogami, które ledwo za nią nadażały, ściskając w lewej ręce czarną torebkę na szyfr, w prawej wyrwany z zeszytu kawałek papieru, na którym spisała z książki telefonicznej adres Dzwonnika. Pędziła, mijając domy, skwery, ludzi stojących na przystankach autobusowych, jakby się bała, że jeśli nie będzie się śpieszyć, to nigdy nie dotrze na ulicę Kryniczna numer 30. Dopiero kiedy zobaczyła fur-gającą nad białą willą flagę Portugalii, niebieską tabliczkę i trzy pierwsze litery KRY, zwolniła i już spokojnym krokiem, jak gdyby nigdy nic, weszła między przedwojenne domy. Serce jej zatrzepotało, gdy dotarła do numeru 30. Zwolniła jeszcze bardziej, szybko omiotła wzrokiem obrośnięty winoroślą piętrowy segment, wciśnięty pomiędzy inne, podobne domy, niewielki ogródek, bramę, cztery czarne guziki domofonu, z których wynikało, że w segmencie mieszkają cztery rodziny, zauważyła, że ze ścian odchodzą wielkie płyty tynku i że dom wygląda na zaniedbany, i nie zatrzymując się podreptała dalej. Czuła przy tym taki wstyd, jakby została złapana na gorącym uczynku, a nie byłby to dobry uczynek. Minęła szkołę angielską, willę z dobudowaną szklaną werandą, dom świeżo pomalowany na fioleto; doszła do kutego ogrodzenia, za którym, jak wskazywała mosiężna tabliczka, mieściło się przedstawicielstwo Libii, i zawróciła. Mijając dom Dzwonnika, tym razem zauważyła, że na piętrze po lewej wstawiono nowe okna, z plastiku, że na parterze z prawej pełno jest różowych begonii i siedzi tam kot, i że okno na piętrze po prawej jest puste, a szyby od dawna niemyte. To tu - pomyślała przekonana, że właśnie za tymi pustymi oknami mieszka Jan Dzwonnik.

Dotarła do ambasady Portugalii i stanęła. Nie wiedziała, co dalej robić. Dopiero teraz pojęła, że nie obmyśliła sobie żadnego planu. Była śmieszna, ba, czuła to, była żaloszna: starsza pani w czarnym kapeluszu, wdowa po szanowanym artyście stolarzu, biegająca pod oknami mężczyzny, którego nawet nie zna.

Przez chwilę wzięła ją chętka, żeby nacisnąć guzik domofonu. Nie, pomyślała, nie zobaczy się z nim. Natychmiast znalazła sobie wytłumaczenie: jest chory, nie można go denerwować. No właśnie, nie można denerwować człowieka z zastawką - pomyślała z mocą, żeby zagłuszyć myśl, że myśli same głupstwa.

Ni stąd, ni zowąd ruszyła szybkim krokiem przed siebie, znów pędziła przez ulice, place i skwery, mijała ludzi na przystanku i dzieci bawiące się w ogrodzie przedszkola, ale tym razem uciekała. Gdzieś tam w środku czuła, że to spotkanie odmieni jej życie i nagle bardzo się tego przestraszyła. Szczególne, bo Karolina całe życie lubiła zmiany.

## 34

W czerwcu Mateusz zasadził się na Annę. Co było dziwne, bo w miasteczku nikt, ale to nikt jej nie zauważał.

Anna urodę miała przeciętną, a ubierała się w długie szare spódnice z włóczki i sprane golfy. Rzadko zabierała głos, i to tylko wtedy, gdy jej na to pozwolił Ferdynand Trafny, mąż. Gdy w czasie obiadu zupa skapnęła Ferdynandowi z łyżki na koszulę, podnosił obie ręce i wołał: „Anno, zrób coś”, a ona już biegła z wilgotną szmatką w ręce. A gdy na dworze zauważył, że pada deszcz, naciskał guzik domofonu i głosem niecierpiącym sprzeciwu mówił:

- Anno, parasol.

Zbiegała z piątego piętra i rozkładała nad nim jego wielki czarny parasol. Ferdynand ruszał przed siebie bez jednego słowa podziękowania czy choćby wdzięcznego spojrzenia - w kaszmirowym płaszczu po kostki, wielki, piękny, dumnie wyprostowany.

Anna żyła strachem, że któregoś dnia Ferdynand ją opuści. Była od niego starsza o osiem lat; co gorsza - czuła się starsza; była wprawdzie inteligentna, ale nikt o tym nie wiedział, nawet ona. Za wszelką cenę starała się nie rzucać w oczy. Była, można powiedzieć, zanikającą żoną. Znajomi Ferdynanda rzeczywiście zachowywali się, jakby jej nie było. Również sąsiedzi, którzy nigdy nie odpowiadali na jej „dzień dobry”, nawet sprzedawczyni w sklepie, która popatrując melancholijnie ponad głową Anny na półkę ze słoikami musztardy sarepskiej, z zajęciem dłużyła małym palcem w prawym uchu, jakby sklep był pusty, ale to kompletnie pusty.

Ale nie można nie istnieć zupełnie. Najczęściej więc Anna istniała jako echo. Była mistrzynią w zgadywaniu cudzych myśli. Och, nikt lepiej od niej nie mówił drugiej osobie tego, co akurat chciała usłyszeć.

- Co robić? - zastanawiał się na głos Ferdynand.

Anna w popłochu szukała właściwych słów, bo Anna uważała, że słowa dzielą się na słuszne i niesłuszne, mądre i głupie, dobre i złe, a ponieważ sama nie wiedziała, co jest słuszne, mądre i dobre, więc czym prędzej szukała jakiejś podpórki. Przypominała sobie na przykład reklamę pewnego amerykańskiego napoju do picia i mówiła: - Pytasz, co robić? Po prostu bądź sobą!

Ferdynand nagradzał ją pełnym wdzięczności spojrzeniem, a ona taka była wtedy szczęśliwa.

Tylko te kapelusze...! Anna uważała, że również ludzie dzielą się na słusznych i niesłusznych, poglądy na właściwe i niewłaściwe, a ponieważ nie wiedziała, co jest słuszne i właściwe, na wszelki wypadek nosiła najdziwniejsze kapelusze w mieście.

Najbardziej lubiła kapelusz w kształcie piramidy Cheopsa, w okropnym mysim kolorze, z uszami opadającymi na szyję; wyglądała w nim jak bojownik Ku-Klux-Klanu. Miała też kapelusz w kształcie dżdżownicy, a także niezliczoną ilość nauszników w formie kolorowych misiów, żabek i biedronek z czułkami. Prócz dziwnych kapeluszy nic w życiu jej się nie zdarzało.

I oto któreś nocy pojawił się Mateusz. Stał przyczajony w samym rogu jej snu, z blad różowym tulipanem w ręce, z za którego uśmiechał się nieśmiało. Patrzył na nią wielkimi migdałowymi oczami, w których pływała bezbronność dziecka.

Anna rozejrzała się wokoło, zastanawiając się, kogo Mateusz szuka, ale we śnie prócz nich dwojga nikogo nie dostrzegła. Stolarz więc, bez wątpienia, przyszedł do niej. Ogarnęło ją takie przerażenie, że obudziła się gwałtownie i nieodwołalnie. Gdzieś jechała karetka pogotowia na sygnale. Ferdynand leżał na łóżku z rozrzuconymi nogami w zbyt obszernych spodniach w brązowe paski i oddychał z wdziękiem.

Wstała, żeby się napić wody. Kiedy wysunęła stopy spod kołdry, zauważyła na prześcieradle niewielki blad różowy płatek. Rozzłościła się naraz i porwała go na strzępy.

Nazajutrz rzuciła się do generalnych porządków i nie ustawała przez kilka dni następnych. Wyszprzątała dom, umyła okna, rozmroziła lodówkę, wyszorowała szafki w kuchni, odkurzyła książki i gdy już nic nie można było w domu sprzątnąć, zabrała się za piwnicę, skąd wyniosła niepotrzebne graty na śmietnik, a potem wzięła się za garaż. Wieczorem zasypiała snem tak twardym, że nawet mysz by się do niego nie wśliźnęła.

Minął tydzień. Dom lśnił.

W środę znów przyśnił się jej Mateusz. Tym razem położył jej tulipana na kolanach i niby to cofając się, przesunął dłonią po jej łydce, nawet nie przesunął, lecz musnął, nawet prawie nie musnął. Ale poprzez rajstopy i grubą spódnice z włóczki (bo

tak właśnie Anna była ubrana we śnie, jakby nie mogła być bardziej powabna) poczuła jego dużą ciepłą dłoń sunącą w stronę kolana.

Obudziła się. Jej uda lekko drżały. Spojrzała na męża. Leżał zwinięty w kłębek, z policzkiem wtulonym w poduszkę i oddychał niewinnie. Anna uśmiechnęła się sama do siebie i postanowiła nieoczekiwanie: Jutro pójde na zakupy. Kupię sobie sukienkę.

## 35

Karolina jeździła teraz raz w tygodniu, najczęściej w czwartki, do Warszawy. Miała naprawdę mnóstwo rzeczy do załatwienia: a to odwiedzić na cmentarzu swoją drużynową, Inkę, o której mówiło się, że przed śmiercią była zgwałcona, ale o tym cicho sza, a to podlać kwiaty w mieszkaniu Maciejki, bo Maciejka znów wyjechała, do Czeczenii, a może do Afganistanu... Karolina nigdy nie mogła zapamiętać. Dawniej śledziła jej korespondencje w gazecie, ale kiedy kolejny raz przeczytała, jak w Algierii fundamentalisci ucieli chłopom głowy i położyli na progu domu ich bliskich, powiedziała - nie. Nie będzie się denerwować. Co ją obchodzą algierscy chłopci!

Karolina lubiła Warszawę. Z ciekawością oglądała z tramwajów nowe piękne szyldy - Salon Paznokcia, Stolica Dywanów, Centrum Smaków, Global Trawnik, Zagłębie Niskich Cen. Z zachwytem gapiła się, jak rosną szklane domy o przedziwnych kształtach imadeł, dystrybutorów coca-coli, czajników albo śrub z nakrętką.

Raz nawet poszła na spacer do wielkiego centrum handlowego na Mokotowie. Onieśmieliły ją światła i kolory, i tańcząca fontanna, i eleganccy ludzie, którzy sunęli środkiem. Szła wolno i wdychała wylewające się z kawiarni zapachy gorących rożków francuskich i świeżo parzonej kawy.

W natłoku głosów i muzyki walącej na nią z góry i z okolicznych sklepów, usłyszała utwór, który grała młodziotka skrzypaczka o skośnych oczach - Karolina tak ją lubiła.

Dźwięki ledwo przebijały przez harmider. Karolina kręciła się w kółko, z uchem uniesionym, nastawionym na wyłowienie muzyki, ona, która tak lubiła być poławiaczem dźwięków i zapachów. Kręciła się jak antenka, wchodziła do sklepów, stawała na progu, wychodziła, robiła dwa kroki w prawo, łapała melodię, która za chwilę znów jej umykała, aż uleciała na zawsze, a Karolina, zmęczona, siadła na ławce i za-



chciało się jej płakać. Ale zaraz przypomniała sobie, jak Maciejka ją strofuje: nie rozczulaj się nad sobą, więc wyprostowała się i postanowiła światu stawić czoło.

Pojechała na Saską Kępę.

Tak się składało, że za każdym razem Karolina w końcu lądowała na Saskiej Kępie. To było zresztą oczywiste, w Parku Skaryszewskim odkryła bowiem urządzoną w dawnym szalecie kawiarenkę, w której podawano najlepsze ciastka w mieście. Bezy są kruche, a sos kawowy dobrze rozmieszany - wyrokowała, zagłębiając widelczyk w torcie czekoladowym, który był tortem bez skazy. A natrafić na rzecz bez skazy zdarzało jej się nadzwyczaj rzadko. Ona, taka wybredna, przełknęła nawet fakt, że ciastka podawano na tekturkach.

Po torcie Karolina miała zawsze ochotę na spacer po Saskiej Kępie. Błąkając się bez celu, wychodziła na szkolny skwerek naprzeciw ulicy Krynicznej. Zmęczona, przysiadła na ławce pod popiersiem jej ulubionego Bolesława Prusa. Obserwowała.

Och, Mateusz nigdy by mi na to nie pozwolił - myślała. - Zawsze gdzieś gnał, zawsze dokąś się śpieszył. Nie umiał przy-siąść, spojrzeć na świat. Teraz też by wstawał, krążył, gadał, przeszkadzał.

Karolina siedziała na ławeczce z pewnym niepokojem, jakby za chwilę miał się pojawić Mateusz i popędzić ją: „Co tak siedzisz? Chodźmy już! Chodźmy!”.

Mateusz, jak szedł korytarzem, to z rozmachem. Stanowili dość komiczną parę - z przodu, z rozwianym włosom, w rozpiętym kożuchu, z czerwonym szalikiem kilkakrotnie zawiązanym wokół szyi, biegł truchtem Mateusz. Każdemu przy tym się kłaniał, co drugiego pytał o zdrowie, przystawał, cofał się, zbaczał. Karolina próbowała iść wolno i dostojnie, ale zawsze wyglądało, jakby szła za nim na smyczy. Kłócili się o to setki razy. „Co to, jestem Arabką, że mam iść za tobą?” - mówiła.

Przychodziło jej czasem na myśl, że Mateusz jest taki energiczny i hałaśliwy ze strachu. Może bał się, że jak się raz zatrzyma, to bieg rzeczy go porwie i zatopi?

*Do innych gnał, Aniele Strózu. Zawsze byłam nie wiadomo kim. Przyczepką - myślała teraz, siedząc na ławce i popatrując na świat Kęposaski. Znała już drobną brunetkę z dużym psem, która okrzykami zachwyty witała każdego przechodzącego pieska. Znała starszego pana, który chodził w garniturze w prążki i w kapeluszu, a któregoś razu zobaczyła go w jaskrawopomarańczowej sukience na ramiączkach, bo okazało się, że pan jest kobietą.*

Często na skwerku pojawiał się rozczochrany mężczyzna w wytartej dżinsowej kurtce. Przeszukiwał kubły na śmieci, wyciągał z nich puszki po piwie, zgniatał obcasem, flak upychał do torby na ramieniu.

Wiosną na ulice wyszły dziewczyny tak cienkie w biodrach, że nie wiadomo było, czy jeszcze istnieją. Kolorowe spódnice z cieniutkiej wiskozy mocno opinały ich pośladki, widać było, jak grają mięśnie. Szły dziewczyny w sukienkach w grochy, z odsłoniętymi ramionami. Chłopcy w bojówkach za kolana. Mieli łydki młode i mocne.

*Aniele Strózu, kiedy miałam dwadzieścia lat, wszystko było nie tak, a to usta za małe, a to włosy kręcone, a czemu nie proste? Dopiero teraz wiem: jaka ja byłam śliczna, kiedy wychodziłam za Mateusza! Miałam duże oczy, brzuch płaski i taką gładką skórę! Wszystkie kobiety w rodzinie miały taką czystą zdrową skórę i łatwo się rumieniły. A stopy! Bez dwóch zdań, do wszystkiego można było się przyczepić, ale stopy, dłonie i uszy miałam śliczne.*

Któregoś dnia na ławce obok przysiadła grupka młodzieży z afrykańskimi bębnami. Grali sobie a drzewom, aż ruda dziewczyna w czapeczce z włóczki zwinnie wskoczyła na ławkę i zaczęła tańczyć. Ramię kusej bluzeczki zsunęło się, odsłoniło czarne ramiączko i koronkę biustonosza, też czarną. Kiedy dziewczyna przechyliła się, żeby objąć od tyłu zarośniętego dryblasa i zała-skotać go włosami po szyi, wtedy jej spodnie nieco opadły i wychynęły stamtąd czarne majteczki, takie prawie nic, ot dwa czarne paski, jeden na biodra, a drugi w poprzek. Jakoś się nawet nazywały, ale Karolina zapomniała jak, bo zagranicznie. A poza tymi paskami spod spodni wychodziły pośladki i były takie jędrne i pełne entuzjazmu.

Karolinę ścisnął żal, że nie może wskoczyć na ławkę ani nosić takich czarnych majtek, których prawie że nie ma. Gdyby jeszcze choć raz mieć dwadzieścia lat i dla kogo tę śliczną bieliznę włożyć - pomyślała. Westchnęła tylko i mruknęła pod nosem:

- Takie życie - najpierw wojna, potem komuna.

I przy okazji przekląła Stalina i Roosevelta, choć jako mężczyzna ten ostatni bardzo jej się podobał.

Młodzi ludzie z bębnami odeszli, a ona poczuła się stara i zmęczona. Poczula też wyraźnie dwie zmarszczki biegnące od kącików ust w dół, twardey żołądek i kamycek, który jej wpadł do lewego buta i uwierał. Pochyliła się, żeby zrobić tam porządek, ponownie podniosła głowę i rozejrzała się wkoło, szukając Mateusza: No i gdzie on się znów podział? A potem świat jej zawirował.

Kiedy później usiłowała zrozumieć, co się stało, widziała tylko pojedyncze obrazy. Na przykład dwa samochody, ten z tyłu trąbił i chciał wyprzedzić, ten z przodu zjeżdżał na środek ulicy i hamował. Potem widziała jakąś nogę - wściekle kopała karoserię i jakąś pięść - biła ze złością w dach samochodu. Potem biegł młody mężczyzna w obcisłych spodniach w podłużne kolorowe paski i w opuszczonej ręce trzymał pistolet. Biegł szybko, sadził ogromne susy, wprost na ławkę, na której siedziała Karo-

lina, ale przy koszu na śmieci wolno, wolniutko odwrócił się, przynajmniej tak się wydawało Karolinie, zgiął nogi, uniósł rękę i strzelił za siebie, i wszystko to działo się tak powoli, że Karolina zobaczyła - albo prawie zobaczyła - jak z lufy wylatuje kula i leci przed siebie, jednocześnie kręcąc się wokół własnej osi, i ginie gdzieś za krzakiem jałowca. Nawet słychać było bzyczenie, zupełnie, jakby osa zaplątała się w firankę.

Chciała biec, lecieć, uciekać albo przynajmniej upaść i wtur-lać się pod ławkę, ale jakaś siła trzymała ją i nie chciała puścić. Tylko domy rozsypały się, drzewa ugięły do ziemi i słychać było przeraźliwy pisk. Karolina nie mogła złapać oddechu.

- Proszę pani, niech pani wstanie. Proszę pani, już po wszystkim, nie ma się czego bać.

Podniosła głowę. Najpierw zobaczyła wielkie oczy w kolorze agrestu, potem fioletowy берет przechylony na lewe ucho; spod beretu opadały siwe pukle włosów.

Próbowała się uśmiechnąć, ale wyszedł jej tylko ponury grymas. Pomyślała myślami Mateusza: „Rachu ciachu i po strachu”, i dopiero teraz zaczęła się bać i z tego strachu trząść się i robić rzeczy, które nijak nie miały się do siebie: wstała, siadła, jeszcze raz wstała, siadła, zaczęła gorączkowo szukać wokół siebie torebki, którą mocno trzymała pod ręką, spojrzała przed siebie, zobaczyła grupę gapiów i kilku policjantów, a także trzy samochody policyjne i pukle siwych włosów, znów zaczęła szukać torebki, ale teraz znalazła ją szybciej, pod własną pachą, pochyliła się, żeby podciągnąć rajstopy, które jej nieco opadły i obok swoich butów zobaczyła lakierki, więc podniosła wzrok i ujrzała берет, a ten берет miał kolor fioletowy.

Wiedziała, że jest rozczochrana i że wygląda brzydko, i w dodatku wyrzuciła z siebie słowo „lech”, bo w chwilach dużych wzruszeń mówiła po poznańsku, powiedziała więc do tego Fioletowego Beretu: - Lech, mało mnie nie zabił - i przez chwilę nie wiedziała, czy zakląć brzydko, czy się rozpłakać.

Fioletowy Beret spojrzał na nią zatroskany. Pocieszył ją, że policja już zabrała mężczyznę w spodniach w kolorowe paski i że już nic jej nie grozi; Karolina wprawdzie słyszała go, ale natychmiast zapominała, co mówił. A Fioletowy Beret kontynuował:

- Zaraz zaraz, ja przecież kupiłem sok z żurawin, napije się pani, prawda?

Cofnął się, żeby w reklamówce z zakupami znaleźć karton soku i dopiero wtedy Karolina zobaczyła, że jest drobny, szczupły, pochylony ku ziemi. Pomimo zdenerwowania jej serce zalała fala współczucia pomieszana z pogardą, bo prawdziwy mężczyzna, uważała, powinien być prosty jak dąb, silny jak niedźwiedź i wyglądać tak, jak prezydent Mościcki, ten przedwojenny.

A potem zobaczyła jasne, ciepłe oczy mężczyzny i zrobiło jej się wstyd. Zerwała się z ławki ze słowami: - Nie! Muszę już iść! Do widzenia panu - i rzuciła się do ucieczki.

Karolina chciała uciec przed przeznaczeniem. Chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy, to od samego początku było w niej coś, co przeczuwało, że ten pan w lakierkach, w berecie śmiesznie przechylnym na lewe ucho jest częścią jej przyszłości.

## 36

Do tej pory Anna prawie nie wychodziła z domu, tyle co do spożywczego i na targ. Teraz widziano ją w drogerii, a także w sklepie z używaną odzieżą francuską - kupiła tam spódnicę i żakiet w delikatną zieloną kratkę, a spódnica była bardzo krótka, krótsza od tej, w jakiej polska prezydentowa witała Clinto-nową, co swego czasu wywołało ostre protesty prasowe.

Całe miasto dostrzegło, że Anna staje się coraz ładniejsza. Z jej twarzy znikło napięcie; wyglądała teraz na osobę nieustannie, acz radośnie zamyśloną.

Na widok tych zmian Ferdynand pomyślał: A więc miałem rację! Mateusz Ignie do zielonego! - i z triumfem spojrział na żonę. Nie było wątpliwości - udało mu się zwabić stolarza w sen Anny.

Martwiło go tylko, że mijał już trzeci tydzień, odkąd na ustach Anny błąkał się tajemniczy uśmiech, a on jeszcze nie trafił na Mateusza. A przecież co noc wsuwał się do jej snu.

Zastawał ją zwykle w przezroczystej koszuli, podkasaną, w zwolnionym tempie skaczącą z obłoku na obłok, a skoki sadyła duże, coraz bardziej oddalając się od niego. A tak naprawdę - od niego uciekając.

Chciał krzyknąć: Anno!, ale z gardła wydobywał mu się tylko chrapliwy skowyt. Budził się nagle, gwałtownie siadał na łóżku i wzrokiem szukał żony, przerażony, że mogłoby jej nie być. Ale Anna leżała przykryta kołdrą po uszy, zatopiona we śnie i uśmiechnięta tajemniczo.

W czwartek nad ranem znów udało mu się wedrzeć w sen żony. Tym razem jednak chyba wypłoszył Mateusza - jeszcze wisiał w powietrzu jego czerwony szalik.

W piątek o północy znalazł jeden jego półbut z przydepniętą piętą, wsunięty pod łóżko, na którym przeciągała się Anna, a była w samych majteczkach.

W sobotę - jego jedwabną koszulę. A w niedzielę - muszkę bordową.

Wreszcie w poniedziałek zastał samego Mateusza. Anna właśnie brała prysznic, a Mateusz stał przy łóżku, nagi, i zdejmował slipy (a slipy miał fikuśne, niebieskie w różowe słonie), przy tym jedną nogą uwiązał w nogawce! Pewnie tylko dlatego Ferdynandowi udało się go wreszcie dopaść.

- Mateuszu! - krzyknął, prężąc się cały.

Mateusz odwrócił się w jego stronę i poczerwieniał. Z tyłu snu dochodził szum prysznic. Mateusz wyglądał teraz jeszcze śmieszniej z nogą, która sama już nie wiedziała, czy ma się wsunąć w dziurę slipów, czy wprost odwrotnie.

- Nie wstyd panu?!

W migdałowo-cynamonowych oczach Mateusza pojawiły się żółte błyski. Szybkim ruchem ściągnął z łóżka prześcieradło i milcząc owinał się nim, jak w saunie. Po czym zaczął zbierać rozrzucone po podłodze snu części garderoby.

Ferdynand zrobił krok w jego stronę.

- Panie Mateuszu! - rzekł uroczyście. - Nie o to chodzi, że uwiódł mi pan żonę. Ja, ja... - głos mu się załamał teatralnie - ja jej pozwolę na wszystko, byle tylko była szczęśliwa...

Mateusz przysiadł na skraju łóżka i wyszeptał: - Rozumiem -i jego migdałowe oczy powilgotniały, bo w gruncie rzeczy łatwo się wzruszał. - Ale czego w takim razie pan ode mnie chce?

- Mateuszu! - Ferdynand zrobił jeszcze jeden krok w jego stronę i rzekł dramatycznie: - Miasto pana potrzebuje!

I zaczął opowiadać: mafia spotyka się na zapleczu zakładu mleczarskiego i knuje. Policja leniwa. Radni przekupieni. Złodzieje bezkarni. Politycy nie dbają o dobro publiczne, tylko o własne portfele.

Mateusz słuchał jego słów, a jednocześnie dyskretnie się ubierał. Tylko od czasu do czasu głęboko wzdychał, żeby pokazać, jakie wrażenie robią na nim słowa Ferdynanda.

Ten wyczuł jednak, że stolarz wzdycha nieobowiązuco i że pewnie zaraz czmychnie. Nabrał w siebie tyle pewności siebie, tyle siły przekonywania, tyle wdzięku osobistego, ile tylko mógł, i powiedział, a starał się, żeby jego głos był aksamitny:

- Ludzie będą pana za to kochać. Kochali, gdy pan żył, a teraz pokochają, gdy pana już między nami nie ma.

W Mateusza jakby piorun trzasnął. Bo tak naprawdę tego Mateuszowi nie dostało w życiu i poza życiem - miłości. Chciał być kochany przez wszystkich, bezwarunkowo, i przez każdego z osobna, aż do głębi, aż do dna żołądka. Chciał być kochany miłością pierwszą, świeżą, jak młody szczypiorek o pierwszej rosie. Ba, chciał być

wielbiony. Ubóstwiany. Wciąż, wciąż mu było mało. Zmieniał kochanki, rozpałał coraz to nowe serca, ale to nie wystarczało. Prowokował, wściekał się, brykał, zdradzał, a przy tym sprawdzał - czy wciąż jest miłowany? Bez miłości zamierał.

Teraz przysiadł na skraju łóżka, spojrzął spod oka na Ferdynanda, uśmiechnął się półgębkiem, rzekł:

- Mam panu pomóc rządzić miastem? Zgoda!

## 37

Karolina tymczasem o niczym nie wiedziała. Ona, która jeszcze niedawno musiała kontrolować wszystko, włącznie z wątrobą swojego męża, o całym zamieszaniu nie miała pojęcia.

Od rana do wieczora zajmowała się ogrodem. Podlewała, kopała ziemię, usuwała zwiędłe liście i zmarniałe gałązki, potem siadała na tarasie i popijając sok z wyciśniętych cytryn, patrzyła na trawę, liście, krzaki, grządki. Kwiaty moreli wyglądały, jakby były z różowego papieru. Lubiły wachać je koty - chodziły po gałęziach ostrożnie, żeby nie uszkodzić pąków. Najmłodszy czasem zapędzał się na sam szczyt i nie umiał zejść. Darł się wtedy wniebogłosey. Karolina podstawiała drabinę, wspinała się, zdejmowała zwierzątko i przyciskając je mocno do piersi, schodziła ostrożnie, szukając nogą szczebli.

Któregoś dnia, popijając poranną kawę, przeczytała w poradniku amerykańskiego ojca: „W interesach, tak jak w życiu, nie trzymaj się przesadnie wyjeżdżonych kolein”, i podjęła nagłą decyzję: pojedzie do Warszawy i zrobi z tym porządek. To znaczy z własną przeszłością zrobi porządek.

Do stolicy pojechała następnego ranka, bo postanowienia wypełniała szybko. Słońce tego dnia świeciło z wdziękiem. Tramwaj nie był zbyt zatłoczony, szyby zbyt zakurzone, podłoga zbyt śliska, a poręcze zbyt lepkie, więc wszystko zdawało się układać nadzwyczajnie.

Wysiadła z tramwaju, gdy tuż nad jej uchem rozległ się głos:

- Jak się pani miewa, czy już lepiej?

Odwróciła się - za nią schodził po schodkach Fiołkowy Beret. Nawet się nieco zmieszała. Ale zaraz wzięła ją złość, bo Beretu nie było w planach, a jak Karolina nie

lubiła niepotrzebnych frędzelków, farfocli, niesfornych kosmyków, tak nie znosiła spotkań ani zdarzeń, których nie miała w programie.

- Bardzo dobrze, śpieszę się.

Powiedziała to oschle i wyniośle, co nic a nic nie zraziło mężczyzny.

- Możemy przejść się kawałek razem, jeśli pani pozwoli, bo idę w tę samą stronę. Pani mieszka na Saskiej Kępie? Nigdy tu pani nie widziałem...

I tak rozmawiając o sprawach nieważkich, szli ulicami, a Karolina co chwila wpadała w złość, że traci czas na rozmowę z nieznanym, zamiast pędzić, pędzić. Nawet jeśli za bardzo nie wiedziała dokąd ani po co.

U wylotu Krynicznej stanęła, wyciągnęła rękę i rzekła zdecydowanie:

- No to ja się już z panem pożegnaj...

- Pani idzie do profesora? - zapytał miękko, wskazując głową na dom, obok którego stali.

- Do profesora? Ach nie. Wcale nie. - Karolina zmieszła się i od tego wpadła w złość: - Ja nie do niego - rzekła wieloznacznie.

Spojrzał na nią. A raczej położył na niej spojrzenie. Ugięła się pod tym wzrokiem i wyznała nieostrożnie:

- Szukam kogoś.

- Może mógłbym pani pomóc?

Dopiero teraz zauważyła, że mówił wolno, wyraźnie, a głos miał niski i taki męski, a mimo to tak ciepły, że można się było nim owinać. Ten głos był jak kocyk elektryczny - grzał i rozkładał. Zarumieniła się.

- Bo ja szukam, szuka... - chciała odwrócić uwagę od swoich policzków.

- Pani kogoś szuka?

- Och nie, nie.

Marzyła, żeby zapaść się pod ziemię. Znow palnęła głupstwo. .., Mężczyzna pochylił się w jej stronę i zachęcająco rzekł:

- Proszę mówić śmiało. Ja tu mieszkam trzydzieści lat, znam wszystkich w tej dzielnicy. Kto to jest?

- Starszy człowiek.

- Tu dużo starszych ludzi mieszka - powiedział i przyjrzał się jej uważnie. - Pokażę pani.

Poszli wolno ulicą Kryniczną. Mężczyzna w fiołkowym berecie mówił, wskazując domy:

- Tu mieszka lekarz z Sarajewa, elegancki pan, zabito mu syna, niech się tylko pani nie denerwuje. A w tym domu z werandą mieszka były generał. Nie chciał strzelać do stoczniovców w 1970 roku, więc go zdymisjonowano. Chodził po urzędach,

mówił, że szuka pracy. Pytali: A co pan robił ostatnio? Byłem generałem - odpowiadał. Jak na niego patrzyli! Generałem?! Jaką tu pracę można znaleźć generałowi? Nie wiedzieli. W końcu otworzył punkt napełniania gazem zapalniczek, kiedyś to był intratny interes, pamięta pani? A w tej willi obrośniętej bluszczem mieszka właściciel największego zakładu pogrzebowego w mieście. Dawniej budował wieżowce i kościoły, teraz groby. Mówi, że mu się to bardziej opłaca. Tak, droga pani, śmierć to bardzo opłacalny interes. Bardzo! Dobrze mieć takich sąsiadów, prawda? Jeden mnie wyleczy, drugi obroni, a trzeci robi okłady, he he, z piasku albo z gliny.

Po jego ustach błąkał się lekko ironiczny uśmiezek.

- A ja się nazywam Jan Dzwonnik i mieszkam tu.

Beret wskazał głową dom pod numerem 30. Patrzył wprost w puste okna na pierwszym piętrze. Stęknęła:

- A ja... ja właśnie pana szukam.

Uśmiechnął się. Nie wiadomo skąd, ale od początku o tym wiedział. Pchnął bramę, która otworzyła się z przeraźliwym jazgotem i zapraszającym gestem wyciągnął rękę.

## 38

Pociąg z Warszawy przyjeżdżał w sobotę w samo południe. Już pół godziny wcześniej Karolina dreptała nerwowo po peronie i wsłuchiwała się w gadanie szyn. Gdy wychodziła z domu, Mateusz spojrział na nią z wyrzutem z portretu w salonie. Wzruszyła ramionami.

- Nie będziesz mi urządzał życia - mruknęła. W progu jeszcze się odwróciła. - To jest mój przyjaciel, a tobie nic do tego. A pamiętasz tę blondynę z dużym tyłkiem, pielęgniarkę? - I trzasnęła drzwiami.

Zmierzając szybkim krokiem w stronę dworca, nie myślała o pielęgniarce ani o Mateuszu, ani nawet o przesłaniu dnia: „Nie pozwól, żeby twoje marzenia zarosły chwastami”. Myślała tylko i wyłącznie o tym, co Jan powie, kiedy zobaczy jej dom. Będzie zachwycony - tego była pewna.

Od chwili, gdy Jan pchnął bramę swojego domu, która przeraźliwie zazgrzytała, i rzekł: „Zapraszam” - tym swoim niskim głosem, od którego Karolina nie wiedziała, co zrobić z oczami, od tamtej chwili między nimi zawiązała się nić. Porozumienia? Sympatii? Sama już nie wiedziała, jak to nazwać, żeby nie nazwać zanadto.



Była u niego, na herbatce, dwa czy trzy razy. Nie podobało jej się.

- Ojej, jak tam ponuro! - opowiadała potem pani Podkolanko. Mieszkanie Jana było ciemne i wilgotne. Odkąd zmarła jego

żona, było też zaniedbane. A pewnie i przed jej śmiercią nie było lepiej, bo żona siedem lat chorowała na Alz-hei-me-ra, to znaczy na uciekanie pamięci, i on musiał ją ubierać, karmić, myć i po niej sprzątać.

- Najpierw zapomniała, jak się robi naleśniki. Całe życie była mistrzem od naleśników, a tu nagle przestały jej wychodzić - opowiadała Karolina sąsiadce. - Potem zapomniała, ile ma lat. W głowie była cały czas o piętnaście lat młodsza.

Jan postawił żonie na stolyczku nocnym zdjęcia. Każde z nich podpisał: To jest mój nieżyjący syn, Leszek. To moja córka, Martynika. Mój mąż, Jan. Strzałki narysował grubo, jeszcze je mazakiem poprawił.

Którejś niedzieli zjedli śniadanie w salonie, Jan wyszedł na chwilę, a kiedy wrócił, już go nie poznała. „Co pan tu robi? - krzychała. - Proszę natychmiast wyjść z mojego domu!”.

W następnych dniach chodziła chmurna od paproci do reprodukcji „Stasia” na ścianie i z powrotem, ledwie odrywając nogi od podłogi, a za każdym razem zahaczała biodrem o róg stołu. Zatrzymywała się gwałtownie, spoglądała na męża i mówiła ze smutkiem: „Przecież nie byłam złą żoną. To dlaczego mąż ode mnie odszedł? Dlaczego? - Patrzyła na niego oskarżycielsko, a jemu dreszcze latały po rękach. - Na pewno przez pana. Pewnie dlatego, że pan tu jest”.

Raz oświadczyła: „Idę do mamy” - choć jej mama nie żyła już ćwierć wieku. Założyła płaszcz, buty. Podbiegł do drzwi wejściowych i zamknął je na klucz. Złościła się: „Niech mnie pan nie zatrzymuje, bo zacznę krzycheć”.

Wymknął się za nią. Szedł od bramy, do bramy. Ona skręcała, przez plac, on za nią, od drzewa do drzewa. Ona do przejścia podziemnego, on za nią, od filara do filara.

O tym wszystkim Jan opowiadał Karolinie, gdy siedzieli w jego pokoju przy herbatce i herbatnikach z konfiturą z wiśni. Mówił pogodnie, bez pretensji do Boga czy do świata, co Karolinie bardzo się podobało. Bo Karolina lubiła szukać przyczyny swoich nieszczęść wszędzie i w każdym, byle nie w sobie. Taki już miała charakter.

Dreptała teraz nerwowo po peronie, myśląc, że Janowi musi być smutno w domu, w którym najnowszym przedmiotem był telewizor Rubin sprzed trzydziestu lat. Jego mieszkanie, dwa niewielkie pokoje, zagracone było starymi zegarami, komódkami i etażerkami różnych epok i stylów, choć najczęściej epoki gomułkowskiej. Do starych rzeczy Karolina nie miała serca.

Przedwojenny zegarek ojca przetopila na obrączkę dla Maciejki. *Choć to i tak nie pomogło jej małżeństwu, Aniele Strózu.* Stare zdjęcia bez zmrużenia oka przycinała nożyczkami, żeby jej się zmieściły w albumie. Przedwojenny patefon roztrzaskała. Nie pasował do jej nowych mebli. Zastąpiła go zgrabnym adapterem Bambino.

U mnie jest jasno i wesoło, Janowi się spodoba - myślała. Dom czyściutki, przytulne gniazdko i pachnie plackiem ze śliwkami. Wkoło las i sosny. A jaki ogród! Nawet w okienku śmietnika rosną kwiaty.

Z tego śmietnika była naprawdę dumna: domek z białej cegły, a do okienka wstawiła skrzynię z różowymi surfiniami. Okwiecony śmietnik widziała kiedyś w Holandii, ale w Polsce nigdy, przenigdy się z tym nie spotkała. Ludzie nadziwić się nie mogli. Błaznane kubły też lśniły czystością. „Niech się uczą cywilizacji europejskiej” - mruzczała w duchu do przechodniów, gdy zatrzymywali się, żeby popatrzeć na jej śmietnikowy ogródek. Mruzczała z wyższością.

Pociąg spóźnił się kwadrans. Gdy wreszcie wtoczył się na peron, Karolina była zniecierpliwiona do granic możliwości. Ale kiedy w oknie zobaczyła fiołkowy beret, białe loki i rozpromienioną twarz Jana, oblała się rumieńcem. Zamiast powiedzieć, jak zwykle w takich wypadkach: „Noo, ale się naczekałam, nogi mi odpadają ze zmęczenia, tej kolei nigdy nie można wierzyć”, wyszeptała:

- Pewnie jesteś zmęczony.

- Och, wcale nie - zaprotestował dziarsko. - A jak na ciebie patrzę, to już żadnego zmęczenia nie czuję.

Karolina zmieszała się i natychmiast porwała jego walizkę, bo uważała, że to ona powinna nieść, pchać i że w ogóle cały świat stoi akurat na jej głowie, ale Jan odsunął ją delikatnie: - Poradzę sobie. - Złapał Karolinę pod ramię i poszli przed siebie. A wokół roztaczali coś takiego, że ludzie oglądali się za nimi, uśmiechali pod nosem i już do końca dnia mówili „dzień dobry”, „dziękuję” i „kochanie”.

Janowi wszystko się podobało. Podobała mu się aleja lipowa, którą poszli z dworca, bo Jan nie chciał jechać taksówką. - Chcę na własne oczy zobaczyć, gdzie żyjesz - powiedział. A także wille w wielkich ogrodach w starej części miasteczka - jedne strzeliste i mroczne jak angielskie zamczyska, inne przytulone do ziemi, drewniane, z wielkimi werandami. A najbardziej, oczywiście, spodobał mu się dom Karoliny. Był to wprawdzie regularny klocek, z niewielkim ogrodem, ale za to jaki słodki! Stał nieco z boku, na wzgórku, nad samą rzeką.

Karolina zwykle pędziła do przodu, a właściwie była zawsze tam, gdzie dopiero miała się znaleźć. Kiedy była w domu, myślami już wędrowała po ulicy, a gdy szła ulicą - w myślach już opadała na kanapę w stołowym. A kiedy siedziała na tarasie, wtedy w swojej głowie kołysała się na hamaku na jakichś Hawajach albo w innej

pięknej krainie. Nic dziwnego, że wiecznie coś upuszczała, rozlewała i tłukła. Bo przedmioty trwały niekoniecznie w dwóch światach, niestety.

Nawet na ulicy - najpierw pędziła jej głowa, dopiero za nią reszta ciała. Karolina powinna żyć później - o sekundę, minutę, dzień, rok! W każdym razie nigdy nie żyła wtedy, kiedy należało.

Mateusz pędził inaczej - gnał, ale zawsze w jakimś celu. Dobiegał i przysiadał. A ona nawet kiedy przysiadała, to po to, żeby dalej wędrować w marzeniach.

Podobnie było teraz. Szli z Janem z dworca do domu, a Karolina już kręciła się po kuchni, podgrzewała zupę, kładła przy talerzach serwetki, zaglądała, czy kurczak już doszedł, a nawet już siedzieli po obiedzie na tarasie i rozmawiali o tamtych dniach, gdy on był młodym oficerem, a ona uczennicą szkoły handlowej i miała gruby war-kocz.

Jan przeczuwał to chyba, bo co chwila przystawał.

- Poczekaj - prosił. - Niech się przypatrzę tym drzewom. - Albo: - A więc tu robisz zakupy.

Odpowiadała nieuważnie, bo właśnie niosła dymiące talerze. Kiedy w swojej głowie była już przy szarlotce, Jan dopiero wchodził do ogrodu. Zatrzymał się na stopniach, zachwycił białymi różami pnącymi się po ścianie. Cierpliwie poczekał, aż Karolina otworzy wszystkie trzy zamki, a Karolina - jak zwykle - w głowie otwierała je o wiele szybciej, więc w rzeczywistości klucze bez przerwy klinowały się, chrzęszcząc niemiłosiernie, i nieruchomiały w dziurce.

- Pozwolisz?

Jan wyjął jej z ręki pęk kluczy i otworzył drzwi. Zrobił to z beztróską prostotą.

W przeciwieństwie do Karoliny żył dokładnie wtedy, kiedy trzeba. Jeśli myślał o przeszłości, to nigdy w tym myśleniu nie zatracił się do szczętu, a przyszłość, uważał, nadejdzie bez jego pomocy. Jan przywoływał czas do porządku. Żył tu i teraz i rozsmakowywał się takim życiem.

- Zostaw obiad - powiedział, biorąc Karolinę pod rękę. - Najpierw pokaż mi dom.

Zachwycił się kolorami jesieni w salonie, pochwalił żyrandol, ogarnął wzrokiem bibliotekę, zatrzymał się nawet przed portretem Mateusza. Długo badał jego twarz, po czym z szacunkiem rzekł: - To on - i lekko skłonił głowę.

Mateusz skrzywił się wprawdzie z niesmakiem, ale żadne z nich tego nie widziało, bo właśnie Karolina hałaśliwie odsunęła zasłonę, pchnęła drzwi na taras i stanęli tyłem do portretu, wdychając zapach czereśni.

Co wcale nie znaczy, że Karolina w ogóle nie myślała o Mateuszu.

Miesiąc wcześniej, gdy tylko poznała Jana, zastanawiała się, czy to wypada, żeby ona, wdowa, obcego bądź co bądź mężczyznę wprowadzała do domu, który zbudował jej mąż.

Te same myśli opadły ją w wieczór poprzedzający przyjazd Jana. Spłoszyła je groźnym mruknięciem:

- Przecież Mateusz i tak prawie tu nie bywał. Uciekał z tego domu. Do swoich kochanie. To kto ma za nim tęsknić? Ja?!

Wieczorem usiedli z Janem na tarasie, popatrując w gwiazdy i słuchając szelestu drzew. I wciąż na nowo zdumiewali się przewrotnością losu.

- Że też się wcześniej nie spotkaliśmy... - kręciła głową Karolina.

Co roku, na Powązkach, stali przy sąsiadujących ze sobą grobach.

- Nie widziałas mnie? - pytał Jan. -Nie.

Zaraz zaczęła się tłumaczyć, że myślała pewnie o swojej drużynowej i o świeczce, co się nie pali, i o zapalkach szturmowych, których nie kupiła.

Szumiała moreła. Karolina podsunęła Janowi jeszcze jeden kawałek szarlotki, bo kiedy darzyła kogoś głębszym uczuciem, za wszelką cenę chciała go karmić.

- Rzeczywiście, jak ja mogłam cię nie zauważyć, nie wiem -powiedziała, jakby popełniła straszny błąd. A przecież Jan, ze swoimi białymi lokami i agrestowymi oczami dziecka, tak bardzo rzucał się w oczy.

Jan wstał i z walizki wyjął szarą pękatą kopertę związaną gumką.

- A ja ci teraz, Kalinko, coś pokażę.

To były zdjęcia z Powązek. Groby, znicze, sztandary, ludzie w jednym wieku, tyle że na jednych zdjęciach starsi, na innych młodszy.

Jedno z nich Jan przytrzymał palcem:

- Calineczko, przyjrzyj się.

- Mój Boże, nikt nigdy tak jej dotąd nie nazwał.

- Widzisz?

Na zdjęciu, obok grobu, stał Jan. Z boku jego żona, szczupła pani w okularach. Jan wycierał chustką kotwicę na głazach.

Karolina założyła okulary i głośno wyliczała: .

- Zaraz, jesteś ty, wycierasz kotwicę, obok twoja żona...

- A z tyłu?

- A z tyłu... Ojej... To przecież... Chyba ja? Czy to możliwa? Mateusz!

Karolina zaczęła się śmiać nerwowo.

- Ale jak ty mnie w ogóle rozpoznałeś?

Na fotografii stała z mężem w głębi, za drzewem. Nie miała jeszcze czterdziestu lat. Włosy farbowane na jasny blond ułożyła w wysoki kok. Brwi bardzo grube i bardzo czarne. Na szyi apaszka w granatowe grochy.

- To musiało być, zaraz... Tego lata, kiedy pojechaliśmy do Jugosławii. Nie, wcześniej. Może byliśmy na Krymie? O nie, na Krymie miałam włosy czarne. Nie, wtedy, kiedy miałam ten kok, to jeszcze nigdzie nie jeździliśmy za granicę. Najwyżej nad Balaton.

Potem okazało się, że razem byli na Monte Cassino w pięćdziesiątą rocznicę bitwy, bo walczył w niej i Mateusz, i żona Jana, i że brali udział w uroczystym obiedzie.

- Ja byłam na piętrze, z prezydentem Wałęsą - pochwaliła się Karolina.

- A ja na parterze, z premierem. Pamiętam, ogłosili, że szukają lekarza. Jakaś pani zemdlą.

Karolina zachichotała.

- To ja poczułam się nagle słabo. Zamilkli. Znów wdychali zapach czereśni.

Potem Karolina przyniosła z sypialni kilka oklejonych papierem w słoneczniki pudełek po butach, w których zamknęła całe swoje życie.

Brała po kolei fotografie i z nabożeństwem wypowiadała obco brzmiące słowa: - Kolo-se-um, Aj-fel, Sztraus. Jeszcze raz wsiadała na wielbłąda w Egipcie i płynęła Canale Grandę w Wenecji. Znów wchodziła po stopniach Willi Axela Munthe na Capri.

- Tego pisarza szwedzkiego, napisał „Księgę z San Michele” - tłumaczyła. - Opisywał, jak starzy rybacy uciekają do jaskiń nad morzem, żeby tam, w samotności, czekać na śmierć. Piękne, prawda?

Spojrzeni sobie w oczy i poczuli, że myślą o tym samym, choć dokładnie nie wiedzieli o czym.

Karolina, jak to ona, zaraz się zmieszała i wróciła do swoich fotografii.

Znów jeździła na nartach przy księżycu.

- Mieliśmy wiązania zapinane na sprężyny. A jakie wtedy były wymyślne płatki śniegu! A pamiętasz kwiaty mrozu na oknach?! - Chwilę przeszukiwała zakamarki myśli, żeby odnaleźć słowo, które tu pasowało najlepiej: - Mis-ter-ne.

Jako pierwsza kobieta w powiecie prowadziła samochód, ich starą warszawę.

- Kiedy podjechałam pod urząd, to we wszystkich oknach pokazały się głowy.

Och, warszawa! Mateusz napisał podanie do ministerstwa o samochód. Argumentował, że jako zastępca dyrektora wytwórni mebli, które idą na eksport do ZSRR, musi jeździć po powiecie, a nawet dalej.

Czekali kilka miesięcy. Któregoś dnia w niebieskiej kopercie przyszedł polecony, a w nim zawiadomienie, że Mateusz dostał przydział na warszawę.

Pojechali po nią do stolicy. Mateusz opukał samochód, zajrzał do silnika, choć co on się na tym znał! Karolina siadła na miejscu obok kierowcy i starała się nie spoglądać na wszystkich z wyższością, choć wcale jej to nie wychodziło.

Wracali opłotkami, bo Mateusz jeszcze słabo jeździł. Mieli przed sobą równo sto kilometrów. Na czterdziestym kilometrze

Karolina spojrzała na szybkościomierz i krzyknęła: - Pędzisz jak wariat! Chyba chcesz, żebyśmy się pozabijali! - bo jechali prawie siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Mateusz ani myślał zwolnić, więc co kilka kilometrów Karolina głośno wykrzykiwała swój strach i obiecywała, że natychmiast wysiądzie, w biegu.

Na sześćdziesiątym kilometrze zobaczyli daleko na horyzoncie, wśród pól, ruszający się punkcik.

- Traktor! - zgadywała Karolina.

- Samochód - nie zgadzał się Mateusz.

- Co ty opowiadasz, oooo, samochód, na takim zadupiu! Czekali w napięciu ze wzrokiem utkwionym w punkt, który

powiększał się, nabierał kształtów, aż w pewnej chwili Karolina wykrzyknęła zdumiona:

- Saaamochód! Taki sam jak naaasz!

Też jechała w nim rodzina. Zbliżając się do siebie, oba samochody zwolniły. Mateusz, jak to on, zatrąbił na wiwat, roześmiał się radośnie, wystawił rękę przez otwarte okno i pomachał. Karolina wyprostowała się na swoim siedzeniu i dostojnie zajrzała w głąb tamtej warszawy, skąd równie dostojnie spojrzała na nią tamta żona. Na tylnym siedzeniu trzyletni Maciej piszczął z uciechy, a z tamtego wozu machała do niego dwójka przyklejonych do okna dzieci. Samochody minęły się wolno, wolniutko, zjeżdżając na sam skraj szosy, ustępując sobie wzajemnie miejsca. Tamten kierowca nie omieszkał zatrąbić na wiwat. Odjechały, każdy w swoją stronę, powoli nabierając szybkości, a dzieci machały, aż punkt zniknął na widnokręgu.

Całą dalszą drogę Karolina i Mateusz opowiadali sobie, jak wyglądał kierowca i że dzieci były starsze od Maćka i że żona kierowcy wcale nie była taka ładna, i że to miło, że kierowca też zatrąbił, i że ciekawe, gdzie jechali. Mówili tak, aż pojawił się staw, potem obóz Cyganów i napis z nazwą ich miasteczka.

O tym wszystkim Karolina jednak nie opowiedziała Janowi. Powtórzyła tylko:

- Byłam pierwszą kobietą w powiecie, która prowadziła samochód! Wtedy w ogóle jeszcze niewiele samochodów było na drogach.

Na co Jan odrzekł:

-Czasem przejechało się sto kilometrów i minął człowieka tylko jeden...

Uśmiechnęła się. Nie wiedzieć czemu poczuła się szczęśliwa

Zaraz się jednak przestraszyła i ostro rzekła, rzucając kolejną fotografię:

- A to mój mąż, Mateusz, i ja.

Znów stali pod wieżą Eiffla i zaglądali jej pod spódnicę. Znowu na baczność u stóp Sfinksa. Znów obejmowała Mateusza, który siedział jak król, jak władca, na motorze marki Junak koloru wiśniowego i uśmiechał się szelmowsko do fotografa.

- Lubił motor. Lubił pędzić przed siebie. I do czego to go doprowadziło, no, powiedz, Janku, do czego?

Jan taktownie milczał.

- Do grobu - odpowiedziała sobie Karolina i zaraz kontynuowała: - No i po co mu to było? Gdyby nie śpieszył się z tym karpem, to i oś by wyczuł, ale nie, on zawsze gnał, szybko, szybko, przed siebie, wyżej, wyżej. Jak on lubił być w centrum uwagi! Wszystko zrobił, byle błyszczeć. Spójrz, to on, sylwester pięćdziesiątego dziewiątego. Zawsze tańczył ze mną dwa, trzy tańce, a potem biegł do innych. Jak on lubił brylować!

Któregoś dnia przyjechał z Kanady wujek Karoliny. A był to chyba osiemdziesiąty rok, w sklepach pustki, w obuwniczym na półce smętnie stała jedna para butów, a na szybie zakładu fryzjerskiego ktoś napisał karminową szminką: *Golimy wyłącznie żyłką klientów*. W miasteczku nie było ani mięsa, ani wędliny, ani mleka, ani masła, nie było nic, prócz butelek octu i bloków twardego sera, a zatem zupełnie zrozumiałe, że i wina nie było.

Mateusz pojechał do miasta.

- Wszędzie miał znajomych, a jak umiał czarować, Janku! Wszyscy się na to nabierali, a kobiety przede wszystkim. Wchodził do sklepu i od razu do pani kierowniczkii: „To co ma pani dla mnie?”. Ona go ciągnęła na zaplecze. Najmodniejsze koszule, najlepsze sukienki, wszystko tam było!

W mieście nie znalazł nigdzie wina, więc poszedł do sklepu z dewocjonaliami (jak się one nazywały, ach, wyleciało mi z głowy, tyle słów mi ostatnio wyfruwa). Powiedział, że jego wujek przyjechał z Kanady i że wujek jest księdzem i mszę chce odprawić, ale nie może, bo wina nie ma.

I ty wiesz? Wrócił do domu z winem mszalnym! - Karolina roześmiała się głośno i zamaszycie. I już mknęła do następnej historii, tym razem o wujku z Kanady: - Przyjeżdża latem, ma ze sobą ogromną walizkę, w życiu nie myślałam, że takie walizki mogą istnieć, i w dodatku na kółkach, a w niej zawsze kilka garniturów, ale ja najbardziej lubię biały garnitur w lekkie, letnie prążki. Wujek wstaje codziennie rano i udaje się do łazienki. Tak, tak, on nie idzie, ale udaje się. W tej łazience siedzi godzinę, co ja mówię, półtorej godziny. Dochodzą do nas stamtąd tylko pluski, stuki, psikania, kla-

skania. Kiedy otwiera drzwi, cały przedpokój, a po nim i pokój wypełnia się zapachami mydła, wody kolońskiej i czystości. Jak on pachnie, kurczę, jak on pachnie! Ludziom na Zachodzie nie zazdrościłam dużych samochodów ani pięknych domów. Zazdrościłam im zawsze zapachu. Pamiętam, jak chodziłam po Berlinie i wokół mnie krzyżowały się smugi zapachów. Pewnego dnia nie wytrzymałam i poszłam za taką smugą. Ciągnęła ją za sobą pewna kobieta w czerwonym kapeluszu, wcale nie taka młoda, ale szczuplutka, a jaka wyprostowana, i garsonkę miała tak dopasowaną, że jak szedł szew, to prosto i zdecydowanie jak strzała. Mateusz ciągnie mnie w bok, skręćmy, mówi, a ja nie, idę twardo krok w krok za kobietą w czerwonym kapeluszu i wdycham jej zapach, i gdybym tylko mogła, tobym ten zapach zgarnęła ręką, schowała do butelki i zabrała ze sobą. Zaraz potem, nic nie mówiąc Mateuszowi, kupiłam osiem mydełek Lux, białych i różowych, osiem! Przemyciłam je do kraju. Przemycaliśmy wtedy dwie książki Solżenicyna, plakat z erłem w koronie, no i moje luxury. Miałam je jeszcze wiele, wiele miesięcy; kiedy je zużyłam, to wcale ich nie wyrzucałam, tylko takie ostatnie ogryzki wkładałam do siatki po cebulach, moczyłam w gorącej wodzie, robiłam z nich kulkę i jeszcze używałam. Aż do ostatniej ociupinki.

Przerwała, żeby dolać herbaty. Jan milczał. Zapewne domyślił się, że Karolina tego wieczora nie przestanie mówić.

- Rok temu byłam na lotnisku we Frankfurcie. Wielkie, a ludzie tacy elegancy, włosy krótko ostrzyżone, mężczyźni tak czysto ogoleni, jakby w ogóle brody im nie rosły. Naraz słyszę stukanie, stuk-stuk, i ze stukaniem terkotanie, raz stukanie, raz terkotanie i było coraz bliżej i bliżej. Ludzie zaczęli się rozglądać i szukać, skąd ten dźwięk dochodzi. Aż zobaczyli! Z bocznego korytarza wyszła pani. Ale jaka! Co za ubaw! Biegł przed nią jamnik ubrany w kamizelkę w czerwono-granatową kratę. Pani wyprężoną smycz trzymała w prawej ręce, w lewej ciągnęła za sobą wielką walizkę na kółkach. Obcasy stukały, walizka terkotała, stukanie-terkotanie-stuk-ter-stuk-te-stu-te. A pani miała duży czerwony kapelusz. Minęła mnie i daję słowo! To był ten sam zapach. To musiała być ona! Aż się zachłysnęłam tym zapachem. A pani poszła dalej i znów stukały obcasiki, terkotały kółka walizki, coraz ciszej i ciszej, ludzie uśmiechali się do siebie pod nosem, a ja jeszcze wdychałam resztki zapachu, choć już rozwiewał się w powietrzu. Kiedy stukot obcasów nikał, pomyślałam, że oto moje życie się kończy. Dwa tygodnie później Mateusz zmarł.

Karolina urwała dramatycznie. Zrobiło jej się strasznie żal tej starej kobiety, którą była, i tego życia, które, czuła to, już się zamykało.

Było cicho. Gdzieś zaszczekał pies. Podniósł się wiatr i dla zasady potarł nos o jaśmin.



Jan położył swoją dłoń na jej dłoni, aż Karolinę przeszył dreszcz. Uśmiechnął się łobuzersko.

- Tak się śpieszysz do Zakopanego? Szybciej mnie przyjdzie spakować walizki! Pamiętaj: nie waż się umierać przede mną! Bo cię za nogę na ziemię ściągnę!

Roześmiała się. Wyobraziła sobie, jak płynie w obłoczkach, w swojej różowej koszuli nocnej z koronką na piersi, koszula oblepia jej uda w sposób nieprzyzwoity, a Jan, na ziemi, podskakuje, usiłując złapać ją za piętę. Skacze coraz wyżej i wyżej, wreszcie udało się, chwycił ją w kostce, ale zamiast opaść na ziemię, płyną teraz oboje wśród obłoczków, a on tak śmiesznie majta w powietrzu tymi swoimi chudymi nogami.

Zerwała się.

- No, trzeba naczyńia pozmywać.

- Pomogę ci - zaoferował się Jan.

Wnieśli fotele do pokoju. Karolina zamknęła drzwi na taras, zasunęła zasłony. Gasząc światło, mimochodem spojrzała na Mateusza. Wydało jej się, jakby, lekko zdziwiony, podniósł brwi.

- Czego ode mnie chcesz? - rzuciła w jego stronę nieprzyjaźnie. - Nawet umrzeć porządnie nie umiałeś.

Wyszła z pokoju dumnie wyprostowana, wołając do Jana o wiele za głośno:

- Już idę do ciebie!

Ani on, ani ona, ani nawet Mateusz nie wiedzieli, że w tym czasie pod ziemią działały się straszne rzeczy. Korzenie brzozy, którą zasadziła Karolina, choć Mateusz zawsze się temu sprzeciwiał, zaczęły ciągnąć do wody. Przebiły się wolno przez ziemię, przypelzły aż do drenów, odnalazły w nich dziurki i jeden korzeń po drugim zaczęły prześlizgiwać się przez nie do środka, do rur. Już coraz więcej korzeni i korzonków ciągnęło w tamtą stronę, zwijało się i pchało do przodu, do wody.

## 39

Ferdynand Trafny kręcił się w fotelu, popatrując ponad gazetą na swoją żonę Annę. Talibowie zatrzymali ośmiu pracowników charytatywnej organizacji Shelter - jaki ma dziwny kolor włosów - i oskarżyli o szerzenie chrześcijaństwa - a ta sukienka!, w dodatku zielona - za co grozi im kara śmierci - coś się w niej zmieniło, ale co? Może to wina Mateusza? A może nie powinienem jej pozwalać na pracę?

Pewnego dnia Anna, układając nieuważnie sztuce do kolacji, rzuciła mimochodem, że od jutra idzie do pracy.

Ferdynand odpowiedział: - Dobrze - bo był człowiekiem ze wszech miar nowoczesnym, a poza tym nie zgadłby, że zacznie mu Anny brakować. Czy może brakować kogoś, kogo prawie nie ma? Oczywiście, nie licząc dziwnego kapelusza.

Anna zatrudniła się w Galerii Starych Samowarów, jak ładnie nazwano dwa niewielkie pomieszczenia w suterenie, zastawione bibelotami oraz meblami różnych epok i stylów.

- Będziesz wyglądać jak te stare lampy o wyliniąłych kloszach - przepowiadał Ferdynand Trafny, który bywał okrutny.

Jednak wśród starych mebli Anna ożyła.

Od dziesiątej do osiemnastej podpatrywała, jak żyją stare przedmioty. Początkowo żyły wedle żelaznych reguł. Krzesła stały wokół stołu, serwety z koronki leżały na stole, zastawa stołowa stała na stole przykrytym serwetami.

Anna przestraszyła się, że w końcu przedmioty zapadną w stupor. Też są przecież stworzone do życia, no nie? Dlatego co wieczór zapalała świeczniki, filiżanki napełniała dymiącą herbatą, na sekretkach stawiała otwarte kałamarze, liczyła krokami - krok - swój krok. A w każdy piątek po zachodzie słońca brała hebanową rączkę do przewracania stron Tory i czytała na głos Stary Testament.

Po miesiącu jej przedmioty zaczęły żyć zupełnie nieprawidłowo. Porcelana nie protestowała, że stoi obok cynowego czajnika. Czarnoskóra Madonna z niebieskimi oczami pogodziła się, że wisi wśród portretów zamojskich Żydów, nañiałowanych przez księdza Pacyfika. W szafie na niedźwiedzich łapach stały księgi pisane z lewej do prawej, z prawej do lewej i z góry na dół, a żadna z nich się nie puszyła, że jest poprawniejsza od innych.

Czasami Anna urządziła w pustym sklepie przyjęcia. Wyobrażała sobie, że zaprasza Mateusza. Przychodził, jak zwykle nie-punktualnie, roztargniony, w niebieskiej koszuli i żółtym krawacie w zielone jaszczurki. Pośpiesznie łykał gorącą herbatę, a potem brał się do roboty. Przystawiali razem przedmioty, robiąc z nich najdziwniejsze kompozycje.

Rzadko kto je widział, bo do Samowaru nieczęsto zaglądali ludzie. Czasem ktoś kupił srebrną cukiernicę na prezent albo ikonę, żeby ją przemycić do Izraela.

Anna do domu wracała późno, wychodziła rano. Do łóżka wchodziła chętnie, ale natychmiast zasypiała. Młodniała. Piękniała. Robiła się coraz wyższa.

Ferdynand najpierw robił kąśliwe uwagi. Potem milczał wymownie. Później rzucał ironiczne spojrzenia. Wreszcie zakochał się. We własnej żonie się zakochał.

Początkowo jednak wcale o tym nie wiedział. Po prostu zaczęło go naraz irytować spojrzenie, jakim błędziła ponad jego głowę. Kiedy stawała przy oknie, odwrócona do niego tyłem, miał wrażenie, że swoimi wąskimi plecami obciągniętymi nową białą bluzką w granatowe kropeczki wznieca bunt przeciw niemu. Co mówię - wznieca rewolucję!

Z niewiadomych przyczyn Ferdynand Trafny stał się wybuchowy. Innym znów razem wpadał w ton płaczliwy, co do niego było niepodobne. Stale bombardował Annę pytaniami - co robiła, co będzie robić, gdzie wychodzi, po co i o której wróci. Czemu tak późno? - marudził.

Chciała odpocząć, ale chodził za nią po mieszkaniu krok w krok. Przynosił jej dyumiący kubek herbaty afrykańskiej. Głaskał ją. Masował kark. I mówił. Cały czas mówił. Z Ferdynanda słowa lały się ciurkiem, jak woda z zepsutego kranu. Że wybory na pewno wygrają ekskomuniści, że z tym narodem nic się nie da zrobić, że należyłożyć więcej pieniędzy na jego edukację, że średni wiek traktora w Polsce wynosi szesnaście lat, gdzie tu więc mowa o postępie, że na świecie na pewno dojdzie do tragedii, mówię ci, tragedii!, i wszystko dlatego, że go nikt nie słucha. Że świat zachodni jest cywilizacją śmierci, że panuje kult hamburgera, że bogowie umierają, że świat wisi na krawędzi, więc nie ma po co kupować działki na wsi, bo przyszłość, jaka ich czeka, jest pozabawiona jakiegokolwiek sensu, nawet namiastki sensu, jest niczym innym, tylko, ot, chaosem.

Najgorzej było nocą. Anna już powoli, powoli wsuwała się w sen, kiedy on budził ją ostrym szarpnięciem. Po czym oskarżycielsko wpatrywał się w jej twarz.

I tak było przez całą noc. I tak co noc.

Nie było wątpliwości: Ferdynand z miłości wariował.

## 40

W piątek („Przytul krowę”) przyjechała Maciejka z nowym narzeczoną. Akurat siedzieli w salonie i Jan masował Karolinie rękę, którą wywichnęła dwa lata temu i która odtąd nie dawała jej spokoju. Robił to z taką uwagą, jakby nie rękę masował, ale diamenty. Karolina co chwila spozierała na portret Mateusza, z triumfem, pilnując, czy wszystko widzi, i mówiła do niego w duchu: Co powiesz? Przypatrz się, jak należy się obchodzić z kobietą! A ty nigdy mnie nie masowałeś. Nigdy! A jak brzuch mi rozrywało, to nawet nie wezwałeś pogotowia,. Stałeś tu, w tych drzwiach, i mówiłeś:

„Nic ci nie jest”, a w oczach miałaś taki strach. Sama musiałam jechać do szpitala i zaraz poszłam pod nóż.

Nowy narzeczony Maciejki był niskim mężczyzną z dużą łysą głową umieszczoną na szyi tak cienkiej, że Karolina bała się, że mu głowa zaraz z niej spadnie. Wyglądał dość zabawnie w obszernych wojskowych spodniach do kolan, które miały mnóstwo po-naszywanych kieszeni.

Karolina zlustrowała go, ale dyskretnie, żeby Maciejka nie widziała. Jej córka była jak ptak - łatwo ją było spłoszyć. Nawet gdy siadała, to niezupełnie, nie do końca, pośladki ledwo dotykały krzesła i palce już nerwowo bębniły po stole. W ogóle Maciejka wyglądała, jakby była nie tu i nie w tej chwili, ale gdzieś pomiędzy. Pomiedzy miejscem, w którym właśnie się znajdowała, a miejscem, w którym chciała być. A zawsze chciała być gdzie indziej.

W głębi duszy Karolina bała się, że któregoś dnia Maciejka odleci.

Kiedyś już zniknęła - wyjechała do Francji na wakacje i została siedem lat. Karolina źle wspominała ten okres. Pisały do siebie długie listy pełne pretensji. Raz na pół roku rozmawiały przez telefon. Kłóciły się zażarcie. Karolina pytała córkę, co jadła na kolację i czy nosi ciepłe majtki.

- Mamo, jesteś gorsza niż czerwony! - wrzeszczała Maciejka do słuchawki. - Co cię obchodzi, czy noszę ciepłe majtki?!

- No i, oczywiście, nie nosiła - opowiadała Karolina pani Pod-kolanko, z satysfakcją osoby, która miała rację. - Przez to ciągle przeziębiam sobie pęcherz. Ma za swoje!

Jeszcze kilka lat temu Karolina mówiła głosem cierpiętnicy:

- No i co, sama chcesz zostać w życiu? Kto ci poda szklanek wody na starość?

Maciejka ucinała niezmiennie tak samo:

- W domu starców, mamo, zaopiekują się mną jak należy. Potem już tylko raz Karolinie się wyrwało:

- Syn pani Podkolanko to taki obrotny młody człowiek...

- Ale ma koślawe ucho - odparowała Maciejka.

- I co z tego?

- Nie mogę związać się z człowiekiem, który ma koślawe ucho.

- Ale ty wychodzisz za człowieka, nie za jego ucho! - prychnęła Karolina ze złością.

- Ja, mamo, nie wychodzę za mąż. Ty nigdy nie wyjdiesz za mąż!

- A po co miałabym wychodzić? Karolinie na chwilę odjęło mowę. Potem pomyślała: No właśnie, po co? Jak ma się męczyć z mężem tak, jak ja się męczyłam z Mateuszem, to już lepiej niech nie wychodzi. Ale na wszelki wypadek, żeby mieć ostatnie słowo, powiedziała:

- Zobaczysz, skończysz jak ta słynna dziennikarka włoska. Siedzi wa-par-ta-men-cie w Nowym Jorku, sama, zamknięta na cztery spusty i wariuje od tego.

Pomyślała jeszcze, patrząc na Maciejkę: Połykają życie szybko, jak hamburgery. A najchętniej chcieliby mieć Dwa w Jednym, Trzy w Jednym, Dziesięć w Jednym. Chcieliby przeżyć w jednym życiu dziesięć żyć.

Maciejka, tak przynajmniej podejrzewała Karolina, chciała mieć i nie mieć męża, mieć i nie mieć kochanka, mieć i nie mieć dziecka, chciała być w Polsce, a jednocześnie w Indiach, w Egipcie, w Indonezji, w Algierii, chciała i pisać, i żyć, i być wolną i zniewoloną, niezależną i związaną, chciała być i katoliczką, i buddystką, i może nawet trochę muzulmanką, ale też agnostyczką, chciała być i liberalna, ale i trzymać się zasad. Przeżyła już w swoim życiu kilka żyć - walczyła z komunistami, mieszkała w USA i we Francji, jeździła na wojny. A wciąż chciała więcej!

- Nienasycona - westchnęła Karolina.

Czasem przychodziło jej na myśl, że Maciejka zmienia mężczyzn, jak ona musztardy. Smakuje, smakuje w poszukiwaniu tej jednej jedynej, już jej się wydaje, że znalazła, a potem znów jej się nudzi i szuka dalej. Ile rodzajów czosnków marynowanych Karolina zdradziła w ten sposób! Ile majonezów, korniszonów, szynki, makaronów, kaw. Tak samo Maciejka postępuje z mężczyznami. Owszem, angażuje się - troszeczkę. Chciałaby mieć zawsze w kieszeni bilet *open*. Może nawet by się zgodziła na małżeństwo - pod warunkiem, że byłby to kontrakt tymczasowy. No dobrze, z możliwością prolongaty.

Ale o tym Karolina nie mówiła na głos. Kilka lat temu Maciejka przysłała jej ostry list z żądaniem, żeby przestała interesować się jej mężem, jej ubraniami, majtkami i w ogóle jej życiem. Przy okazji napisała, że w domu stworzyli z Mateuszem piekło, istne piekło, że ona, Karolina, jest egoistką, egocentryczką i słoniem w składzie porcelany, w dodatku apodyktycznym słoniem, który chce, żeby wszystko działało się wedle jego widzimisie, i że ona, Maciejka, musiała przed nią uciec aż do Francji. Słowem, w liście winiła ją za całe jej - Maciejki - życie, nawet za to, że pali papierosy i że wyklóca się ze sprzedawczyniami w sklepach, kiedy więc Karolina to wszystko przeczytała, powiedziała sobie: Koniec. Nie obchodzi mnie jej życie. I list porwała na strzępy.

Maciejka nie знаła Jana. Zdziwiła się na jego widok, ale zdziwienie szybko pokryła uśmiechem; przedstawiła narzeczonego, zostawiła ich razem, a sama pobiegła obejrzeć dom. Robiła to zawsze, kiedy wracała z zagranicy. Im było niebezpieczniej, tym dłużej trwało powitanie.

Weszła do sypialni matki, omiotła ją spojrzeniem, jakby ją stwarzała: oto szerokie łóżko z zieloną narzutą zrobioną szydełkiem, a oto mały pokój, książki stoją w karnych

rzędkach na półkach, w barku karafka ze szlifowanego szkła, napełniona do połowy wiśniówką, kuchnia - furkocą czerwone zasłonki z falbankami, wściekle ryczy czajnik, oto schody do piwnicy, na ścianie tancerka hiszpańska i tancerz z twarzami Karoliny i Mateusza, oto garaż, zakurzone słoiki i pajęczyny, narzędzia, wino w beczułkach.

Narzeczoncy okazał się prawnikiem i z nieco prowincjonalną galanterią całował rączki Karoliny i pukał do serduszka Maciejki. Mimo to Karolinie się spodobał, bo chętnie zdjął karnisz w salonie i nawet zaofiarował się, że go naprawi. Był to pierwszy narzeczoncy Maciejki, który potrafił obracać śrubokrętem. Inni to takie wymoczki - pomyślała Karolina i w myślach pogardliwie wydeła usta. - Umieci pięknie mówić o starożytnych filozofach, ale nie potrafili zainstalować żarówki. Ani ciepłi, ani zimni, ale rozmokli - przypomniała sobie skargę któregoś ze starodawnych pisarzy i dodała w myślach: - Nie to co Mateusz.

Westchnęła. Przypomniała sobie, że Mateusz sam - własnoręcznie - położył terakotę na tarasie. Wprawdzie się nieco wybrzuszyła po pierwszej zimie, ale kiedy poprawił, to już było dobrze. A ile musieliby wydać na glazurnika! Zrobił kominek w salonie, a także piękny zegar słoneczny na głównym placu miasta, czym wszystkich zachwycił. Jak chciałeś, to potrafiłeś - przytaknęła Karolina gwoli sprawiedliwości, rzucając szybkie spojrzenie na portret. - Tylko dlaczego ten zegar zrobiłeś za darmo?! Innym lekką ręką rozdawałeś pieniądze, a mnie przez trzy lata nie chciałeś kupić zimowego płaszcza!

Mateusz na pewno nie był rozmokły. Mateusz aż parzył. Karolina mawiała, że można się od niego zająć ogniem, bo kiedy wchodził do pokoju, to wszyscy podrywali głowy. Jakby przez nich przeleciała iskra.

Mateusz był ciekawy wszystkiego i wszystkich - bogatych, biednych, kulawych, piękniśców, morderców, staruszków, księży, aniołów. W Maciejce była ta sama żarłoczność na świat. Oboje mieli w sobie niepokój. Mateusz lubił skakać w ogień, Maciejka pisała o wojnach i terroryzmie. Co ją w tym pociąga? - zastanawiała się czasem Karolina, czytając kolejny artykuł o tym, jak islamiści egipscy wdarli się do świątyni tej kobiety faraona i rozsiekli seriami z karabinu maszynowego kilkudziesięciu turystów, a wśród nich japońskie panny młode. O, te szczególnie zapadły Karolinie w pamięć.

Czasem, ze strachem, myślała, że Maciejkę fascynuje śmierć.

- Interesują mnie fanatycy - tłumaczyła teraz Maciejka Janowi, kołysząc się na krześle i prężąc w górze kolejne palce: - Jak myślą, czemu zabijają, w co wierzą, czego chcą.

Karolina westchnęła z troską:

- Ja tam boję się islamu.

- To fanatyzm jest groźny, nie islam czy jakakolwiek inna religia. - Maciejka wzruszyła ramionami. - Boję się, że to wszystko skończy się pogromami. Żyjemy w globalnej wiosce...

- No tak, świat się skurczył - wpadła jej w słowo Karolina.

- I choćby dlatego jesteśmy coraz bardziej odpowiedzialni za świat.

Karolina spojrzała na Maciejkę spod oka, westchnęła wymownie i wieloznacznie. Maciejka, niezrażona, kontynuowała:

- Pamiętacie, jak Polska sprzedawała broń w czasie wojny Iranu z Irakiem? A jeśli któregoś dnia ktoś wystawi nam za to rachunek? Będziemy się bronić, powiemy: Ależ my tylko sprzedawaliśmy broń! A oni powiedzą: Sprzedawaliście broń naszym wrogom, więc w tej wojnie walczyliście po przeciwnej stronie. Albo sprzedajemy broń reżimom, albo bierzemy od nich ropę i dzięki nam te reżimy trwają. Ciągłe bierzemy udział w jakiejś wojnie, nawet jeśli jesteśmy od niej oddaleni o tysiące kilometrów. Nawet wtedy, kiedy jemy kolację w restauracji, kupujemy kwiaty, zmywamy, oglądamy telewizję, kochamy się i już nawet nie pamiętamy, że gdzieś toczy się wojna, nawet wtedy bierzemy w niej udział i również wtedy możemy w niej oddać życie.

- Chciałem zaznaczyć - przerwał prawnik - że nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie likwidował handlarzy bronią. Nie mówiąc już o tym, że my sprzedawaliśmy broń i Irakowi, i Iranowi, po równo. A poza tym teraz mamy erę globalizacji. Będzie coraz lepiej. Coraz więcej kapitalizmu, demokracji, praw człowieka...

- No właśnie - przytaknęła Karolina, bo jak wierzyła w postęp techniczny, jak wierzyła w postęp obyczajowy, tak wierzyła, że cały świat nawróci się na kapitalizm i demokrację. Kapitalizm zachwycał Karolinę. Kiedy Maciejka narzekała, że staruszki popatrują przez szyby na plasterki szynki, ale stać je tylko na smalec, Karolina mawiała: „Ja tam wolę kupić sobie dwa plasterki mortadeli i w dodatku w takim ślicznym sklepie, niż cały blok szynki w PRL-u. Komuna mnie u-po-ka-rza-ła”.

Karolina zauważyła jednak, ze zdumieniem i na marginesie, że w kapitalizmie zebracy przenieśli się spod kościołów pod banki i że odmłodnieli. Odmłodniały też babcie klozetowe, a nawet, na dworcu w jej miasteczku, raz trafiła na toaletowego dziadka, i to młodszego od jej syna. Musiała wtedy przyznać, choć niechętnie i głęboko w duchu, tak, żeby nikt nie usłyszał, że kapitalizm miewa również nieco ciemniejsze strony. Ucieszyła się nawet, że jest już na emeryturze. *Och, drogi Aniele, przynajmniej nie muszę szukać pracy!*

- Świat się skurczył? - zaperzyła się Maciejka. - Racja. Ale nie tylko dla kolesia ze złotą kartą kredytową, również dla ob-dartusów z Trzeciego Świata, tak, kochany - pacnęła prawnika w pierś - nie krzyw się, również dla tych, którymi wy tak pogar-

dzacie. Pewnego dnia zapukają do naszych drzwi. Przyjdą tu i obetną głowy redaktorom, którzy nie chcą pisać o Trzecim Świecie i położą je na progu ich domów.

Maciejka zakończyła triumfalnie, a Karolina wstrzymała oddech i oblała się rumieńcem. *Drogi Aniele, czy ona zawsze musi z czymś wyskoczyć?* - pomyślała i zerwała się na równe nogi, wołając, że w kuchni zupa gotowa.

Akurat narzeczony uporał się z karniszem. Wypili po kubku barszczu zrobionego „tymi ślicznymi rączkami” i Maciejka wyfrunęła z domu, biorąc prawnika na spacer. W ogrodzie jeszcze chciała coś powiedzieć o tych głowach i terrorystach, ale Karolina zamachała rękami i zawołała:

- Idźcie już, idźcie.

Wróciła do pokoju zaczerwieniona i podenerwowana.

- Maciejka ma zdecydowane poglądy... - zauważył Jan. Ślęczał w salonie nad starym mosiężnym świecznikiem z obluzowanymi koszyczkami na świece. Rozłożył gazety, odkręcił podstawki, oczyścił jedna po drugiej. Jak Karolina lubiła karmić tych, których kochała (mimo że wcale nie przepadała za go-towa-niem), tak Jan lubił im naprawiać świat.

- Zawsze taka była. Nigdy z prądem, zawsze w opozycji.

- Takim osobom nie jest łatwo w życiu - powiedział, dokręcając obciążkami mosiężne koszyczki.

- Oj, nie jest. Ludzie nie lubią, jak im ktoś wiecznie staje okoniem - powiedziała. Poczuli się nieswojo, że nic nie robi, kiedy Jan pracuje, ale na szczęście dostrzegła jeden obluzowany guziczek przy jego koszuli.

- Zdejmij, przyszyję ci. Obruszył się.

- A jak Maciejka wróci? Jak ja będę wyglądał z nagim torsem?

- Przyniosę ci koszulę Mateusza.

Poszła do sypialni i wyjęła z szafy koszulę w cienkie niebieskie prążki, z kołnierzykiem zapinanym na guziczki.

- Jestem chudszy niż twój mąż - orzekł Jan, wkładając koszulę. Rękawy też były za długie.

Przez ułamek sekundy Karolina zobaczyła Mateusza, w takiej samej koszuli, jak czterdzieści lat wcześniej, na balu sylwestrowym, jedną ręką obejmuje przyjaciela, tego, który miał wszechświat w stołowym, a drugą wznosi kielich i śmieje się, jak to on, całym sobą. Może jakiś żarcik powiedział? Na pewno nieprzyzwoity. I na pewno zaczął się śmiać, zanim go jeszcze skończył, bo co jak co, ale dowcipów to Mateusz nie umiał opowiadać. Ale za to śmiał się tak smacznie, że inni natychmiast jego śmiech podchwytywali. Zobaczyła go więc, jak się śmieje i na pewno już tryska śliną



(Nigdy nie umiał zapanować nad fizjologią - stwierdziła w myślach), i jak odchyła się ze śmiechu w tył, a koszula aż się napręża od tego ciała, od mięśni, od tego życia, które pod nią grało.

Zobaczyła jeszcze Mateusza, jak w nocy pochyla się nad nią - a pachnie landrynkami - jak dyszy, palce mu się ślizgają na guzikach koszuli, jak się gubią, wymykają, aż w końcu jednym zdecydowanym ruchem podrywa koszulę i ściąga ją przez głowę.

- Poczekaj, podwinę ci rękawy. - Karolina rzuciła się w stronę Jana.

Koszula była o wiele za duża. Jan może nawet był takiego samego wzrostu, jak Mateusz, ale szczuplejszy, delikatniejszy. Twarz też miał subtelną, czysto ogoloną i pogodną - twarz starszego pana z klasą. O tak, Jan był dokładnie taki, jaki powinien być mężczyzna, no może z tym wyjątkiem, że mógłby być potężniejszy. To zabawne, myślała Karolina, że dopiero w tym wieku jej się to przytrafia.

Jan miał włosy zawsze starannie uczesane i wody kolońskiej używał z umiarem. Nie to co Mateusz! Och, Mateusz... Mój Boże, jemu zawsze sterczał jakiś kosmyk i dopiero w samochodzie, przeglądając się w lusterku, starał się go zdyscyplinować. Pluł na rękę i przyklepywał włosy. Zawsze wylewał na siebie z pół butelki wody kolońskiej. Och, jakież on był tandetny - pomyślała teraz Karolina. - A jak się śmiał, to zawsze strzykał śliną, a czasem jedzeniem. Przepraszał, wycierał usta ręką, ale wciąż nie przestawał się śmiać. Jakież on był try-wiał-ny!

Karolina przypomniała sobie, jak Mateusz ziewał głośno i jak przeciągał się rano przy stole, tak szeroko, jakby chciał objąć cały świat, a w dodatku miał na sobie męską koszulę z siatki, pod którą wyraźnie było widać jego sutki. Przypomniała sobie, jak trzaskały wtedy stawy jego rąk i żuchwy.

Karolina sama przed sobą nie chciała się przyznać, że przy Mateuszu i ona stawała się tandetna: nerwowy babsztyl z pretensjami. Któregoś dnia obsztorcowała malarza. „To jest źle zrobione - rzekła cierpko, odrywając paznokciem kolejny zastygły w farbie, włos z pędzla. - Za to, ile panu płacę, to tu aniołki powinny fruwać i malować ścianę złotymi pędzelkami!”.

Poszła do łazienki umyć ręce, spojrzała w lustro i naraz zobaczyła swoją twarz - była to zła twarz. Karolina przestraszyła się samej siebie. Tyle muszę się nauczyć z tą komuną - pomyślała na swoje usprawiedliwienie. I zaraz dorzuciła: No i z Mateuszem.

Co innego teraz, przy Janie!

Jan miał taką klasę, że i ona zaczęła poruszać się z wdziękiem. Głos już nie był taki krzykliwy, ruchy nagłe, słowa szorstkie. O, Karolina wcale a wcale nie przypominała samej siebie. Uśmiechała się. Nawet gdy była sama w łazience!

Kiedy wieczorem, już po kolacji, Karolina szczotkowała włosy przed snem, ubrana w powiewną koszulkę nocną, i uśmiechała się do lustra, do łazienki weszła Maciejka.

- Szukam jakiegoś kremu do rąk. - Sięgnęła po tubkę z rumiankiem i nacierając sobie dłonie, mimochodem rzuciła: -Wiesz, podoba mi się Janek.

Karolina z ulgą odetchnęła. Zaraz zganiła się w duchu: A co mnie to obchodzi!

## 41

W poniedziałek Jan postanowił przyciąć obumarłe gałęzie czereśni. Karolina protestowała, ale potem pomogła mu ustawić drabinę pod drzewem i trzymała ją mocno, kiedy on stał w gałęziach i szczekał sekatorem.

Jan wszystko, co robił, wykonywał z niebywałą uwagą. Z uwagą ciął gałęzie, naprawiał radio, z uwagą słuchał Karoliny, nawet wtedy, gdy budowała piętrową opowieść pełną szczegółów i drobiazgowych obliczeń, w których co i rusz się gubiła. Można by powiedzieć, że Jan żył z uwagą, zawsze starannie ogolony, w pięknie wypastowanych butach, wierny przyjaciołom i żonie - aż do śmierci.

Teraz z taką samą uwagą sadzał Karolinę trzy razy dziennie na krześle na środku pokoju, przekrzywiał jej głowę i wpuszczał do jej uszu po trzy krople lekarstwa, które odliczał głośno i wyraźnie.

Karolina siedziała na swoim krześle jak na stosie. Ona, która zawsze goniła przed siebie, a jeśli usiadła, to tylko po to, żeby wyfrunąć w marzenia, tkwiła teraz na środku pokoju, przerażona, i w myślach odliczała razem z Janem krople wpadające do ucha: raz, dwa, trzy. Natychmiast, w czarodziejski sposób, przestawała myśleć o pykających w kuchni ziemniakach i że trzeba kupić nową spłuczkę do toalety, a nawet zapominała o ostatniej kochance Mateusza, która nie wiadomo kim była. Nic, tylko siedziała - we własnym domu, na własnych pośladkach - przerażona, bezbronna. W dodatku nie mogła się ruszyć, bo Jan mocno przytrzymał jej głowę. Raz, dwa, trzy.

Kiedy już było po wszystkim, siedziała chwilę otumaniona, po czym zrywała się i biegła do kuchni, wołając, o wiele za głośno, że pewnie kartofle się rozgotowały. Tylko raz musnęła serdecznym palcem kolano Jana i wyszeptała: „Dziękuję”, a potem, zawstydzona, rzuciła się nakrywać stół.

Wieczorami na tarasie wsłuchiwali się w odgłosy miasta, które teraz było bardziej hałaśliwe, bo odkąd w mieście nastał kapitalizm, po zachodzie słońca zaczynały wyc

alarmy samochodowe. Wdychając zapach jaśminu, wędrowali po przeszłości. Jan opowiadał, jak na raka płuc umierał jego dwudziestoosmioletni syn, choć nigdy papierosów nie palił. Opowiadał o swojej żonie. Ze od śmierci Leszka miała oczy wiecznie zdziwione i jeszcze usta rozciągnęły jej się w uśmiechu, który pozostał już na zawsze. I o tym, że na rok przed śmiercią zapomniała, że w Polsce nie ma już komunistów, i wciąż łapała go za rękę i szeptała: „Ciszej, ciszej, ściany mają uszy”. Albo przy rodzinnym obiedzie stuknęła trzy razy nożem w szklankę, aż po wszystkich leciał dreszcz, a kiedy wszyscy cichli, ona nachylała się nad białym obrusem, patrzyła każdemu stołownikowi w twarz i konspiracyjnie szeptała: „Wiecie, że Breżniew umiera? Ale o tym ciiii” - kładła palec na ustach, które układała w rybi pyszczek, po czym prostowała się w krześle i już radośnie wołała: „Proszę się częstować, grzybki marynowane, Janek sam zbierał, smacznego, smacznego”. I tylko uśmiechała się wymownie i znacząco kiwała głową, i nawet oko puszczała.

Karolina opowiadała za to, jak z Mateuszem budowali dom i jak się urodziła Muszelka i że Staś ma dzięki Bogu tylko alergię, choć wcześniak. I jak się bała, kiedy Maciejkę internowano, na szczęście na krótko. A Maciej, cóż, zapowiadał się świetnie, a jeśli nie został geniuszem, to z lenistwa. Pogardliwie prychnęła przy słowie „komuna”, a gdy dochodziła do kochanek Mateusza, wówczas urywała. „Nie byłam z nim szczęśliwa” - mówiła tylko.

Przed snem przynosiła Janowi szklankę wody, popijał nią lekarstwa na serce. W nocy kołatały w niej słowa: „Nie byłam z nim szczęśliwa”, i przez środek pokoju defilowały kobiety Mateusza. A ona znów była tą postawną Mateuszcówną o tlenionych włosach ułożonych w kok, z mocno czernionymi brwiami, w zielonym ko-stiumiku, i znów wsiadała do pociągu. W jej sypialni rozlegał się stukot kół, a ona patrzyła w zakurzone okno pociągu, w którym odbijała się twarz młodej kobiety.

Widziała, jak ta młoda pani stoi w długiej kolejce pod Dworcem Głównym w Warszawie, potem jedzie taksówką, a radio gra Bacha. Jest ranek, na szynach trzęsą się niewyspane tramwaje, za każdym razem, kiedy samochód staje na światłach, całe jego wnętrze, od szyby do szyby, wypełnia Bach. Wóz rusza i silnik znów zagłusza muzykę, a ona, Karolina, modli się o czerwone światło, bo chciałaby już zawsze tak jechać i hamować, i ruszać, i zatrzymywać się, i słuchać tego Bacha, już zawsze.

Potem szła do hotelu Metropol. Recepcjonista, lekko znudzony, powiedział, że owszem, był u nich Mateusz Ptak, ale dziś rano opuścił hotel, to znaczy oboje opuścili, bo przyjechał ze swoją małżonką. Mężczyzna odwrócił się, żeby powiesić na haczyku klucz obciążony wielką drewnianą gruszką, wyslizganą przez tysiące dłoni, ale w ostatniej chwili spojrzał na nią i było to spojrzenie wypełnione po brzegi politowaniem.

Wyszła z hotelu na drewnianych nogach. Nie wiedziała, co robić, przestała nagle żyć, przestała oddychać. Szła ulicą pusta i lekka jak wydmuszka i powtarzała: „Z żoną, bo był z żoną, no tak, z żoną”. Widziała twarz recepcjonisty, przybrudzony kołnierzyk i piegowate ucho. Błysk w oku, kiedy mówił: „Z żoną”. Nagle wydało jej się, że wszyscy na nią patrzą, że jej kostium jest zbyt pstrokaty, włosy zbyt tlenione, a obcasy butów zbyt hałaśliwe. Potknęła się na jakiejś dziurze w chodniku i aż przyklęła. Już jej się nie chciało wstać. Najchętniej położyłaby się na ziemi, przywarła do niej policzkiem i brzuchem, i udami i może wtedy ziemia by ją ukołysała.

Wtedy rozległ się głos. Teraz, w tę bezsenną noc, znów do niej dochodził, dobijał się przez czterdzieści lat: „Czy pani źle się czuje?”. „Czy wezwać pogotowie”? „A może odprowadzić panią do taksówki?”.

Próbowała wyłuskać go, oczyścić z szumów, które się przez te lata nagromadziły. Pomyślała: Nie, ależ to niemożliwe. Potem: A może jednak?

Już zasypiając pomyślała, zdumiona, ale pewna siebie: To był przecież głos Jana!

## 42

Rano, zalewając wrzątkiem kawę w kubkach w czerwone serduszka, mówiła do Dzwonnika:

- Wiesz, coś mi się śniło, coś ważnego, miałam ci powiedzieć zaraz po przebudzeniu, ale co to było...

Nie mogła sobie przypomnieć. Dwa dni później przyleciało ze sto szpaków i obiadły czereśnię. Kiedy Karolina pobiegła do ogrodu, liście były podziurawione, u jej nóg ścielił się dywan z dojrzałych owoców, a drzewo było czarne i jakby martwe.

Nazajutrz Jan wyjechał. Na drogę dała mu ciasto drożdżowe, dwie koszule Mateusza i jego białe buty, plecione; przywiózł je z Włoch.

Ostatniego wieczora Jan wymasował jej rękę w przegubie, a dłonie miał ciepłe i malutkie, potem zaczął nucić stare piosenki. Pochylony ku niej zaśpiewał tango: „Odrobinę szczęścia w miłości”. A głos miał piękny, w młodości śpiewał z samym Mieczysławem Foggiem, głos niski, głęboki i tak zmysłowy, że Karolina zaczerwieniła się po uszy. W dodatku Jan nachylił się do niej, śpiewając ostatnią zwrotkę: „stanać z nim na ślubnym... nawet łzami zalać się... i usłyszeć: Kocham cię!”.

Wieczorem staranniej niż zwykle zamknęła drzwi sypialni i jeszcze przystawiła je krzesłem, sama przed sobą udając, że nie ma go gdzie postawić. W nocy słyszała, jak Jan przewraca się na tapczanie w pokoju obok, jak wstaje, idzie do łazienki. Przerazeniem napawała ją myśl, że mógłby wejść do sypialni.

Czy byłaby w stanie leżeć obok innego mężczyzny niż Mateusz? Czuć skórą jego skórę? Jego ciepło? Czy kto inny mógłby dotykać jej piersi, jej brzucha, jej podbrzusza? Czy umiałaby komu innemu pokazać swoje ciało? Mój Boże, przecież ona sama ledwo muskała je wzrokiem w lustrze, przyznając w duchu, że nie ma na co patrzeć. Jeszcze dwadzieścia pięć lat temu walczyła o to, żeby jej odbicie ładnie wyglądało. Pośladki miała wtedy jędrne, a brzuch płaski dzięki morderczym ćwiczeniom prowadzonym dzień w dzień. Robiła po sto brzuszaków za jednym zamachem! *Aniele Stróžu, byłam cienka jak szpilka, w fotelu można mnie było szukać.* Mateusz ledwie to zauważał. Możliwe, że Karolina roztyła się ze złości na niego. Albo żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

Kiedy Jan wyjechał, do domu powrócił Mateusz. Triumfalnie! Karolina zobaczyła go jeszcze tego samego wieczora, gdy odprowadziła Jana na pociąg.

Przyszła z dworca smutna i zmęczona. Dom wydał jej się przyczajony. Włączyła wszystkie światła, telewizor, a mimo to cały czas czuła nieprzyjemną nieobecność Jana. Dwie godziny później zeszła na chwilę z sypialni po jakiś kolorowy magazyn dla kobiet; wtedy zobaczyła Mateusza.

Siedział w fotelu, odwrócony tyłem do drzwi i powtarzał: „Nie przeszkadzaj, nie przeszkadzaj”. Zapaliła światło. W fotelu nikogo nie było, tylko, wydawało się jej, w powietrzu wisiała chmura jego wody kolońskiej.

Następnego ranka na krześle w sypialni leżało niedbale porzucone jego kimono - z ptakiem i kwiatem wiśni na plecach. Choć wcale go tam wcześniej nie było! Sam Mateusz siedział przy stole kuchennym i jak zwykle głośno połykał jedzenie, a robił to z taką samą zapalczywością, z jaką w nocy ją kochał. Karolina, odwrócona tyłem, akurat zmywała naczynia. Rzuciła za siebie: - Ech, mógłbyś jeść spokojniej - bo wyobraziła sobie, jak Mateusz pośpiesznie ociera sobie brodę, po której ciurkiem płynie mleko wymieszane z żółtkiem - i dodała tonem wieszczki: -Poplamisz się i kto to będzie prał?

Lubiła, jak ludzie ładnie jedli, i sama bardzo się starała. Plecy proste, łokcie przy ciele, zawsze umiała elegancko manipulować widelcem i nożem, a uważała, żeby palec trzymać na trzonku, szklanką ledwo dotykała warg i nigdy nie zostawiała na jej brzegu najmniejszej plamki. Kiedy piła alkohol, to usta układała w dziób i wdzięcznie odchyłała najmniejszy palec.

„Och, jak pani ładnie zachowuje się przy stole” - mówiły jej dawniej gosposie, służące i sprzątaczkę, teraz zwane paniami sprzątajacymi.

Co innego Mateusz, zawsze taki łapczywy. Powtórzyła teraz jeszcze raz, ze złością:

- Poplamisz się i kto to będzie prał?

Kiedy odwróciła się, nikogo nie było przy stole, więc bardzo się ucieszyła, że nikt jej nie widzi (pomyślałby sobie: wariatka!), i już do pustego krzesła powiedziała: - Zawsze byłeś raptus i świntuch - i trzepnęła ścierką w stół.

Po śniadaniu poszła na zakupy. Dreptała wolno, bo od pewnego czasu bolało ją lewe kolano. Dzięki temu mogła się napatrzyć na świat. Zauważyła, że wszystkie słupy w mieście były oklejone - na jednych wisiały informacje o sprzedaży akcji, na innych - o spotkaniach z aniołami. W miasteczku od roku trwała inwazja mydełek wyszczuplających i aniołów.

Poza tym Karolina znalazła na słupach dwa interesujące ogłoszenia. Jedno z nich reklamowało wieczorek z kobietą, która od roku żywi się wyłącznie światłem. Drugie poszukiwało osób, które chcą schudnąć; rozkleiła je firma specjalizująca się w utracie wagi.

*Aniele Stróżu, nareszcie stajemy się światowi. Już nawet utracić wagę można profesjonalnie.*

Doszła do wielkiego skrzyżowania i stanęła. Na białym kościele widniała wielka plansza z napisem: *Szukasz celu? Przyjdź!* Po drugiej stronie ulicy, na rogu, stała, na dwóch nogach, reklama: *Szukasz celu? Szukaj we właściwym miejscu. BarBrasil. Golonka po bawarsku.*

- A w zeszłym tygodniu Ogonek przykleił afisz „Proszek lxi nawet dusze nieczyste czyści”. Niedługo pokażą ukrzyżowanego Chrystusa i zareklamują: „Gwoździe pierwsza klasa”! - wieszczyła pani Podkolanko przy herbatce.

Karolina jakoś nie mogła w sobie wykrzesać złości. Wprost przeciwnie: chciałyby mieć taki proszek, w którym mogłaby zanurzyć swoją duszę, zostawić, żeby odtajała, potem wygnieść, wyprać, wypłukać, rozwiesić na słońcu i patrzeć, jak furkocze na wietrze.

W supermarkecie kręciło się mnóstwo ludzi, choć to była niedziela. Połowa z nich nic zresztą nie kupowała. Spacerowali jedynie między rzędami półek, żona u boku, z przodu dzieci, sprawdzali, co przybyło, co potaniało, co zmieniło opakowanie, jaka nowa musztarda i, rzecz jasna, czy są nowe niezwykle zapachy papieru toaletowego.

Kiedy nie było w sklepach kremów do depilacji, nikomu nie przeszkadzały włoski na nogach. Teraz stało się jasne, że bez fabrycznych pałeczek do czyszczenia uszu, tabletek na schudnięcie, telefonu komórkowego, wyciskarki do czosnku i elektrycznej szczoteczki do zębów nie da się żyć profesjonalnie.

O tym wszystkim rozprawiała ulica Celofanowa. Również o tym, że na wiosnę otwarto w supermarkecie nowy dział - świeże ryby. Pływały w plastikowym basenie, a za dodatkową niewielką opłatą pracownik wyposażony w wielki tasak zabijał je i patroszył. Odtąd z supermarketu kroczyli ludzie z plastikowymi torbami, które ruszały się na wszystkie strony i łopotały, a ulicę Solidarności znaczyły plamy krwi, rybiej krwi.

- Kto to widział otwierać supermarket w niedzielę! - narzekała pani Podkolanko.  
- W kościele ludzie szepczą *Kyrie Elejson*, a w supermarkecie - mostek wołowy tylko siedem złotych!

Karolina nie wychylała się ze swoim zdaniem. Żał jej było księdza Przyczyny, bo był wesoły i robił przed ołtarzem piruety, a nawet chrzczył dzieci z niesakramentalnych związków po znajomości. Ale musiała przyznać, że do supermarketu zaglądała częściej niż do kościoła.

Po przechadzce po supermarkecie poszła na targ.

Na bazarku jedną budkę wynajął Hindus.

- Mówię pani, prawdziwy! - zwierzała się Karolinie już tydzień wcześniej pani Podkolanko, aż jej się oczy świeciły.

Hindus miał maleńki sklepik z hinduskimi wachlarzami, kubkami do parzenia ziół i całą tą uroczą orientálną rupieciarnią. Mógł mieć pięćdziesiąt lat i mówił po polsku, zabawnie zmiękczejac głoski. Co więcej, nosił okulary. Rozśmieszyło to Karolinę, nie wiadomo czemu. Kupiła kubek do parzenia ziół dla Jana i z rozpędu podstawki z trawy morskiej pod talerze.

Karolina zauważyła, że na targu pojawiły się, jak głosił napis na tekturce, pomidory o smaku pomidorów oraz jaja podwórkowe.

- Z kur, co to chodzą po podwórku, tu sobie dziobną, tam dziobną - zachwalał sprzedawca.

Na drzwiach sklepu spożywczego zauważyła wywieszkę *U nas chleb bez ulepszczy chemicznych*. Zaintrygowana, kupiła bochenek. W domu odkroiła piętke i spróbowała, ale ostrożnie, bo chciała dokładnie ocenić smak.

-Tak samo niedobry jak z ulepszaczami - mruknęła i przypomniała sobie chleb od siostr urszulanek. Znów siedziała na zielonej ławeczce, w poczekalni pomalowanej olejną farbą na kolor groszkowy, obok młoda kobieta, niemowlę ssalo jej pierś, dalej

jakaś staruszka, jakiś wyrostek. Czekali w napięciu. Wreszcie z podwórka klasztoru dobiegł terkot kólek i w poczekalni zapanowało ożywienie. Odskoczyły niewielkie okiennice i w okienku ukazała się rumiana twarz zakonnicy, a całą poczekalnię, wolno i doszczętnie, wypełnił zapach chleba.

Nos Karoliny podniósł się teraz, nozdrza zafalowały i poprzez te wszystkie lata, poprzez woń kurzu, kadzideł, rozgniecionych truskawek, parzonych właśnie kaw, piekących się babeczek, skwierczących kawałków słoniny, koszonych traw, bożonarodzeniowych choinek starała się wyłapać ów zapach, zapach chleba od sióstr, a palce jej przedzierały się przez całą wieczność, żeby poczuć gorącą skórkę, napiętą jak koszula na plecach Mateusza, gdy ją obejmował, skórkę, która pękała pod jej palcami z głośnym trzaskiem.

## 43

Tymczasem Mateusz już dawno opuścił kobiety.

W ostatni wtorek kwietnia wtargnął do snu burmistrza, młodzieńca przystojnego i zaradnego. Stolarz miał na sobie letni biały garnitur w niebieskie prążki i błękitną koszulę. Stał w samym środku snu i rzekł: „No i co, burmistrzu? Mieszkanko mamy nowe, z kwaterunku? Niewielkie, tyci, tyci, jakieś sto trzydzieści metrów, ledwo się pan pomieści z rodziną, no nie?”

Burmistrzowi ciarki poleciały po kręgosłupie.

Trzy dni później (noc była pogodna, po niebie turlał się pyzaty księżyc) dostał się do snu dozorca szkoły, który po lekcjach podkradał impulsy i rzekł: „Dzwonimy?”. Powiedział to szeptem, ale takim, że odtąd dozorca w ogóle przestał zbliżać się do telefonu.

Na początku maja Mateusz wszedł do snu rzeźnika, przysiadł na skraju krzesła, które spadło tam z nieba i powiedział: „Rzeźniku, rzeźniku, czemu miałś gnaty na mięso?”.

I spojrział na niego z takim wyrzutem, że rzeźnik obudził się cały mokry ze strachu.

Ludzie zauważyli, że Mateusz stał się bardziej ironiczny i bardziej nerwowy. Już nie krył się w snach kobiet, nie niewolił żon, nie brał gwałtem dawnych kochanek.

Był suchy. Zasadniczy. Czasem podnosił głos, a nawet groził.



W następnych tygodniach w mieście zaczęły się dziać niebezpieczne rzeczy. Alkoholicy porzucali alkohol, mężowie przestawali bić żony, żony - mężów, nauczyciele - znęcać się psychicznie nad uczniami, a uczniowie nad nauczycielami, biznesmeni unikać podatków, złodzieje kraść, politycy oszukiwać, dziennikarze zmyślać.

Mieszkańcy zaczęli bać się Mateusza.

Wkrótce nie podobało mu się zbyt wiele rzeczy. Zaczął też, trzeba przyznać szczerze, donosić.

„Komendancie, pana ludzie ciągną benzynę z policyjnych baków i wlewają ją do swoich samochodów” - mówił szefowi policji.

Jednym słowem, Mateusz chciał, żeby miasto chodziło jak w zegarku. Jak w jego własnym zegarku.

A brzuch córki cukiernika rósł.

## 44

Latem wybuchła sprawa Jedwabnego. Ulica Celofanowa podzielila się na trzy grupy. Ci bliżej wiatraka uważali, że to Niemcy zabili Żydów i podpalili stodołę. Ci bliżej szosy mówili, że uczynili to Polacy, ale dlatego, że za ich plecami stali Niemcy z karabinami gotowymi do strzału. Niektórzy byli zdania, że to wszystko wcale się nie zdarzyło. Była też grupka osób, które sądziły, że to, niestety, Polacy wrzucili w ogień trzyletnią Hanę, małej Judce Nadolnej obcięli głowę i grali nią jak piłką, Eliaszowi wydłubali oczy i ucięli język, a Aaronowi wycięli na piersiach krzyż. Ale ta grupa niewiele mówiła, bo się wstydziła.

Karolina, jak zwykle, chciała być pośrodku, tym razem jednak czuła, że to niemożliwe. Na wszelki wypadek starała się o całej tej historii nie myśleć.

W lipcu miała pełno gości. Najpierw przyjechał Maciek, ale nie wiadomo po co, bo cały czas chodził po domu i głośno mówił do telefonu komórkowego.

- On nigdy nie jest tu, gdzie jest - mruzczała Karolina, ale siedziała jak trusia, i poprzez okrzyki syna starała się usłyszeć, jak Rafaella skarży się siostrze zakonnej.

Maciej znowu postanowił spróbować sił w biznesie, tym razem nie w branży trumiennej, lecz metafizycznej - z trzema kolegami zakładali poradnię filozoficzną.

- Dziwisz się, mamó? - mówił, jak to on, z pewną protekcjonalnością, której nie znosiła. - Nie ma się co dziwić. Ludzie zachłyszeli się już techniką, postępem i teraz szukają sensów.

Roztoczył przed nią obraz Krakowa nieodległej przyszłości, w którym na tej samej ulicy będzie można znaleźć - wtłoczone między galerie i kawiarnie artystyczne - poradnie psychologiczne, filozoficzne i religijne. W tych ostatnich będzie się można umówić na spotkanie z lamą buddyjskim albo z imamem, czy też z rabinem, bądź z księdzem, oczywiście różnych wyznań i odłamów.

Karolina tylko machnęła na to ręką, bo cóż mogła ją obchodzić przyszłość, nawet nieodległa? Poza tym uważała, że Maciej powinien szukać sensu w zarabianiu pieniędzy na dom, a nie w wymyślaniu kolejnych pomysłów.

Potem przyjechała żona Macieja zostawić u niej dzieci na kilka dni. Oznajmiła, że odnalazła żydowskie korzenie, że zmienia imię na Rachela i jedzie uczyć się, jak być Żydem, to znaczy Żydówką. Przywiozła ze sobą jedzenie koszerne i przykazała Karolinie, żeby nic innego dzieciom nie dawała. Karolina oniemiała. Czy to znaczy, że jej wnuki są Żydami?! Wszystkiego by się w życiu bardziej spodziewała, nawet tego, że się zestarzeje! I zaraz aż cała się skuliła, bo pomyślała, że za takie myślenie Maciejka pewnie by ją skłęła.

Na wszelki wypadek jednak przyjrzała się dzieciom. Siedziały na dywanie w salonie i grały w szachy. Staś co chwila grobowym głosem obiecywał Muszelce, że zaraz skosi jej króla jednym ruchem. Muszelka bębniła palcami po wydętych ustach, marszczyła czoło i wpatrywała się w szachownicę.

Karolina musiała szczerze przyznać, że jej wnuki nic a nic się nie zmieniły, odkąd zostały Żydami. Westchnęła jednak do Anioła Stróża: *Co ci rodzice potrafią z dzieckiem wyprawiać. Najpierw robią z niego wegetarianina, a potem Żyda. Jeśli jeszcze Maciejka wyjdzie za Araba, to już będzie koniec świata. Ja przecież nie umiem po arabsku! Jak ja się z własnym zięciem dogadam?!*

Maciejka pokazywała jej kiedyś zdjęcie swojego byłego narzeczonego, Irańczyka.

*Aniele Stróżu, on jest fotografem. Ludzie opowiadają, że Arabowie tacy bogaci! Inni mówią, że to sami terroryści. Ja tam nie wiem, ale ten narzeczony Maciejki to był z twarzy podobny do jej męża. Wyglądał na takiego samego fajtlapę.*

W nocy Karolinie się śniło, że jacyś ludzie biorą Muszelkę za nogi i wrzucają do ognia, jak królika albo jak kłodę drzewa. Obudziła się cała złana potem.

Dwa dni później znów przyjechał Maciej. Powiedział, że z żydowskimi korzeniami to nic pewnego, za to jest pewne, że Ewa ma problemy z tożsamością.

- W życiu nie myślałam, że Ewa może mieć kłopoty z tożsamością - mruknęła Karolina, a Maciej odmruknął:

- To ty, mammo, kiedykolwiek o niej myślałaś? Powiedział też, że osobiście to on ma w nosie, czy jego żona jest czy nie jest Żydówką, ważniejsze, że coś jej odbiło i chce się wyprowadzić z domu.

- Już wszystko spakowała. Czy ja jej zrobiłem coś złego? Trzeba pić, bić i zdradzać, żeby kobiety kochały? - pytał dramatycznie.

Dodał, że w takiej sytuacji on nie widzi już sensu ani w metafizyce, ani w pieniądzach, wyjął z sekretarzyka wiśniówkę i wypił ją, dużymi haustami, aż do samego dna. Karolina struchlała.

*Aniele Strózu, mój syn, to chłopak dobry z kośćcami, ale ja chyba nie chciałabym mieć takiego męża. Przecież jak on przyjdzie z pracy, to od razu kładzie się przed telewizorem. I tak do samiutkiego wieczora. Już sama nie wiem, jak to jest. Raz dzieci są bystre i robią wszystko, żeby pokazać, że jest się głupszym, niż ustawa przewiduje, a znów kiedy indziej są takie niemądre, że aż strach. Aniele Strózu, czy mógłbyś mojemu synowi wlać trochę oleju do głowy? Niechże będzie mężczyzną, a nie rozmokłą sierotą.*

Nazajutrz Maciej wyjechał, zabierając dzieci i obiecując Karolinie solennie, że żonę za włosy zaciągnie do domu. A gdyby miała kochanka, to go spuści z wodą w toalecie.

Całą niedzielę Karolina oglądała papieża. Kiedy go wybrano, przejmował ją dumą, teraz patrzyła na niego z tkliwością. Papież zastępował jej Boga, ojca, a poza tym był niezłą wymówką. Za każdym razem, gdy szła do kawiarni i wahała nad tortem truskawkowym na bezie, z wielkimi połówkami truskawek w galaretkę, przypominała sobie ten jego łobuzerski uśmiech, z jakim wspominał wadowicką kremówkę.

Potem znów przyjechał Jan, akurat tego dnia, kiedy poradnik radził: „Pamiętaj, że najpiękniejsze chwile w życiu często przychodzą niezapowiedziane”. Był czas moreli. Całe dni zrywali je, gotowali i wkładali do słoików, Jan przy tym sapał i stękał, aż Karolina przeraziła się: *Aniele Strózu, żeby on mi nie umarł przy tych konfiturach.*

Któregoś dnia Jan zerwał kwiat margarytki i włożył Karolinie za ucho. Piszcząca trochę, co i rusz biegała do lustra, żeby upewnić się, że wygląda idiotycznie, ale potem i Jan włożył sobie kwiat za ucho, i było z tego dużo śmiechu. Kiedy przyszedł listonosz, Karolina zupełnie zapomniała o kwiatku, więc znów było śmiechu co niemiara.

- Wiesz, Calineczko, ja też nie mogę tak szybko umierać. Mam tu jeszcze obowiązki - rzekł pewnego dnia Jan, wracając do rozmowy sprzed kilku tygodni. Z górnej kieszonki koszuli wyjął zdjęcie. Czarna dziewczynka w niebieskiej sukience stała na tle palm i uśmiechała się łobuzersko. Pochodziła z Rwandy, jej ojciec został zabity maczugami, matkę, w ostatnim miesiącu ciąży, zdeptał tłum.

- Ja tej dziewczynce opłacam szkołę i życie - powiedział Jan.

- Z twoją emeryturą? - spytała zgorszona.

Piątego dnia Jan zapytał, czy nie zostałaby jego żoną. Karolina zaśmiała się cieniem głosem, chrząknęła i nie odpowiedziała. Ale kiedy jedną ręką chwycił jej dłoń powyżej kostki, a drugą pogłaskał jej łokieć, tylko jednym palcem, ledwo muskając skórę, odsunęła się gwałtownie. Poczowała, jakby cała od stóp do głowy była naga, razem ze wszystkimi wałeczkami na brzuchu, ze wszystkimi rozstępami na udach i nawet z tą krostą pod lewą piersią, i z tymi bujnymi, rozwydrzonymi pośladkami, zupełnie takimi, jak u modelek Rubensa (wie dobrze, bo widziała je w Luwrze!).

## 45

Ferdynand czuł, że żona wyslizguje mu się z życia. Była obok niego, słuchała go, uśmiechała się do niego, oddawała mu się, ale Ferdynand czuł, że nie jest jego. Cierpiał okrutnie.

- Boże, Boże, co ja zrobiłem... - szepnął cichutko i zaraz zdusił w sobie szept, bo nie chciał, żeby Bóg go usłyszał. Wstydział się; przecież to on, tylko on złowił Mateusza w sen własnej żony.

Spędzał kolejną noc u boku Anny, bezsennie. Słuchał, jak w głębinach swoich marzeń jego połowica zanosi się śmiechem - był to śmiech wolny i perlisty. Błądził wzrokiem po ścianach i szukał tam jakichś znaków. Czegoś, co by mu podpowiedziało, co ma dalej z tym fantem, czyli swoją żoną, zrobić.

Wreszcie któregoś ranka, o świcie, przyszło mu do głowy, że musi dorwać Mateusza i po prostu raz na zawsze wygnać go z miasta. Zapędzić wreszcie tam, gdzie jego miejsce - do grobu.

Tymczasem Mateusz szalał. W czwartek wtargnął do snu pewnego ślusarza, który potrafił rowerem staruszkę i uciekł z miejsca wypadku. W piątek nawiedził właścicielkę zakładu podnoszenia oczek i obciągania guzików, która podarła na drobny mak testament teścia, napisała nowy i podpisała go jego własną, sparaliżowaną ręką.

Ferdynand już od kilku dni krążył między największymi grzesznikami miasta. Już, już łapał Mateusza we śnie pewnego biznesmena, który przemycił biustonosze z Ukrainy i sprzedawał je jako włoskie triumphy. Aż w niedzielę dorwał Mateusza w marzeniu starego Grzegorza, artysty samouka, który podrabiał prawa jazdy, legitymacje szkolne, matury i dyplomy uniwersyteckie, a robił to nadzwyczaj pięknie. Wprost

w ostatniej chwili, gdy Grzegorz już się budził ze szlochem, Ferdynand uchwycił stolarza za nogę i tak zawiśli poza snem. Gdzieś z dołu Trafny krzyknął:

- Mateuszu!

Gdzieś z góry Mateusz spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Czego chcesz? - zapytał i sprytnie wykręcił stopę. Ferdynand poczuł, że za chwilę stolarz mu umknie, więc na całe gardło wrzasnął:

- Pana żona chce wyjść za mąż!

Mateusz zawisł w powietrzu bez ruchu. Tylko jego twarz coraz bardziej upodabniała się do białego obłoku, który nie wiadomo jak zaplątał się w półśnie, i nie tylko twarz, ale także wargi i brwi, i rzęsy, i jedynie migdałowe oczy patrzyły na Ferdynanda wypełnione po brzegi zdumieniem. Wreszcie Mateusz zupełnie się rozplątał.

Tej samej nocy, o godzinie czwartej nad ranem, córka cukiernika urodziła urodziwego syna. Rodzina i bliscy, a potem całe miasteczko orzekło, że chłopak nie ma nic z Mateusza, za to jest kropka w kropkę podobny do syna komendanta policji. Kropka w kropkę. A sprawdzali i kształt uszu, i głowy, i rysunek ust, a nawet jaki cień rzuca na ścianę. Dowodem ostatecznym i nie do podważenia było znamię na brzuchu. I noworodek, i syn komendanta mieli znamię identyczne - przedstawiało łucznika wypuszczającego strzałę.

A Karolinie tej nocy przyśniły się jabłka, cała srebrna patera jabłek. We śnie bardzo wyraźnie widziała każdą krostkę, każdy rumieniec, widziała skórkę napiętą i przeczuwała biały twardy miąższ, taki, jaki lubiła najbardziej, lekko kwaskowaty i trzaskający pod naporem zębów. Kiedy obudziła się, a jeszcze patera rzuciła ostatni błysk, wiedziała, doprawdy nie wiadomo skąd, ale była tego pewna, że te czerwone świeżo zerwane z drzewa jabłka to prezent od Mateusza.

Tego dnia po obiedzie Jan powiedział, że ma coś pilnego do załatwienia i sam poszedł do miasta. Zamiast do centrum skierował kroki na cmentarz.

Pod bramą kupił niewielki wieniec z jodły przetkany sztucznymi liliami i rozpytując po drodze kobiety, zaciekle czyszczące grobowce, dotarł do miejsca wiecznego spoczynku Mateusza. Stolarz spoglądał ze swojej fotografii nieco podejrzliwie. Płyta była pusta, tylko w słoiku, w zielonkawej wodzie, stały przywiedłe kwiaty. Jan wyrzucił je, przy pompie opłukał słoik, położył wieniec, zdmuchnął z ramienia krzyża jakiś listek, przysiadł na granitowej płycie i chrząknął. A potem jeszcze raz chrząknął.

- Słuchaj, Mateuszu, będę z tobą rozmawiał otwarcie - rzekł wreszcie. Chrząknął po raz trzeci i zamilkł. Po chwili sięgnął do torby, pogrzebał w niej i wyjął stamtąd butelkę żubrówki.

- Dobrze, porozmawiajmy jak żołnierz z żołnierzem - zaczął i znów urwał. Odkreślił nakrętkę, stuknął szyjką w granit, kapnął kilka kropel na płytę. - Twoje zdrowie, Mateuszu. Słyszałem, że lubisz... że lubiłeś... że lubisz żubrówkę.

I zaraz się zastrzegł: -Ja nie piję. Zastanowił się.

- No dobrze, dla towarzystwa, ale tylko pół łyżeczka. Pociągnął pół łyżeczka i rzekł:

- Pozwolisz, żebym ci mówił po imieniu? Tak, tak, już mówię, nie popędzaj mnie... Karolina jest wdową, jak sam wiesz, i bardzo mi przykro z tego powodu. Oczywiście, że mi przykro! Bardzo również żałuję, że ciebie nie poznałem. Ależ myślisz się, nie jestem hipokrytą, po prostu żał mi, że nie miałem przyjemności poznania was obojga wcześniej.

Jan znów chrząknął, wylał na płytę grobowca trzy kropel i pociągnął pół łyżeczka, po czym kontynuował:

- Uważam, że to nie czas i miejsce, żeby roztrząsać, czy byłeś dla niej dobrym mężem; o tym sam wiesz najlepiej. Przyszedłem tu w innej sprawie. No właśnie. Już, już ci mówię, chwileczkę, nie ma się co denerwować. Pamiętaj, że Karolina jest teraz osobą samotną. Jest wdową, przynajmniej w naszym ujęciu prawnym. Jeszcze łyżeczek żubrówki? Ależ ona pali! Mateuszu, przejdę do rzeczy... Otóż chcę z Karoliną spędzić resztę mojego życia. Mateuszu?! Słyszysz mnie? Tak, wiem, wiem, też umrę. Przecież wiem, że żyć będę tylko do śmierci i ani chwili dłużej. Wiem. Już niedługo trzeba będzie się wybrać do Zakopanego. Przyjdzie pakować walizki. Ile mi zostało czasu? Rok, może dwa, no, najwyżej pięć. Ale myślę, że jeszcze mogę twojej żonie dać szczęście. To znaczy twojej byłej żonie. Jeśli, oczywiście, nie masz nic przeciwko temu. Jednym słowem, Mateuszu, chcę cię prosić o rękę Karoliny.

Jan umilkł i czekając na odpowiedź, zwiesił głowę. Nie wiadomo kiedy się zdrzemnął; przyśnił mu się Mateusz. Był w białej, rozchełstanej na piersi koszuli, zarosnięty i jakby niedomyty. Bez słowa skinął na Jana głową i zaprowadził go do sadu. Stanęli pod jabłonką - akurat kwitła - i stolarz rzekł:

- Kto pierwszy wdrapie się na szczyt, ten wygrywa.

Jan poprawił sobie pasek u spodni, mocno chwycił rękami grubą gałąź, stęknął, podciągnął się i już miał przerzucić prawą nogę przez konar, kiedy spojrzał w górę - Mateusz siedział na samym szczycie drzewa i radośnie majtał nogami.

A potem znów Mateusz stał obok niego i mówił, dysząc:

- A teraz kto szybciej dobiegnie do tej kapliczki na wzgórzu, ten wygrywa.

Wystartowali, ale Jan nie zdążył nawet dobrze odbić się od ziemi, gdy zobaczył Mateusza daleko przed sobą, jak pada przy kapliczce i turla się w trawie ze śmiechu.

Jan już nawet nie chciał biec. Już nawet nie chciało mu się z Mateuszem rozmawiać.

- No dobrze - powiedział Mateusz, bo znów nie wiadomo, w jaki sposób znalazł się koło niego. - Podobno masz ładny głos. Wygrywa ten, kto zaśpiewa wyższą oktawę.

Pierwszy śpiewał Jan. Pięknie przeleciał głosem C-dur, wszystkie dźwięki po kolei, potem zaczął wyższą oktawę i zakończył na C dwukreślnym, robiąc niewielki, ale wdzięczny tryl, i umilkł zadowolony.

Teraz przyszła kolej na Mateusza. Zaczął w a-mol. Prześpiewał płynnie pierwszą oktawę, zwalniając to tu, to tam, przeleciał drugą i trzecią, coraz wyżej i wyżej, i jego głos wznosił się coraz bardziej, stawał się coraz cieńszy, aż był już tylko strużką, a potem włosem, a potem cieńszy niż najcieńszy włos, aż zanikł, choć wciąż jeszcze trwał, i jeszcze pędził w górę, i jeszcze nie ustawał, aż ów huk niesłyszalnego głosu wyszarpnął Jana z drzemki. Rozejrzał się wokoło, zobaczył grób, na nim zdjęcie roześmianego Mateusza, przypomniał sobie sen i wszystko, ale to wszystko zrozumiał, lecz trwało to tylko chwilę, bo zaraz cały sen i całe zrozumienie zapadło się w dziurę niepamięci. Jan wstał, zakręcił butelkę z żubrówką, schował ją do torby, jeszcze raz spojrzął na zdjęcie Mateusza, nie wiedzieć czemu z niechęcią, odwrócił się i poczłapał do domu.

## 46

Następnego dnia przygotowali piętnaście słoików moreli, większych i mniejszych. Po całym domu roznosił się zapach owoców, gotujących się w dużym kotle, oraz stuk słoików. Wieczorem Jan znów zapytał Karolinę, czy zostanie jego żoną, i dał jej swój sygnet rodowy z podkową i mieczem. Potem, kiedy Jan umrze, Karolina każe sobie wprawić ten sygnet w obrączkę ślubną i pokazując ją wszystkim, będzie mówiła: „Dwa w jednym. Mam ich tu obu, na jednym palcu”.

I będzie się śmiała na poły zalotnie, na poły z goryczą.

W nocy Karolinie przyśniły się kaczeńce. Wyłożony był nimi cały jej sen. A rano wyśniły się z jej snu i zakwitły przy oczku wodnym w ogrodzie.

Tuż po piątej obudziło ją szczekanie psów. Kręciła się chwilę w łóżku, ale zamiast zasypiać, coraz bardziej się budziła, wstała więc, zeszła do kuchni, wzięła szklanekę kompotu, jeszcze z obiadu, i popijając go małymi łydkami, podażyła do pokoju. Za-

maszystym ruchem odsłoniła zasłonę w salonie i ze zdumienia zamrugła powiekami. Ogród był cały żółty! Otworzyła drzwi na taras i w koszuli nocnej, otulona tylko grubym swetrem Mateusza, wyszła na zewnątrz.

Przy oczku wodnym żółciły się kaczeńce. W samym środku lata! Przecież Mateusz zasadził je dwadzieścia lat temu! - pomyślała zdumiona.

Kaczeńce rosły za miastem, przy głównej szosie, w błotach nad stawem. Za każdym razem, kiedy przejeżdżali obok, Karolina wzdychała:

- Mógłbyś mi je kiedyś zerwać, zasadziłabym w ogródku. Ale czy tobie się chce coś dla mnie zrobić?

Którejś niedzieli, kiedy Karolina, jak zwykle, westchnęła przy stawie, Mateusz zjechał na piaszczyste pobocze, zatrzymał samochód, zwinnie rozebrał się do slippek (a slipki miał śmieszne, francuskie, w słoniowe trąby) i kurcząc się z zimna, pobiegł w stronę stawu.

- Zadowolona? - zapytał, wrzucając wielką naręcz kaczeńców na podłogę za fotelem kierowcy.

- Trochę przywiędłe - stwierdziła trzeźwo Karolina, bo nie wiedziała, co powiedzieć.

Kwiaty zasadzili w ogrodzie. Szybko opadły im płatki, a rok później już nie zakwitły i Karolina zapomniała o nich na śmierć.

Stała teraz na tarasie i wdychała zapachy świtu i kwiatów. Potem zamknęła drzwi, po cichu zasunęła zasłony i wróciła do sypialni, a przechodząc obok portretu Mateusza, rzuciła pogardliwie:

- Myślisz, że wystarczy mi przynieść jabłka i kaczeńce? I z obrażoną miną poszła sobie.

Całą następną noc przecałowała się z Janem, we śnie. Siedzieli na tapczanie, ledwo, ledwo dotykali się rękami, za to całowali się jak jakieś wyrostki! Prawie że nie odrywali ust od ust. I tak całą noc! Rano Karolina obudziła się nie wiadomo czemu rozpromieniona, leniwie przeciągała się w łóżku i wcale nie chciało jej się wstać, a wargi miała opuchnięte, nawet trochę bolała ją szczęka. *Aniele Stróžu, ach, kiedyż ja się tak ostatnio całowałam, no kiedy? Czy jeszcze jest coś przyjemnego w życiu, o czym zapomniałam?*

W czwartek Jan poczuł się gorzej i Karolina wezwała pogotowie. Dostał zastrzyk, ale lekarz skierował go na dodatkowe badania.

W piątek rano wyjechał do domu, a trzy dni później zadzwonił, że trudno mu chodzić. Od tej pory rozmawiali codziennie, po wieczornych wiadomościach, a ściśle



mówiąc, kilka minut po pogodzie. W dni parzyste dzwonił Jan, w nieparzyste - Karolina. Odczekiwała dokładnie pięć minut - z zegarkiem w rękę! - po ostatnich słowach Chmurki, dokładnie tyle, żeby Jan miał czas dokuśtykać do telefonu.

Omawiali pogodę, jaka była tego dnia i jaka miała być dnia następnego, udawali, że prognozy tym razem sprawdziły się, albo narzekali, że, jak zawsze, były błędne. Omawiali wiadomości. Karolina bardzo przejęła się tragiczną śmiercią rodziny królewskiej z Nepalu. „Nawet królowie umierają” - westchnęła z pewnego rodzaju satysfakcją. Potem wynikła kwestia genów i klonowania, co musieli poważnie rozważyć. Szeroko omawiali korupcję ministrów, powódź w Gdańsku, zamieszki w Izraelu, dojrzewanie porzeczek. I że Karolinie udało się wreszcie kupić taki-ser-jaki- powinien-być-ser. Czyli z krowiego mleka, odcisnięty w płótnie w kształcie dużego serca, nie za twarde, nie za miękkie, niezbyt słony, taki, który rozpadał się na wielkie tłuste kawałki.

Karolina coraz częściej zauważała, że świat przestaje być taki, jaki być powinien. Jabłka na targu pachniały woskiem, a te nowoczesne kwiaty w ogóle nie miały zapachu, wędliny smakowały jak zmielone wiórki, mięsa - jak smażona tektura, sztuczne choinki pokryte sztucznym śniegiem pachniały dezodorantem, dzieci nie kłaniały się starszym, mężczyźni przestali być męscy, kobiety kobiece, małżeństwa coraz bardziej przypominały spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, na kopertach już nie pisano przed nazwiskiem Wielmożni Państwo, w Europie znów się mordowano, a jajko kosztowało aż 30 groszy i było o połowę mniejsze niż trzydzieści lat temu.

Więcej! Okazało się, że przyjaciel Maciejki, jej guru, jej intelektualny idol, przez wiele lat donosił tajnym służbom PRL i brał za to pieniądze. A kiedy się to okazało, wiele osób zaraz go pożałowało, co Karolinie nie mieściło się w głowie. Dla niej zło było zło, dobro dobre, a sprawiedliwość sprawiedliwa. Karolina po prostu przestała rozumieć świat. Gorzej! Świat przestawał rozumieć Karolinę!

W tym świecie tylko toalety publiczne stawały się, musiała to przyznać, coraz piękniejsze.

O tym wszystkim rozmawiała co wieczór z Janem; po pogodzie. No i o tym, że pogoda wariuje. Kraj tarmosiły burze, a pioruny strzelały w ludzi w samym środku Warszawy. I zabijały na śmierć. Kto to widział!

W niedzielę omawiali, co się stało w szpitalu w Leśnej Polanie, a we wtorek - jak się toczą losy Rafaelli. Bo Karolina kochała Rafaellę! Maciejka mówiła nawet, że matka Rafaellą bardziej się przejmuje niż nią. Na co Karolina odpowiadała, że to prawda, ale że Rafaella przynajmniej nie zrobi jej awantury, a z Maciejką to nigdy nie wiadomo. I że o Rafaelli cały czas się czegoś dowiaduje, a jak pyta Maciejkę, co u niej, to Maciejka jest zła.

Karolina opowiadała też Janowi, co się zmienia w miasteczku. Że otwarto nową kawiarnię, a na ścianach wiszą same portrety Lenina i Stalina, i że miejsce to nazywa się Propaganda i ma (- Wyobraź sobie!) ogromne wzięcie. Że w supermarkecie Kęskrawiec sprzedaje teraz kartofle myte, ale trzy razy drożej. Mówiła też, że tyle w tym roku było bzu. Chciała jeszcze powiedzieć o jaśminie.

Trzydzieści lat temu Mateusz próbował zaszczepić jaśmin. Naciął korę na krzyż, w nacięcie włożył szczep róży, obwiązał szmatką. Ale gałązka nigdy nie zakwitła. Karolina dałaby sobie nawet głowę uciąć, że uschła i odpadła.

Teraz któregoś dnia poszła pod wieczór do ogrodu podlać kwiaty i oczom nie mogła uwierzyć - na jaśminie rosła róża, miała wielkie mięsiste płatki i była tak ciemnoczerwona, że aż prawie czarna.

Karolina chciała więc Janowi powiedzieć o jaśminie, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

## 47

Na próżno czekali łotrzy i niewdzięcznicy, oszuści, kłamczuchy, zwodziciele, rabusie, zdrajcy, nożownicy, zakute mordy, obiboki, stręczyciele, oszczercy, nikczemnicy, łajdacy, dręczydusze, mafiosi, dranie, hultaje, łachudry, niebieskie ptaki, ci, co mydlą i ci, co mamią. Mateusz nie wdzierał się w ich sen.

Na próżno czekały wdowy, rozwódki, samotnice, zbytnice, dziewice, latawice, nierządnicę, lubieżnicę, łodziarki, lolitki, cichodajki, gorszycielki, uwodzicielki, amantki, żony, narzeczone i pierwsze naiwne. Pilingowały ciała, wklepywały w nie pachnące kremy i czekały w zwiewnych koszulkach (a bibliotekarka to nawet nago), ale ich sny były puste. Zupełnie puste.

Mateusz nie przychodził.

Wkrótce miasteczko połapało się, że Mateusz umarł po raz drugi i bardzo go pożałowało. Wydawało się, że do miasteczka wraca spokój, lecz było to złudne wrażenie. Po cichu rewolucja parła naprzód, niepostrzeżenie przenikała do domów. Kobiety najpierw nieudolnie, potem coraz śmieiej wysuwały żądania. Po pierwsze: kwiatów, po drugie: orgazmów. Po nich nieodwołalnie następowały kolejne roszczenia - po trzecie: wolności, po czwarte: pieniędzy. Po piąte: miłości. Po szóste: miłości.

W mieście namnożyło się salonów fryzjerskich. Powstały kluby damskie oraz damskie łaźnie. Kobiety nagle przestały zajmować się mężami, dziećmi, kurzem,

ziemniakami, rachunkami, a skupiły się na rozwoju własnej osobowości. Nagle okazało się, że osobowość mają wybujałą i wymagającą dużo czasu.

Dzieci najpierw struchlały, po czym zaczęły zadawać kłopotliwe pytania: „Babciu, a do czego służy tatuś?” - na przykład.

Mężczyźni osłupieli. Jeśli nie są facetami, to kimże są? Pewien felietonista napisał w gazecie, że w mieście panuje apartheid, bo nie został wpuszczony do kawiarni Czarne Madonny, przeznaczonej wyłącznie dla pań. Znany satyryk dowodził niższości kobiet: nawet rewoltę musi im robić mężczyzna!

A marsz kobiet trwał. Trwała Koronkowa Rewolucja.

## 48

W lipcu przyjechała do Polski Rafaella. Już kilka dni wcześniej Karolina była podniecona.

- Przyjeżdża - informowała Jana przez telefon z przejęciem. - Ciekawe, jaka jest naprawdę. A jak myślisz, jak będzie ubrana? Może choć raz włoży te srebrne pantofelki, które podarował jej Mario...

W środę biegła do telewizora na każde wiadomości i oglądała wciąż tę samą scenę: jak Rafaella, ubrana w białą zwiewną sukienkę, od której wdzięcznie odcinały się jej czarne włosy, schodzi po schodach z samolotu, odwraca się wprost do kamery, uśmiecha i ma dołeczki.

A wieczorem Karolina nie zadzwoniła do Jana, bo cały czas czekała na wywiad z aktorką. Brazylijka pojawiła się w studiu zaraz po filmie, na którym wszyscy strzelali do wszystkich, biegali po dachach i składach starych samochodów. Tym razem była w wytwornej posrebrzanej sukience, w swoich słynnych hebanowych kolczykach i miała, o, tak, Karolina była zachwycona, miała na nogach srebrne pantofelki z klamerkami, co kamera pokazała trzykrotnie i z bliska.

Rafaella nie zdradziła, czy wyjdzie w końcu za Maria ani czy odnajdzie zaginioną siostrę.

Kładąc się do łóżka, Karolina zaciskała kciuki: Och, żeby wreszcie się pobrali.

Następnego dnia przypomniała sobie, że nie zadzwoniła do Jana, i było jej trochę wstyd. Oglądała wiadomości nieuważnie, ponaglając je, żeby już wypłyły z siebie wszystko, co mają do powiedzenia. Nieuważnie rzuciła okiem na uchodźców, których Australijczycy uratowali z tonącego statku, i jednym uchem słuchała, że wczoraj wieczorem dwaj trzynastoletni chłopcy podpalili starszego mężczyznę, kiedy przysnął na

ławce. Na ekranie pojawiło się miejsce zdarzenia: park, ławka; obok stały dwie karetki, na noszach kogoś niesiono.

Karolina wszystko to oglądała po łebkach. Kiedy po pogodzie, dokładnie pięć minut po tym, jak Chmurka życzyła jej przyjemnego wieczoru, wykręciła numer telefonu do Jana, cały czas nie widziała karetki pogotowia i nie widziała noszy. A gdy po drugiej stronie nikt nie podnosił słuchawki, mimo że był to już dwudziesty siódmy dzwonek, coraz bardziej nie widziała noszy ani ręki, która wysmyknęła się spod prześcierała - była taka malutka - ani butów - były białe, plecione.

## 49

Pogrzeb Jana odbył się w sobotę. Świeciło słońce, a Karolina szła za trumną, taszcząc torbę ze słoikami moreli. Chciała je podarować córce Jana, ale z wrażenia zapomniała zrobić to przed pogrzebem.

W kościele trumna była otwarta. Karolina, nikogo nie pytając o zgodę, włożyła do środka budzik-pozytywkę. „Będzie grała co najmniej trzy tygodnie” - zapewniła ją właścicielka galerii.

Do ręki wsunęła Janowi jego fiołkowy beret (zostawił go u niej w domu). Do kieszeni - wahadełko, żeby po drodze do nieba rozpoznał złych i dobrych ludzi. Do drugiej kieszeni wsypała grosiki; zbierała je od lat, najwięcej było tych z 2000 roku. - Na drogę - szepnęła. A nogi przykryła mu swoim moherowym szalem. Żeby nie zmarzł.

W kościele cały czas słychać było pozytywkę. W czasie pogrzebu też. Grała może ze zbyt wielką werwą, ale Karolinie to nie przeszkadzało.

Pamięć o Janie była wesoła. Karolina wchodziła do sklepu obuwniczego, wybierała dwie pary trzewików i pytała w myślach: No i które mam kupić? A w jej wyobraźni Jan pochylał się, oglądał podeszwę, czy solidna, ścisnął w palcach, czy skóra miękka, i tym swoim niskim wibrującym głosem mówił: „Te botki są śliczne, ale tamte będziesz miała dłużej”.

Karolina, wsuwając stopę do buta, niemal czuła, jak Jan dotyka jej kostek.

Innym razem popijała w kawiarni małą czarną i błądząc wzrokiem to tu, to tam, bezwiednie zahaczyła o mur po drugiej stronie ulicy, na którym ktoś nabazgrał: „Zjadaj bogatych!”. Ledwo zdążyła przeczytać hasło, a już Jan podpowiadał: „Z cukrem i śmietanką”. I po chwili go zobaczyła. Szedł krokiem walca, w białym fartuchu, z tacą,

a na tacy po turecku siedział ten bogacz, którego wczoraj pokazywali w telewizji (policjant zatrzasnął mu kajdanki na rękach), tyle że zamiast włosów miał pagodę z bitej śmietany.

Jan jej się nie śnił. Ale czasem widziała jego twarz. Budziła się wtedy raptownie i czuła, że jej serce zamiera. Dopiero za trzecim razem zrozumiała, że to nie serce zamiera dlatego, że we śnie zobaczyła twarz Jana, ale że to Jan ją budził, kiedy serce się zatrzymywało.

Pilnuje mnie - pomyślała.

Dwa tygodnie po pogrzebie, w nocy, zerwał się wielki wiatr. Karolina biegła po całym domu, sprawdzając, czy okna są zamknięte i na wszelki wypadek wyłączała z kontaktów radio, telewizor i wszystkie lampy.

Rano okazało się, że wichur wyrwał morelę i rzucił ją na taras, pod same drzwi. Zerwał druty, zmiotł antenę, przekrzywił słup elektryczny koło domu, w lesie połamał setki drzew, zwłaszcza lipy i brzozy, a niektóre wyrwał z korzeniami i cisnął na szosę.

Nie było prądu. Nie działał telefon. Karolina nawet się tym nie przejęła. Jan i tak nie zadzwoni, a i w telewizji nie było co oglądać, odkąd Mario porzucił Rafaellę i ożenił się z jej siostrą, głupek jeden. Zostały jeszcze wiadomości wieczorne, ale po raz pierwszy w życiu Karolina poczuła się bezsilna wobec konszachtów polityków, wybuchu wojen i wulkanów, wobec niesprawiedliwości i wobec śmierci. Do tej pory była przekonana, że przecież jakiś wpływ na losy tego świata ma. Czuła to za każdym razem, gdy siedząc przed telewizorem, pouczała na głos prezydentów: „No i jak tak mogłeś powiedzieć, wstydz się!”, albo gdy pośpieszała polityków: „No zróbcie wreszcie porządek z tym krajem”.

A nawet kiedy siedziała cicho przed ekranem, to rozpierała ją ciekawość: co z tym światem stanie się jutro, pojutrze? Czy w Kosowie zapanuje spokój? Co papież powie w niedzielę wielkanocną? Czy uda się sklonować człowieka? To nie byłoby takie głupie, myślała, sklonowałyby wtedy Mateusza dziesięć, nawet sto razy, może któryś z nich byłby jej wierny?

A gdy oglądała olimpiadę w Sydney i płynął ten czarny pływak, i tak mu było ciężko, i tak mu sił brakowało, to napinała mięśnie i razem z nim rozgarniała wodę, i szeptała: „Wytrzymaj, jeszcze tylko kilka metrów”. I jest pewna, że dopłynął do mety również dzięki jej wysiłkom. A gdy na nartach leciał w powietrzu ten chłopak z Wisły, to leciała razem z nim i dmuchała na niego, żeby jeszcze troszkę dalej skoczył, jeszcze metr, pół metra, kilka centymetów. A tak go polubiła, że nawet sobie sprawiła kolczyk w jednym uchu, jak on.

Właściwie świat istniał dzięki jej ciekawości. Dzięki niej co rano budził się, rześki, i co wieczór zasypiał, spocony. Karolina wierzyła, że świat nieprzerwanie toczy się do przodu. Wierzyła, że samochody będą coraz bezpieczniejsze, domy coraz tańsze, ludzie coraz lepsi, a biednych i wojen będzie coraz mniej.

Teraz po raz pierwszy może w życiu poczuła się bezsilna.

Zobaczyła w myśli piramidę z czaszek znalezionych w Kambodży. Potem, nie wiadomo czemu, rzędy butów pani prezydent Filipin. Tyle butów, myślała, tyle butów... Chińczyk znów stał przed czołgiem na placu Niebiańskiego Spokoju. Sęp cierpliwie czekał na śmierć padającego z głodu sudańskiego dziecka. Znów biegła wprost na nią przerażona wietnamska dziewczynka, jak zawsze naga, ręce rozłożone. Wietnamczyk po raz kolejny przykładął lufę do głowy więźnia w kraciastej koszuli, a ten płakał i ręce miał związane z tyłu. Znów poddawał się mały chłopiec, Żyd, w za dużej czapce.

Poczuła jasno i bezlitośnie, że wojny będą trwały, że w Afryce niżsi będą ucinąć nogi wyższym, a wyżsi będą maczugami rozpruwać niższych, że biali będą przesładować żółtych, żółci - brązowych, brązowi - czarnych i na odwrót. Że bogaci będą wprawdzie coraz bogatsi, ale i biedni coraz biedniejsi i że zawsze i wszędzie ludzie będą zwoływać wielkie polowania na Innego. Poczuła się zmęczona. Pojęła, że już nie może dźwigać całego świata na swoich ramionach.

Zajęła się tym, co było jej najbliższe. Ojciec! Wreszcie przypomniała sobie o ojcu. Myślała teraz o nim codziennie. Co chwila w jej głowie wyskakiwały nowe szczegóły. Jak ją trzymał za rękę, gdy spali - on na swoim łóżku, ona na swoim. Jak mu siedziała na kolanach i głaskała jego łysą głowę. Jak poszli razem do zoo.

Któregoś wieczora siadła w kuchni, rozłożyła nowy album i zaczęła wklejać swoje zdjęcia. Obok, czarnym mazakiem, opisywała ojcu swoje życie.

Stała tam, chuda dziewczynka z warkoczykami, radośnie uśmiechnięta, uczepiona ręki ojca, przy klatce lwa.

*Tato. Chciałeś mi kupić jedwabną koszulkę, ale mama nie pozwoliła.*

*U fotografa, na tle jeziora we mgle - kokarda, falbany, białe buciki na paski.*

*Zabrali cię. Wiesz, że to dozorca zdradził? Biegałyśmy na Szucha, a potem przyszedł list, że miałeś atak serca. Nie wiemy, gdzie leżysz.*

*W oknie baszty w Kazimierzu nad Wisłą - mężczyzna w rozpiętej koszuli w palmy, roześmiany. Mateusz. Wiele by mówić. Mateusz w skórzanej czapce z nausznikami. Kupiliśmy jawę!*

Zamknęła oczy i wciągnęła jaskrawe powietrze. Och, jak pędzili przez pola w upalny letni dzień, tylko zboża smagały jej łydki, a ona śmiała się i śmiała.

*Jednego jestem pewna: nie nudziłam się w życiu.*

Pod czerwoną parasolką, na Krymie, z pieprzykiem.

*Szesnaście razy leciałam samolotem i cztery razy odrzutowcem. Widziałam Sfinksa i Wenecję, a w Pompei psa, którego zalała lawa. Tulił pyszczek między łapami. Już od tylu wieków nie żył, a dalej się bał.*

Dwie godziny później Karolina z trzaskiem zamknęła album i westchnęła:

- Wszystko wraca. I spodnie w dzwony i nawet małe kafelki wracają.

Sprawdziła, czy drzwi dobrze zamknięte, zasunęła zasłony, zgasiła światła i poczłapała na górę, do sypialni, mrucząc zgorszona:

- Już nic ciekawego w życiu się nie zdarza.

## 50

Dwa dni później była powódź.

Najpierw niebo zaciągnęło się i zawisło tuż nad czereśnią. Z góry zaczęły padać krople wielkie jak bób. Padało dzień, dwa, trzy, pięć, bez przerwy. Z każdym dniem niebo opadało coraz niżej i było coraz bardziej stalowe, a woda w rzece coraz bardziej bura, spieniona i podnosiła się coraz bardziej. Piątego dnia środkiem nurtu płynęły drzwi wyrwane z zawiasów, ze skrzynką na listy, w której jeszcze bielila się koperta. Szóstego dnia rzeką spłynął koń. Siódmego woda nagle przybrała. Walała czarna, brudna, ciężka. Niosła wzdęte paczki papierosów i koszyczki sztucznych kwiatów.

Karolina siedziała w oknie na piętrze, patrzyła w wodę i czuła się tak nierealnie, jakby wszystko to oglądała w telewizji. Ze swojego parapetu miała widok na rzekę, na zalesiony brzeg po drugiej stronie i na most. Obserwowała, jak woda się podnosi, wpatrywała się w nią bez przerwy, jakby samym patrzeniem mogła powstrzymać jej uparte dążenie wzwyż. Kiedy rzeka dosięgła krzaku jeżyn na brzegu, Karolina w popłochu zbiegła na dół. Do plastikowej torby wrzuciła wszystkie swoje dokumenty, pieniądze, książeczkę oszczędnościową, wsypała złote pierścionki, które zazwyczaj trzymała w kryształowej cukiernicy w stołowym. Do drugiej torby, solidniejszej, włożyła chleb, dwie butelki Na-łączowianki, kilka starych konserw i torebkę chipsów.

Zaniosła wszystko do sypialni. Wyrzała przez okno - woda już targała krzakiem jeżyn.

Wróciła na dół, po portret Mateusza. Zdjęła go ze ściany, z ramy strzepnęła kurz. Stękając i klnąc co krok, to na Mateusza, że taki ciężki, to na siebie, że nie wiadomo

po co niesie go na górę, to na jugosłowiańską malarkę, dowlokła obraz do sypialni i oparła o szafę. Spojrzała mężowi w oczy, jakby oczekiwała od niego pochwały, ale, rzecz jasna, nie doczekała się.

- Powinieneś teraz tu być, przy mnie - mruknęła ze złością.

Na dywanie już leżały przygotowane: pęk świeczek, kilka paczek zapalek, latarka. Niewielkie radio na baterie. Włączyła je, chwilę kręciła pokrętem, aż trafiła na jakąś stację, nadawano jeden z tych idiotycznych konkursów, w których trzeba odgadnąć, ile pieniędzy znajduje się w skarbonce. Karolinie zrobiło się raźniej, że słyszy obok siebie ludzkie głosy, i w duchu złożyła życzenie: A niech wygrają jak najwięcej.

Zgasło światło. Pobiegła na korytarz, gdzie był drugi telefon i podniosła słuchawkę - odpowiedziała jej głucha seledynowa cisza.

Wróciła do sypialni. Włożyła gruby góralski sweter Mateusza, bo zrobiło jej się zimno, znów odsłoniła okno i usiadła na parapecie. Deszcz siekł po szybie. W ciemności ledwo widziała zarys mostu. Nagle usłyszała chrzęst - jakby żelazo ocierało się o żelazo - i ujrzała, jak powoli, zupełnie jak w kinie, załamuje się jedno przęsło, pęka asfalt, rozsuwają się bryły, i jedna część mostu, po tej stronie rzeki, z głuchym stęknięciem dziwacznie unosi się i tak już zostaje, a druga, z wyrwanym asfaltem, z prętami dźgającymi powietrze, opada z hukiem nad rwącą wodę i kołysze się tuż nad jej powierzchnią. Rozległ się huk, zadrżały szyby. Karolina oniemiała z wrażenia.

Boże, Boże - pomyślała, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Wkrótce księżyc zasłoniły chmury i Karolina już nic nie mogła dojrzeć przez szybę, tylko deszcz.

O północy położyła się w ubraniu na łóżku. Drzemała. Przez sen czuła, jak powietrze nasycy się wilgocią.

O pierwszej obudziła się nagle i nieodwołalnie. Leżała bez ruchu z poczuciem, że dzieje się coś ważnego. Minęła długa chwila, zanim zrozumiała, że poprzez szum deszczu słyszy jeszcze inny hałas, bliższy.

Zerwała się z łóżka, podbiegła do okna, ale niewiele zobaczyła. Schwyciła latarkę i oświetlając sobie drogę, zeszła na parter. Omiotła światłem przedpokój i salon. Sprzęty tkwiły na swoich miejscach wyczekująco. Otworzyła drzwi do piwnicy, skierowała światło w dół i zobaczyła, że tam, pod plakatem dwójki hiszpańskich tancerzy (ona miała twarz Karoliny, a on Mateusza), stoi woda. Na wierzchu pływały jakieś paprochy i jeden but. Karolina przesunęła snop światła w bok - pod murem zaczęło się wydęte kimono Mateusza z ptakiem na plecach. Aż zbladła, bo przez chwilę wydawało się jej, że to nie kimono, ale Mateusz pływa w piwnicy.

Z całą mocą zatrzasnęła drzwi, jakby mogły powstrzymać wodę, i pobiegła na górę. Otworzyła okno, wprost w jej twarz chlusnął deszcz. Nie zważając na to, zaczęła



wywijać latarką w powietrzu esy floresy. Krzyknęła: - Pomocy! - Szum był tak wielki, że sama ledwo usłyszała własny głos. Zamknęła okno i gorączkowo zaczęła szukać w pamięci sygnału SOS. Zgasiła latarkę, zapaliła. Dwa długie, jeden krótki. A może dwa krótkie, jeden długi, dwa krótkie?

Znów zbiegła na parter i zajrzała do piwnicy. Woda sięgała już czarnych lakierok tancerza-Mateusza. Trzeźwo zauważyła, że jeśli sięgnie jego brwi, wtedy zacznie się wlewać do mieszkania.

Tam w dole musiała zalać garaż, piec, skrzynię z butami zimowymi, słoiki z morelami, kamionki z ogórkami, narzędziownię, stolarnię Mateusza, jego papierzyska i zdjęcia. Karolina stała nieruchomo, patrząc, jak woda cicho i niepostrzeżenie idzie w górę. Po chwili sięgała już nogawki spodni tancerza i pięła się dalej. Chciała jej krzyknąć: stop, nie ruszaj się, już wystarczy, już dosyć mnie nastraszyłaś, ale nie dała rady. Czowała tylko, jak trzęsą się jej łydki, uda, ręce, policzki, szczękają zęby.

Zamknęła drzwi, tym razem cicho, rozejrzała się bezradnie, dostrzegła krzyż nad drzwiami wejściowymi. Przytaszczyła z kuchni stołek, weszła na niego i z mozołem zdjęła Chrystusa z zardzewiałego gwoźdźca.

Podreptała do stołowego. Otwierała szafę po szafie. Nie wiedziała, co brać, co ratować.

W piwnicy woda sięgała już kolan tancerza, za chwilę miała dotknąć skraju sukienki tancerki, czerwonej, z białą halką wykończoną białą koronką.

W całym przedpokoju czuć było wilgocia. Karolina poczłapa-, ła na górę, taszcząc pod pachą trzy tomy przedwojennej encyklopedii Trzaski, Everta i Michalskiego - jedyna pamiątka po ojcu. Położyła się na łóżku. Była zmęczona. Najwyżej mnie zaleje - pomyślała, wsłuchując się w szum za oknem. W dali wyły alarmy samochodowe. Wyją - zauważyła w myślach.

Poczuła pieczenie w piersiach. Wstała poszukać lekarstwa. Jak na złość latarka nie chciała się palić, pewnie wyczerpały się baterie. Zapalić świece też nie mogła, bo od wilgoci zamokły zapaliki.

- Co robić, co robić...?

- Zachować spokój - powiedział Mateusz. Racja - pomyślała, a Mateusz kontynuował:

- Nie jęczeć, nie rozpaczać, myśleć.

Karolina usiadła na łóżku i odetchnęła kilka razy. Zza okna wciąż dochodził łoskot wody.

- A teraz wyjmij baterie z radia i włóż je do latarki - rzekł Mateusz.

- A będą pasować?

- Nie dyskutuj, tylko rób, co mówię.

Zrobiła. Włożyła baterie z radia do latarki, nacisnęła przycisk. Latarka działała! Oświetliła nią pokój, komódkę, wyjęła fiolkę tabletek i wzięła jedną pod język. Podeszła do okna.

- Tu woda nie dojdzie - uspokajał ją Mateusz.

- Ciekawe, skąd wiesz?

- Bo musiałyby wcześniej zatopić całą wioskę. Nikt na to nie pozwoli.

- Taa, zwłaszcza ty nie pozwolisz - odparowała Karolina, ale cicho, żeby nie zrazić Mateusza. Bo, pomyślała, przyjemnie mieć do kogo gębę otworzyć.

Potem zastanowiła się nad sobą i aż machnęła ręką.

- Zwariowałam! Rozmawiam z portretem!

Rano obudziło ją wołanie:

- Pani Mateuszowa!

Nieprzytomnie rozejrzała się wokoło, ze zdziwieniem zauważyła, że leży na łóżku i ma na sobie grube rajstopy i spódnicę, góralski sweter Mateusza, a nawet buty, w dodatku zawiązane na sznurowadła.

- Pani Ptakowa!

Cała obolała dowlokła się do okna. Wyjrzała. W jej ogrodzie stała woda, na wodzie kołysała się łódka z panem Zielonką. Ucieszyła się.

- Pani Ptakowa, żyje pani? - zawołał z dołu pan Zielonka, osłaniając swój głos dłonią, żeby go wiatr nie potarmosił.

Odkrzyknęła, że w piwnicy woda stoi.

- Tylko w piwnicy? To dobrze. Całe miasto zalane, w kościele monstrancja pływa pomiędzy stelami i droga krzyżowa pani męża też, bo już była cała spróchniała. Na tarasie zostawiłem chleb i wodę - zawołał, pomachał jej ręką i odpłynął.

Jaka mu była wdzięczna.

Dzień wyszedł ze swojej nory na świat bury, nadąsany, ale suchy. Po południu woda zaczęła opadać. Wieczorem przyjechał Maciek. Samochód zostawił pięć kilometrów za lasem i drogę tę przeszedł pieszo, w kaloszach. Rozebrał się, cały zgrzany i zajrzał do piwnicy, ocenić straty.

- Nie jest tak źle - mruknął, pałaszując kromkę chleba ze smalcem, bo nic innego w domu nie było. - Trzeba osuszyć piwnicę i tyle. Masz szczęście, w miasteczku tyle domów zrujnowanych. U lodziarza, tego bez nogi, całą ścianę wyrwało.

- A jeśli fundamenty podmyło? - zmartwiła się Karolina. Nie miała siły zejść do piwnicy.

Na Macieju pojękiwania matki nie zrobiły żadnego wrażenia.

- Jak podmyło fundamenty, to je naprawimy. ~ - Boże - westchnęła. - Gdyby Mateusz żył, to by się tym zajął.

Zobaczyła naraz siebie: słabą, starą kobietę, która z coraz większym trudem wchodzi na piętro. Zateęskniła za mężem. Po prostu, zwyczajnie, chciała, żeby tu był. Mógłby nawet nic nie mówić, nawet jej nie brać za rękę - bo nie brałby, ooo, tego była pewna.

## 51

W następnych tygodniach miasto zajęło się Wielkim Sprzątaniem. Przy okazji oskarżano burmistrza, policję i wojsko, że nie zachowali się w czasie powodzi jak należy, a wojewodę, że wszem wobec głosił, iż żadnej powodzi nie będzie. Dawał na to swoje słowo!

Pan Zielonka, znany do tej pory jako złota rączka, pod warunkiem, że był trzeźwy, został okrzyknięty bohaterem. Przez cały dzień krążył w łódce po mieście i dowoził ludziom chleb kupiony za własne pieniądze. A docierał nawet tam, gdzie telewizja nie dotarła! Dwoił się i troił, nadstawiał karku, o mały włos nie postradał nawet życia.

Pan Kęskrawiec wszystko stracił. Trzy dni po powodzi powiesił się we własnym supermarkecie, a raczej w upadającym budynku, który po nim pozostał, w dawnym dziale dezodorantów.

Panu Kwaterze, który prowadził usługi pogrzebowe, nerwy siadły - przez tydzień płakał jak małe dziecko. Siódmego dnia poszedł nad wodę i nie wrócił. Szukano harpunem wzdłuż brzegu, ale dopiero wieczorem pletwonurkowie wymacali go pod skarżą - zaplątał się w korzenie. Jedni mówią, że sam wskoczył do wody, inni, że się zdrzemnął i we śnie zsunął. Po śladach wyraźnie było widać, że długo siedział na brzegu, długo myślał, pewnie o tej wodzie, co mu zabrała cały składzik trumien.

Miasto rozsadzało od opowieści. Że na podwórko Agaty Orzeszek, wdowy po hydrauliku, co to sopel przeszył mu myśl, wpłynął krzyż z grobu jej teściowej. Że czerwony samochód kręcił się w wirze, kręcił, aż wir rzucił go o ścianę kamienicy pod morwami, urwało balkon i mur za telewizorem, a w telewizorze akurat leciała różowa landrynka, więc to pewnie kara za grzechy, nieczyste grzechy. Że w kościele zalało taśmy, z których ksiądz Przyczyna puszczał bicie dzwonów, bo na prawdziwe nie było go stać, tacy ludzie skąpi. Że zegarmistrz cały majątek schował w nodze stolika i gdy nagle zobaczył, jak jego stolik, tańcząc na środku rzeki, odpływa, dostał zawału.

Mówiono, że druga fala nadejdzie i że będzie wyższa i groźniejsza, a po niej nadejdzie trzecia fala. Wnioskowali to z faktu, że po powodzi ukazała się na niebie potrójna tęcza. Przypomniano starą przepowiednię - że jak rozkopią Rynek, to zaleje miasto. A Rynek właśnie rozkopano, żeby zmienić nawierzchnię. W ziemi znaleziono kości ludzi zmarłych w czasie wielkiej zarazy. Szczątki pochowano, a kawałki macew i kamieni z niemieckiego cmentarza właściciel nowego pubu kazał wmurować w ścianę, żeby mieć oryginalnie.

Szukano znaków. A to, że powódź szła szlakiem papieża. A to, że jest to kara, najpewniej za konsumpcyjny i sprośny styl życia.

- Czy taka masa wody może spaść z nieba? - pytała dramatycznie pani Podkolan-ko.

Miasto było tak zajęte leczeniem ran, że nikt nawet nie zauważył, iż Mateusz zniknął na dobre. Z wyjątkiem Ferdynanda, rzecz jasna, którego i tak w miasteczku nie było, bo poleciał ze swoją żoną na wakacje do Nowego Jorku.

WJomu Karoliny wszystkim zajął się Maciej. Oczyszczył piwnicę z błota i szlamu. Osuszył. Odmalował. Sprowadził specjalistę, bo w garażu ściany popękały. Karolina nawet się nie domyślała, że ma takiego zaradnego syna. Okazało się, że zaradność w nim była, tylko głęboko zakopana.

W piątek całą piwnicę Maciej wywiózł na wysypisko. Karolina bezradnie patrzyła na kontener odjeżdżający na zawsze z jej marmoladami z wiśni, z jej kompotami z czarnej porzeczki, przecierami z pomidorów, z jej suknią balową, z jej zieloną garsonką, w której odprowadzała małą Maciejkę do szkoły, z jej froterką, z jej wszystkimi zdjęciami. Na szczycie kontenera powiewało z melancholią Mateuszowe kimono z ptakiem, który pikował dziobem w dół, jakby i on nie żył.

Karolinie przemknęła przez głowę myśl, żeby zatrzymać samochód i zabrać kimono; myśl przemknęła i uciekła. Już nic jej się nie chciało. Cały czas w jej głowie stała woda i szumiała. W nocy Karolina wciąż śniła, że czarna toń dotyka lakierki hiszpańskiej tanecznicy, i że to ona jest tą tanecznicą, cienką w talii jak osa, że podnosi falbaniastą spódnicę, podnosi nogi w lakierkach i chce biec, chce się wydostać z piwnicy i nie może, bo przecież jest zawieszona na gwoździu, na ścianie.

Myślała: Nie dość, że przez to przeszłam na jawie, to jeszcze w snach przeżywam.

Myślała: Wszyscy pracują jak te mrówki, a potem przychodzi woda i nie ma nic.

Budziła się i słyszała łoskot. Wstawała, podchodziła do okna. Potem odwracała się do Mateusza, bo jego portret już został w sypialni, oparty o szafę, i chciała coś powiedzieć, ale tylko machała ręką.

Tymczasem w niewielkim miasteczku nad Morzem Śródziemnym, w dawnym pałacyku, przerobionym na dom dla dogasających, starszy mężczyzna, siwy i prosty jak struna, siedział przy komputerze i pisał list. *Ma chère* - Moja droga. Zmartwiło go naraż, czy widoczne będą francuskie akcenty, więc odwrócił się i oschłym głosem zawołał:

- *Mademoiselle* !. *Mademoiselle*!

- *Non, non, écrivez sans accents*, niech pan pisze bez akcentów. - Krucha brunetka o spiczastym nosie chciała mu zajrzeć przez ramię, ale spłoszył ją wzrokiem. Przypilnował, czy jej kroki się oddalają, po czym wrócił do komputera. Zaczął na nowo. *Ma chère... Tant d'année tu m'as fais attendre...* - tyle lat kazałaś mi czekać. I pisał już bez przerwy, do samego końca. O tym, jak bombardowano Berlin, jak uciekł do Francji, jak chciał zapomnieć o wojnie. Jak czasami myślał o niej, o Charlotte - kiedy umierał Stalin, kiedy wojska paktu warszawskiego wkraczały do Pragi, a jak nastąpiła Solidarność, to nawet wysyłał paczki do Polski, no i potem, kiedy Waleza szedł na prezydenta, on myślał: Czy moja mała Charlotte tam jest?

Skończył list, podniósł głowę, spojrzął za okno. Zapatrzył się na aleję, na grube platany, na owalne plamy na ich pniach i pomiędzy drzewami zobaczył naraz tę chudą dziewczynę z grubym jasnym warkoczem i usłyszał jej piskliwy głos. Powtarzał za nim: *J'attendrai...*

Potem dziewczyna rozwiąła się, a między platany weszła drobnym kroczkiem szczupła brunetka w czerwonym kapeluszu. Prowadziła na naprężonej smyczy jamnika w kamizelce w czerwono-granatową kratę, za sobą ciągnęła walizkę na kółkach, i choć była daleko, między platanami, słyszał ostry stukot jej obcasików. Jego żona, Nicole, jak zawsze ekscentryczna. Ona też się rozwiąła. Zamknął oczy i znów poczuł jej zapach - słodki, ciężki, orientalny.

Wrócił do listu, przeczytał go jeszcze raz, nacisnął klawisz *envoi*. Wstał, z niesmakiem spojrzął na jadłospis, zawołał:

- *Mademoiselle, encore du poulet? Vous n'avez rien d'autre? Znowu kurczak? Nic innego nie macie?*

List szybował w cyberprzestrzeni trzy godziny i przycupnął. Czekał. Nie wiadomo czemu nie mógł się przebić do skrzynki Karoliny.

W tym samym czasie w Dżakarcie student trzeciego roku informatyki Mulud z pasją uderzał w klawiaturę. W tej pasji była cała jego wściekłość na świat - za to, że świat milczy, kiedy torturują jego przyjaciela w więzieniu, za to, że wolność słowa za-

rezerwowana jest dla tych zadowolonych z siebie, dobrze odżywionych dupków z Ameryki i z Europy. Przez chwilę myślał też o dziewczynie z czarnym warkoczem - siedziała na podłodze, biodra okręcone sarongiem, odkryte piersi, dziecko na kolanach, i wodziła wzrokiem za szczupłym blondynem, który przyjechał z Ameryki: zajmował się tam jazzem. Pamiętał ją, jak szła ścieżką przez las do szkoły, gruby czarny warkocz objął się o pośladki, furczała szara plisowana spódniczka. Zatrzymywała się przy drzewie na rozstajach, zapalała kadzidełko bogom czy duchom przodków, Mulud nie wiedział dokładnie, nie znał się na jej wierzeniach, przecież był muzułmaninem.

Przez moment myślał też o pewnej dziennikarce z Polski, chudej i niemal pozba-  
wionej piersi, która wypytywała go o jego życie. Wzruszył ramionami.

Przygryzł wąskie wargi i nacisnął klawisz enter. Jego wirus -dał mu nazwę „Con amore”, bo znał ludzi Zachodu, wiedział, jacy są łasi na miłość - poleciał po łączach. Dotarł do komputerów uniwersytetu Dżakarty, potem do redakcji pism amerykańskich i europejskich. Nie wiadomo jakim sposobem doleciał do skrzynki Karoliny. Przycupnął i czekał.

## 53

W końcu sierpnia Karolina spłakała się na pogrzebie Rafaeli. Na początku września pojechała do Warszawy, ot tak, bez powodu, i poszła do Łazienek. Było słonecznie, alejkami spacerowały zakochane pary. Pawie, jak zwykle, spoglądały z wyższością, łabędzie pływały się w wodzie, a w alejce przy pałacu śliczna sak-sofonistka -  
pewnie Rosjanka - w eleganckiej sukni do ziemi grała tango „Pamiętasz, była jesień...”, dość awangardowo przy tym jazzując. Karolina poszperała w portmonetce, wyjęła dwa złote i z namaszczeniem włożyła je do czarnego kapelusza na ziemi. *Drogi Aniele Strózu, nie zapomnij dopisać tych pieniędzy do ogólnego rachunku. Wiem, że to nic wielkiego, ale sam wiesz, grosik do grosika... Amen.*

Pomyślała: I to lato, i to wszystko przemija, ucieka...

Znów przyszedł jej na myśl ojciec.

„Wróci do ciebie jesienią” - mówiła jej wróżka w 1943 roku. Kiedy nadchodził wrzesień, Karolina wypatrywała. Wiedziała, że ojciec nie żyje, od ponad pół wieku o tym wiedziała, i od tylu lat, kiedy liście rdzewiały, miała nadzieję: a może wyjdzie z tej bramy? Wyskoczy na jezdnię z tramwaju? Jak zawsze elegancki, z laseczką, z

psem u boku, któremu założył na nos okulary i w pysk wetknął fajkę, bo przyznać trzeba, poczucie humoru to on miał.

Zatrzymała się chwilę przed teatrem ogródkowym w Dolince Szwajcarskiej. Siadła przy plastikowym stoliku, zamówiła tosty dramatyczne i napój dionizyjcki, choć nie miała pojęcia, co zamawia, i zapatrzyła się na przedstawienie - chudy pan w meloniku i okrągłych okularach, strojąc śmieszne miny, opowiadał o dżungli, a z widowni patrzyła oczarowana dzieciarnia. Smutnie grała katarynka. Nie wiadomo czemu Karolina nagle zamiast pana w meloniku zobaczyła Ewę Demarczyk, taka młoda, dziewczynka jeszcze, z warkoczem, śpiewała, a te karuzele furgotały w powietrzu, i ten śmiech.

Potem przespacerowała się wolno pod Sejmem. Gdzieś tutaj, w ostatnie lato przed wojną, tata zabrał ją do restauracji, nazywała się Frascatti. W tym białym gmachu, za szlabanem i budką wartownika, przemawiał. Koniecznie chciała z nim iść na posiedzenie. Nie pozwalając, więc któregoś dnia wydelegowała lalkę. Wsadziła ją do górnej kieszonki marynarki, a żeby jej było wygodniej, wyjęła stamtąd okulary.

*Aniele Stróżu, tak chciałabym jeszcze raz wdrapać się na kolana ojca i przytulić. Co z tego, że teraz jestem niemal dwa razy starsza od niego? Ludzie myślą, że ja jestem starą kobietą. Śmieszne, ja w głowie mam najwyżej czterdzieści lat. A czasem czuję się zupełnie jak mała dziewczynka.*

Pojechała do Maciejki. Zjadły obiad. Maciejka siadła do komputera, a Karolina stanęła w oknie i z wysokości czwartego piętra przyglądała się światu. Chodnikiem szła dziewczynka z Downem, wyrzucić śmieci. Karolina widziała ją za każdym razem, gdy była u córki. Wypełniony odpadkami plastikowy worek obijał się o jej uda, a ona szła noga za nogą, rozglądając się z radosną ciekawością. Czasami ten spacer trwał nawet godzinę. Tyle rzeczy wokół! Zahamował samochód, na ściętym pniu siedzi kobieta, płyną chmury. Dziewczynka chłoneła świat. Ta droga od jej domu do śmietnika, którą przemierzała codziennie, musiała być treścią jej życia. Jej całym życiem. Droga do śmietnika - droga przez życie. Pewnie już od rana myślała, jak to będzie, kiedy włoży buty i weźmie wreszcie worek z odpadkami do ręki. Jak musiała drzeć na myśl o chłodnym plastiku przylegającym do jej dłoni. To musiał być prawdziwy przyjaciel, prawdziwy towarzysz jej życia. Może jedyny. Czarny, chłodny plastik.

Przeniosła wzrok na jezdnię.

Środkiem mknęły zachodnie samochody, brzegiem mężczyzna ciągnął wózek wyładowany tekturą. Przystanął przy krawężniku, przysiadł na ławce przystanku autobusowego, zgarbił się, oparł łokcie na kolanach, zapalił papierosa i zapatrzył się przed siebie. Wszystkie jego myśli krążyły pewnie wokół tego wózka. Znaleźć, załadować, zawieźć, sprzedać - terkotały myśli - znaleźć, załadować...

Nie wiadomo czemu nagle Karolina pozazdrościła im życia.

Do domu wróciła bardzo zmęczona. W nocy nie mogła zasnąć. Zamiast liczyć barany, zaczęła myśleć, kogo zobaczy w tamtym życiu, pod warunkiem, rzecz jasna, że cokolwiek tam istnieje. Ojca na pewno. Mamę - jak zwykle czyta „Quo vadis”. Koleżanki z powstania, ze szkoły też. Wszystkie swoje gosposie. Teścia, surowego wążacza, i małą teściową, która wpadała w depresje. Lekarza bez nogi. Pana Kęskrawca i pana Kwaterę. Mateusz też będzie czekał. Może nawet będzie gwizdał pod nosem tango „La Cumparsita”. A jego kochanki?

*Drogi Aniele Strózu, nie wiem, jak Bóg rozwiąże sprawę kochanek. Czy nas razem pomieści? Najlepiej by było, gdyby Mateusz poszedł do piekła, razem ze swoimi kochanicami, a ja do nieba, ale chyba nie wypada mi ciebie o to prosić. Jeśli więc mamy się razem gnieździć, to bardzo proszę, żeby Bóg rozważył, jak się wszyscy zniosą. Amen.*

Westchnęła. Będzie tylko płacz i zgrzytanie zębów.

I, już uspokojona, zasnęła.

## 54

We wrześniu czterystu uchodźców z Azji wciąż błąkało się po oceanie, bo żaden kraj nie chciał ich przyjąć; poradnik radził sporządzić listę dwudziestu pięciu spraw, które chce się przeżyć przed śmiercią; Maciejka o mały włos nie zginęła w Kurdystanie. Karolina nie wiedziała dokładnie, co się stało, bo jej córka milczała jak zaklęta. Zdaje się, że samochód, którym jechała, został ostrzelany. Zginął ten chłopak, którego Karolina poznała, taki ładny wysoki blondyn, młodszy od niej co najmniej o osiem lat. Mówili o tym w telewizji.

Karolinie serce ścisnęło się na widok córki. Maciejka nic nie mówiła, tylko miała w oczach granatowy cień. Jakby je ktoś od spodu wyłożył aksamitem. Rozmawiała z Karoliną, śmiała się, a zaraz potem wpadała w milczenie tak głębokie, że aż dudniło.

Jakby jednego pogrzebu było nie dość, umarł jeszcze przyjaciel Mateusza, Leszek Kisiel-Sonet, tenor. Na mszy żałobnej Karolina nie mogła oderwać oczu od urny, bo



tenor kazał się spalić. Po człowieku - pomyślała ze smutkiem - zostaje kostka trzynastu centymetrów na trzynastu, raptem trzy kilogramy prochu, mój Boże.

Urna była czarna, ze złoceniami; stała na białej kolumnie. Była tak mała, że w końcu wszyscy zapomnieli, że to był wielki tenor, zarozumiała.

- Ja też chyba każę się skre-mo-wać. To nowoczesne i higieniczne - mówiła Karolina do pani Podkolanko, choć ta odradzała:

- Spalili kuzynkę. Rodzina trzymała urnę najpierw na kominku, potem w szafie, później w piwnicy, a w końcu nie wiadomo gdzie się podziała.

Karolina nie czuła się najlepiej. Z nogami było coraz gorzej - rwały ją oba kolana - ręce też czuła, jakby je ktoś siekł zimnym nożem. Umykało jej coraz więcej słów. Wyciągała w sklepie palec w stronę kwiatka w doniczce i bezradnie pytała:

- No i jak to się nazywa?

- Paproć - podpowiadała sprzedawczyni.

Słowa krążyły wokół niej jak motyle. Widziała je, czuła. Goniła je, jak z siatką, a jak udało jej się złapać jakieś zbiegłe słowo, to taka była szczęśliwa. Oglądała je najpierw dokładnie, ze wszystkich stron, potem ostrożnie wkładała do skarbczyka. Jest, myślała, trzymam je. Ale już trzeba było zarzucać siatkę na następne słowo. Życie stawało się żmudne.

Nie chciało się jej jeść, sprzątać też nie za bardzo. Karolinie już nawet nie chciało się włączać telewizora. Tylko wiadomości jeszcze oglądała. Dużo spała. Śniły się jej zwykle sprawy, na przykład, że płaci jakiś rachunek na pocztę albo że gotuje zupę. Czasami nie wiedziała, czy śni się jej jawa, czy jawi się jej sen.

Niespodzianie za to czuła różne smaki. Na przykład ostry smak rabarbaru oblepionego cukrem. Aż cała się wykrzywiała, taki był kwaśny. Trochę myślała o śmierci. Akurat trafiła na książkę o tym, jak ludzie umierają i zdziwiła się, że umierają na tyle różnych sposobów. Z przejęciem przeczytała o grudach, zwałach i o tych strasznych rzeczach, które dzieją się pod skórą i ściółką mięśni. W nocy patrolowała wnętrze swojego ciała, wyobrażając sobie powiększoną wątrobę, leniwe jelita, zwiotczały żołądek, zmęczone nerki, serce, które się rusza ledwo, ledwo. Zastanawiała się, który organ zawiedzie. *Aniele Strózu, uprzejmie proszę, żeby to nie był wylew ani rak. Ani żeby mi pamięć nie uciekła, jak prezydentowi Reaganowi. Walczył z imperium zła, trząsł połową świata, a teraz nawet nie wie, że był prezydentem, mój Boże. Człowiek nie jest człowiekiem, jeśli traci pamięć. Drogi Aniele Strózu, czy ja nie mogłabym umrzeć chyłkiem? Amen.*

Niekiedy miała przypływ energii. Przypomniała sobie naraz tę czarną dziewczynkę, której szkołę opłacał Jan, westchnęła: -Oni się tam w tej Rwandzie mordują, ale

przecież to jeszcze dziecko - i od razu pomyślała, że Maciejka by ją za takie myślenie ofuknęła.

Zadzwoiła do córki Jana, a ta przysłała jej w dużej szarej kopercie listy małej i zdjęcie. Karolina od razu poszła na pocztę i wpłaciła pieniądze za jej szkołę na cały następny rok, choć zaraz obliczyła, ile drzewek do ogrodu mogłaby za nie kupić. *Aniele Strózu, dopisz to na konto Janka*. Westchnęła: - Czy ja muszę czuć się odpowiedzialna za cały świat? - Ale zdjęcie Rwandyjki powiesiła nad łóżkiem, obok aniołka od żony Andrzeja.

Jeszcze tego samego wieczora bardzo przejęła się śmiercią afgańskiego przywódcy; Maciejka mówiła, że to bardzo przyzwoity człowiek. Wysadzili go w powietrze dwaj mężczyźni udający dziennikarzy. *I jak tu ludziom wierzyć, Aniele Strózu, sam powiedz, jak?!*

Wieczorem nie wiadomo czemu Karolinie przeleciało przez głowę, że może to wszystko jest jak w Big Brotherze? To wszystko - znaczy się, jej życie? Jest jakieś zewnątrz i tam siedzi publiczność i ją ogląda? Trzymają kciuki, podrzucają zadania do wypełnienia, zliczają punkty, śmieją się z niej, płaczą? Jest jakaś Martyna Wojciechowska w lśniących złotych spodniach, która czeka przy wyjściu i odlicza? Dziesięć, dziewięć... Ona tutaj boi się i drży (choć Karolina nie śmierci się bała, lecz umierania), a tam widzą ją na monitorach i chórem liczą: osiem, siedem... Wszyscy tam siedzą, w ławkach, na krzesłach, wyprostowani jak na rodzinnej fotografii, siedzą kuzyni, znajomi, może nawet ludzie, o których już dawno zapomniała, nawet ten stary Arab z targu na Sycylii siedzi i odlicza: Sześć, pięć, cztery... ale ona ich nie widzi, tylko tę ścianę, a za ścianą nic, a tam może nawet czeka na nią mąż pani Podkolanko, ten sam, co sprowadzał kibelki z Włoch, a i tak nie ustrzegło go to przed rakiem odbytu; siedzi - plecy wyprostowane, ręce na udach - i liczy: trzy, dwa... Aż ściana się rozsunie, ona, Karolina, stanie na szczycie schodów, oślepią ją światła, rozlegną się oklaski, zadudnią bębny, jakaś Martyna weźmie ją za rękę i wolno, wolniutko poprowadzi przez szpaler ludzi. Wyciągną się do niej, do Karoliny, setki rąk, i wszyscy będą wołali, i cieszyli się, a ona będzie szła nieśmiało i najchętniej to by się zapadła pod ziemię ze wstydu. A na końcu drogi będzie jakieś studio i jakiś Miecugow będzie na nią czekał, a obok niego, tak, obok niego...

Nie, Karolina nie postawiła obok niego Mateusza. Mateusza w ogóle tam nie było i nawet jej to nie zdziwiło. Czekał tam na nią tata - taki, jakiego zapamiętała, a widziała go po raz ostatni, kiedy miała trzynaście lat - ciepły, silny, łysy, bo mu wszystkie włosy wyszły z powodu tyfusu.

Uśmiechnęła się do niego i już miała, ukojona, zasnąć, kiedy zdała sobie sprawę, że powinna przestać się garbić i zacząć wciągać brzuch, tak na wszelki wypadek, gdy-

by naprawdę ktoś ją obserwował... I zasnęła. I już we śnie przeraziła się, że ów Wielki Brat może znać te okropne myśli, te ohydne, wstrętne myśli, które jej czasem przychodziły do głowy (bo przecież każdego czasami nawiedzają robaczywe myśli). I jej policzki, wciąż we śnie, pokrył rumieniec wstydu.

## 55

Następnego dnia, w poniedziałek, poszła do spowiedzi, bo zbliżało się pięćdziesięciolecie ślubu Szczupaczkiewiczów, a miała być msza i przyjęcie w ogrodzie. W mroku kościoła dreptała zagubiona. Dwóch kroków już zrobić nie potrafię - pomyślała ze złością. Ukłękła przed konfesjonalem, przeżegnała się i już miała wymienić wszystkie swoje grzechy, kiedy nagle i nieodwracalnie je zapomniała, mimo że nie było ich wiele. W popłochu wymyśliła dwa.

- A różaniec mówi? - spytał głos przez kraty.

- Tak - skłamała.

- To niech powie, z jakich części się składa.

Karolina poczerwieniała i ze wstydu upuściła parasolkę, czym narobiła okropnie dużo hałasu.

Krata zaszumiała coś sama sobie w odpowiedzi i orzekła kategorycznym tonem:

- Litanię do Matki Bożej, pięć razy.

W drodze do domu Karolina pomyślała, że zabierze się za nią rano, jak umyje okna. Potem zbuntowała się; zamiast odbębniać litanię woli przeczytać sobie wiersz tego księdza-poety o twardym nazwisku, tego, który napisał: „kto do końca nie kocha ten odchodzi paskudny i wszystko źle”. Ale potem zupełnie o tym zapomniała.

Po południu zadzwoniła Maciejka i radosnym głosem obwieściła:

- Mamo, szykuj się, za trzy tygodnie jedziemy do Francji.

- Ja? Do Francji? Nie pojedę - powiedziała twardo Karolina.

- Pojedziesz, pojedziesz - przekomarzała się Maciejka. - Będziesz w telewizji.

Karolina roześmiała się głośno i nieszczerze.

- Znalazłam twojego Francuza, André Richarda!

- André?! Jak? Gdzie?

- To proste. Napisałam do Paryża, do telewizji. Mają tam taki program, odnajduje ludzi, którzy kiedyś się zagubili, i oni odszukali twojego André.

- Zwariowałaś! - rzekła Karolina głośno i nieodwołalnie.

- Zapraszają nas do telewizji. Mnie też, jako tłumaczkę. Świetnie, spotkam się z Akirą. Pamiętasz Akirę? Ten Japończyk, z ambasady w Paryżu, opowiadałam ci o nim...

Maciejka rozstała się z prawnikiem i niespodziewanie zakochała się w swoim byłym kochanku, mimo że ani go nie widziała, ani nie miała od niego żadnej wieści od dziesięciu lat. Co noc śniła jej się jego szyja, nieco chropowata, dokładnie tam, gdzie chowała się za białym sterczącym kołnierzykiem. Maciejka po prostu zakochała się w zjawie z własnej pamięci, w japońskiej zjawie.

- Nigdzie nie pojedę - zaprotestowała Karolina.

- Pojedziesz!

Karolina ostrożnie odłożyła słuchawkę. Zachichotała. Ona? Do telewizji? Zobaczy ją cała Francja? Naraz pożałowała: jaka szkoda, że nie Polska! Ale jak to? I co? Tak stanie przed zupełnie nieznanym mężczyzną? Zaraz, zaraz, a może ten program pokazują i u nas?

Aż przysiadła na krześle. Wyobraziła sobie znajomych, i przyjaciół Mateusza, i wdowy ze swojej ulicy, i kuzynów, i rodzinę, z którą nie utrzymywała kontaktów od lat, i koleżanki z powstania. Włączają telewizor, szukają kanału z jakimś ciekawym programem, a tu tylko strzały i trupy, i to bez tej fi-ne-zji Hitchcocka, u którego trup nie jest wcale taki trupi, lecz żywo interesujący, szukają więc, przerzucają, o, tu coś ciekawego, teleturniej? Patrz, Hanka, kto to ta pani? Czy to nie nasza Mateuszowa? Ależ tak, poznaję ją po pieprzyku pod lewym okiem no i po małym zadartym nosku, to na pewno Mateuszowa, ależ się zestarzała...

Karolina wyobraziła sobie wielką, lśniącą salę. Siedzi na dużej kanapie, najlepiej modrej, bo jej do twarzy w tym kolorze. Pochyliła się do niej łysawy pan o bardzo białych zębach.

- No więc co André wtedy pani śpiewał? Czy pani pamięta? Łysawy pan pyta po francusku. Maciejka tłumaczy.

- Pamiętam.

- To niech nam pani zaśpiewa.

Ona chwilę się droczy, ale w końcu nabiera powietrza, czerwieni się, poci i śpiewa, cichutko:

- *J'attendrai le jour et la nuit j'attendrai toujours ton retour.* Oklaski.

- Proszę państwa - łysawy pan zwraca się teraz wprost do publiczności - Karolina nie zna francuskiego. A mimo to potrafi słowo w słowo odtworzyć po francusku piosenkę, którą dokładnie pięćdziesiąt pięć lat temu śpiewał jej André.

Oklaski.

- A oto on!

Tutaj Karolina miała naprawdę duży kłopot. Jaki on może być? Duży, mały, chudy, gruby? A może zupełnie łysy, jak jej ojciec? Z pooraną twarzą? A może jest po operacji plastycznej, bo przecież tam, na Zachodzie, mężczyźni też robią sobie ładne twarze. Tak piszą w gazetach. Jest Francuzem, więc pewnie pięknie wygolony i uśmiechnięty od ucha do ucha. A może siwy i złamany w pół, jak Jan? Och nie, to przecież Francuz, musi być lekki i dowcipny. Jak beza, po prostu jak beza. Podchodzi do Karoliny i całuje ją w oba policzki. Nie, całuje ją trzy razy, jak paryżanie. Karolina koniecznie chce mu coś powiedzieć, przetrząsa torebkę, czegoś szuka.

- Pamiętasz? - mówi powoli, wyraźnie rozdzielając sylaby; ręce jej się trzęsą ze zdenerwowania. - Pożyczyłam od ciebie za pałki. Za-pał-ki. Powiedziałam, że... że oddam ci je po wojnie. Po woj-nie.

Wreszcie dogrzebała się. Wyjmuje pudełko, takie zwykłe, polskie, z czarnym kotem na wieczku.

Jest cała czerwona z emocji.

Oklaski.

Wieczorem Karolina wzięła długą kąpiel w wodzie, do której wsypała mleczny proszek z płatkami róż - gwiazdkowy prezent od Maciejki. Leżała w wannie, a w głowie kołatała jej się myśl: Kąpię się jak Kleopatra.

Nie wiedziała, że dwa dni później znajdą ją i będzie miała kołdrę odrzuconą, koszulę nocną zrolowaną pod pachy i będzie leżała z wypiętą gołą pupą. Znajdzie ją, oczywiście, taksówkarz, który zauważy, że Karolina nie zamknęła na noc okna. Gdyby wiedziała, że to on pierwszy pchnie drzwi jej sypialni, delikatnie, samymi opuszkami palców, pewnie by wykrzyknęła zgorszona: Nigdy nie miałam szczęścia! Ani w totolotku, ani przy egzaminie, a w życiu też musiałam się napracować, nic mi z nieba nie skapywało, żadna manna.

Karolina nie zauważyła, że jednak nieźle się stało, bo wcześniej wykapała się porządnie, włożyła świeżą koszulkę i w dodatku nie zmarła ani na raka, ani na Alzheimera. Już taki miała charakter, że nie widziała tego, co dobre...

Pewnie też rozzłościłaby ją pani Idalia Gwizdalanka z sąsiedztwa, która, gdy tylko dowiedziała się, że Karolina zmarła, westchnęła głośno: „Co Bóg przeznaczy, to się na środku drogi rozkraczy”, i z jeszcze większą werwą wzięła się za czyszczenie swojego krasnała w łubinie.

Ale na razie Karolina kąpała się i myślała: O, kąpię się jak Kleopatra.

Potem założyła świeżą białą koszulę nocną z portretem tego kubańskiego rewolucjonisty na piersiach, który, niestety, był komunistą, mimo że był ładnym chłopcem - również prezent od Maciejki na Boże Narodzenie, tyle że poprzednie. Cała dymiąca

jeszcze od kąpieli weszła pod kołdrę obleczoną w świeżą powłoczkę, granatową w złociste księżyce. Spojrzała na małą Murzyneczkę nad jej łóżkiem i uśmiechnęła się do niej. Mała zawsze ją rozśmieszała. Spojrzała na portret Mateusza. Chciała coś powiedzieć, ale machnęła ręką. Zresztą wydało się jej, że w kącikach jego ust dostrzegła znużenie - może gorycz? - i zrobiło się jej go żal. Wzięła do ręki aniołka od Maciejki, obróciła go w palcach, odłożyła. Sięgnęła po list, który przyszedł tego ranka. Był to długi list od pani Podkolanko. Przyznawała się, że to ona była ostatnią kochanką Mateusza i prosiła o przebaczenie. Karolina tylko wzruszyła ramionami. Przecież wiedziała o tym od początku!

Długo nie mogła zasnąć. Połknęła proszki nasenne i sięgnęła po książkę od Maciejki o tej kobiecie, która też straciła męża. Przeczytała pierwsze zdanie i zamknęła oczy. Co to dzisiaj radził poradnik na życie? Aha, przelecieć się balonem. Zganiła się w myślach: No właśnie, czemu do tej pory tego nie zrobiłam?

Zgasiła światło. Po omacku jeszcze raz wzięła tabletki nasenne, bo zapomniała, że już raz je brała. Potem pomyślała, że chyba zamiast środka na sen wzięła witaminy, zapaliła lamę, wyjęła z buteleczki następny proszek, połknęła, popiła wodą.

Gdyby wiedziała, że umrze nieprzygotowana, na pewno trafiłby ją szlag. Nie zdążyła przecież zapytać Maciejki, co to jest te-legazeta. Ani poprosić, żeby ją po śmierci skremowali. Nie miała nawet porządnego ubrania do trumny. Swoją czarną garsonkę spaliła pod koniec żałoby. Nie mówiąc już o tym, że wszystkie jej oszczędności poszły w błoto, to znaczy w osuszanie piwnic, więc Bóg wie, kto zapłaci za jej pogrzeb!

Ale Karolina nie miała o tym pojęcia. Leżała i upajała się czystością. Poczula naraż zapach herbatnika i wyobraziła sobie, jak odrywa ząbek, jak turla go delikatnie językiem po podniebieniu, jak ją to śmiesznie łaskocze, a potem jednym okrutnym ruchem miażdży go między zębami.

Słyszała, jak do sąsiadów zajeżdża samochód i jak szczekają psy, i jak gdzieś w mieście wyje alarm samochodowy. Jeszcze raz sięgnęła po fiolkę, wysypała z niej dwie tabletki, bo naprawdę już chciała spać.

Zasnęła twardo, niespokojnie. Przyśniło jej się, że jedzie pociągiem do Warszawy. Potem idzie do Łazienek, we francuskiej kawiarni o nieprzyzwoitej nazwie je lody w łódce z melona. Tramwajem jedzie na Ochotę. JMŻ pieszo dociera na kolonię Staszica. Tutaj mieszkała w czasie wojny. Wchodzi na klatkę schodową. Pierwsze piętro. Pcha drzwi. Próg przekracza z trudem. Ktoś jej podaje dłoń i zaraz znika. - Nareszcie w domu - wzdycha i natychmiast bierze ją złość. A więc to ma być jej dom?! Jaki brzydki - myśli niezadowolona, bo Karolina zazwyczaj jest niezadowolona. Mieszkanie jest zimne i zaniedbane. Na ścianach ciemnieją długie zacieki. W rogach zwisają pajęczyny. Mebli niewiele, z pomalowanej sklejk. Całe życie szukałam i on taki jest? - myśli

rozczarowana. Wzdycha; czeka ją dużo pracy. Chce iść na górę, bo nagle okazuje się, że jest jakaś góra, ale zauważa z przestachem: Ojej, nie ma poręczy. W tej samej chwili poręcz wysuwa się ze snu, i to dokładnie nad schodami.

Karolina wchodzi na piętro, rozgląda się. Pusto, tylko na parapecie leży jedno czerwone jabłko.

Skrzypią drzwi.

- Mateusz? - woła, a głos nagle ma dźwięczny.

Nikt się nie odzywa.

Wie, że on tam jest, w serdaku i szafirowym garniturze. Wie, że za chwilę wejdzie, spojrzy na nią z łobuzerskim uśmiechem tymi swoimi migdałowymi oczami, przechyli się nieco do przodu, poruszy zielonym krawatem w żyrafy, a ten zagra „Happy Birthday”, jakby nie można było dobrać właściwszej melodii do końca świata. Mateusz. Taki, jak zawsze. Znow będzie ją czarował, a ona znow się na to nabierze.

O tym wszystkim wie.

Jeszcze chwila - myśli.

Spogląda za okno. Gryzie jabłko.

**Warszawa, 1999-2002**